

RYWALE

~~URZĘDNIK: TGM. WYKONANIE: RYBICKI~~
~~SEKCJA I~~

ABGAR-SOŁTAN

RYWALE

POWIEŚĆ



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1904

A-19031



1000173365

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K1160/50/5790

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie.

Lani

Annie Chylińskiej

poświęca

Autor.

I.

Coś tatkowi mam powiedzieć.

— Co?

— Nowinę.

— No, słucham tej nowiny.

Rozmowa ta toczyła się pomiędzy panem Antonim Korymowiczem ojcem i jego synem dwudziesto sześciolatnim panem Samuelem.

Ojciec widocznie był zaniepokojony zapowiedzianą »nowiną«, a syn jego miał pewną obawę z nią wystąpić. Z niejakiem więc wahaniem odpowiedział na pytanie ojca :

— Przyjadą do nas archeologowie.

— Co? Jak! — zawołał pan Antoni z przerażeniem. — Co to znowu będzie nowego? Pewno jakaś komisya.

Syn uśmiechnął się trochę ironicznie i śmielej już odrzekł :

— Nie komisya.

— Więc cóż?

— Widzi ojciec, to są tacy uczeni, którzy szukają w ziemi starożytności.

— Skądże ty się do nich przypytałeś?

— Przecież jestem płacącym członkiem towarzystwa przyjaciół nauk — odpowiedział syn z dumą.

— No, to dobrze, płacisz tę wkładkę, nic nie mam przeciw temu, ale skąd znowu przyszła ci myśl tych archeologów sprowadzać i jeszcze teraz... Czyś do nich pisał? Skąd się oni tu wezmą?

— Cała historia, ojciec... Zaraz opowiem.

Lecz nie spieszył się widocznie z opowiadaniem, pragnął, żeby się ojciec przyzwyczaił do samej myśli goszczenia uczonych mężów, sięgnął więc niedbale do kamiennej puszeki, gdzie znajdował się turecki tytoń, który ojciec palił w fajce, skręcił zeń papierosa i spokojnie ulokował się na trzciniowym krześle. Puszczał kłęby wonnego dymu, spoglądał z zadowoleniem na piękny krajobraz, widzialny z dużej werandy Kołomierskiego dworu. Widok był w rzeczy samej cudowny. Tuż obok wspaniałe stuletnie świerki i całe grupy róż i krzewów ogrodowych, poza tem jasne zwierciadło ogromnego stawu, na dalszym planie wspaniałe budynki gospodarcze, smukły komin gorzelni, rozległe pola bujnym plonem okryte, z poza których widniały w dali gęsto rozrzucone mogiły i kurhany. Wszystko to okalał las ogromny, stary, pełen powagi, zamykający widnokrąg ze wszech stron, dodający mu niezwykłego uroku. Jak daleko wzrok mógł zasięgnąć, wszystko należało do wielkiego państwa Kołomierskiego, więc pan Samuel myślał, że mógł sobie pozwolić na zaproszenie dwóch gości w osobie archeologów; w Kołomierzu było podostatkiem wszystkiego, aby ich przyjąć.

Nie długo jednak mógł się oddawać tym rozmyśleniom, bo wkrótce ojciec znowu zapytał niecierpliwie:

— Powiedzże mi, co to za nowy koncept?

— Nic strasznego, tatku — odpowiedział pokornym tonem syn. — Byłem wczoraj na obiedzie u pana Uniskiego w Przybyłowie.

— Znowu w Przybyłowie! — wybuchnął gwałtownie pan Antoni. — Nie wiem, pogo tam jeździsz?... Po-

trzeba ci pchać się do tych półpanków... Ot, kosza weźmiesz jeszcze, śmiać się będą...

— Ależ tatku, to inna sprawa. Jeżeli mi ojciec będzie przerywał, to chyba nie skończę o.. archeologach.

— To więc mów, słucham!

Zastałem tam dwóch panów z Krakowa. Przyjechali oni do pana Uniskiego w celu poszukiwania starożytności.. Chcieli kopać.

— I pewno Uniski nie pozwolił ryc po polach!

— Eh! On by im nie pozwolił.. Gdzież tam, tylko Przybyłów już cały przekopany wzdłuż i wszerz. Pisał on do hrabiego w Żarnowie i do księcia w Ołtarzowie, ale jeden i drugi odpowiedzieli, że nie mają gdzie archeologów pomieścić.

— Więc ty myślisz — przerwał mu ojciec gwałtownie — że jeżeli hrabiowie i książęta nie mają gdzie tych panów pomieścić, to mam ich mieścić ja... Ja Korymowicz... Skąd data?... Co ormianom do archeologii?

Słowa te widocznie boleśnie dotknęły p. Samuela, bo cała jego śniada lecz piękna twarz pokryła się rumieńcem, a z czarnych, błyszczących oczu iskry się posypały, lecz umiał się widocznie w czas pohamować, bo po chwili odpowiedział spokojnym i pokornym głosem:

— Ojciec zawsze z tem ormiaństwem wyjeżdża.

— Pewno! Nie mam się czego wstydić — zawołał porywczo. — Nie zapominaj, że wtenczas, gdy przodkowie nasi w szkarłacie i w złotogłowie chodzili, gdy wiarę świętą wyznawali i za nią krew przelewali, to antenaty twoich hrabiów i książąt ledwie na skórę wilczą mogli się zdobyć i ofiary składali bałwanom... Ot co.

— Ja wiem przecież — przerwał mu pokornie syn — ale właśnie dlatego zaprosiłem tych panów.

Starszy Korymowicz szeroko otworzył oczy na to rozumowanie syna i tak był zdziwiony, że nie mógł się zdobyć na żadne słowo. Wreszcie wyszeptał:

— Jak? Jak ty to rozumiesz?

— A widzi tatko, że m znowu nie taki głupi... Myślę sobie tak, jeżeli księżę sknera a hrabia jego kolega, to Korymowiczowi nie można iść w ich ślady... Czyi przodkowie przed dwoma tysiącami lat w szkarłat i złoto się odziewali, ten tem mniej może mieć prawa być skąpcem, ale musi splendor domu podtrzymać, szczególnie gdy jest z czego...

Sprytny był pan Samuel i umiał szarpnąć w ojcu czułą strunę, to też na te słowa pan Antoni rozchmurzył się zupełnie i rzekł:

— Kiedy tak, to dobrze, żeś tych profesorów tu zaprosił i oni będą kontenci, bo dostaną zamiast kaszy jęczmiennej i zacierki, tłuste kapłony i konfiturowe legominy. Tylko mi nie zajeżdżaj do tego Przybyłowa i nie zwracaj sobie głowy panną Jadwigą, bo z tego nic nie będzie.. Dać ci jej nie dadzą, a choćby dali, to niema się do czego spieszyć... Szlachcianka jest marnotrawna i gospodynią po naszymu nie będzie.

Syn na te słowa uśmiechnął się jakoś figlarnie i odpowiedział tak szczerze, że w umyśle ojca ani cienia wątpliwości nie zostało:

— Niech mi tatko wierzy, że nawet najmniejszej ochoty nie miałem starać się o pannę Jadwigę... Znam fumy Uniskiego; nasłuchałem się tyle o kasztelanach i biskupach, że mi się to uszami przelało... Nie chciałbym całe życie słuchać, o ile wyższym był kasztelan od kupca lub tłumacza rzeczypospolitej... Wszak najwyższy dygnitarz w naszej rodzinie był tłumaczem... drogomanem.

— Tak, tak w Polsce — odparł poważnie ojciec — ale tam w naszej dawnej ojczyźnie, przed wiekami przodkowie nasi byli rycerzami, wodzami i biskupami... Tu nas do niczego nie dopuszczali... Ja nie rozumiem, dlaczego właściwie ormianie tak się do tej ziemi przywiązywali, jak do własnego kraju.

— Ojczy! To stara piosnka, ale niesprawiedliwa — zawołał syn z zapalem... Tu znaleźliśmy spokój i pole do skromnej, ale korzystnej pracy... A teraz jakaż się nam krzywda dzieje?... Że czasem jaki głupi pyszałek wymyśla nam cichaczem od pieprzu i »koziny«, to nam to wcale nie ubliża. Głupich jest, było i będzie zawsze wielu na świecie.

Rozmowę tę, która w rozmaitych formach i kombinacjach powtarzała się między ojcem a synem już pewno z tysiąc razy, przerwało nagłe wejście pani Klementyny, drugiej żony pana Antoniego, a przybranej matki Samuela.

Szła pospiesznie, widocznie poruszona jakąś wieścią, bo silne rumieńce wystąpiły na jej piękną twarz; w rękę niosła rozpieczętowany list. Przywitawszy się uprzejmie z pasierbem zwróciła się do męża.

— Wiesz Toniu, nowina.

— Znowu jakaś nowina.

— Właściwie to nie nowina — odrzekła zdziwiona żona — bo jeszcze w zimie ułożyliśmy się z Elżbietą, że się to odbędzie w czasie wakacji.

— Ależ powiedz, Klimusiu, co się ma odbyć — zawołał mąż, odstawiając fajkę na bok i z wielkim niepokojem spoglądając na żonę i syna.

— Masz czytaj! — rzekła podając mu list — Elżbieta pisze, że jutro przyjadą jej dwie panienki... a po pana Donné, metra tańców, trzeba posłać konie do stacyi... Ona taka dobra, że sama się zajęła wyszukaniem i zgodzeniem tego nauczyciela... ma mu się dać za wakacje sto guldenów, ale koszta poniesiemy wspólnie.

— Koniec świata! — zawołał nagle pan Antoni i zerwał się z krzesła, odrzucając fajkę daleko, że tytoń się z niej wysypał i tlał na kamiennych płytach werandy.

— Cóż to strasznego? — odpowiedziała uspakajającym głosem pani Klementyna. — Dom obszerny, go-

spodarstwo w porządku, to jeden metr i dwoje obcych dzieci nie zrobią znowu tak wielkiego ambarasu, a dziewczątka muszą się już uczyć tańczyć, bo czas uchodzi.

Tu pan Antoni złożył ręce w ten sposób, jakby chciał liczyć na palcach i rzekł:

— Kobieto rachuj tylko... Dwie panienki Elżbiety, ten jakiś Donné — pewno pijak... Kazik z nauczycielem.

— Kazikowi także się przydadzą lekcye tańca, ma już dwanaście lat.

— Klimuniu, proszę mi nie przerywać... Więc Kazik z nauczycielem to pięć osób, teraz dwóch archeologów z Krakowa.

Przy ostatnich słowach wyraz zdziwienia i niepokoju wystąpił na pięknej twarzy pani Antoniowej.

— Dwóch panów z Krakowa... Jakich dwóch? — zapytała pani Antoniowa.

— Ależ dwóch archeologów, profesorów, doktorów, uczonych... Licho ich wie, co za jedni, co w ziemi grzebią, szukając starych zabytków, przyjeżdża do nas jutro.

— Któż ich prosił? Zawsze się coś robi bez mej wiedzy, gdzież ich pomieścimy?

Pan Antoni, widząc niezadowolenie żony, zapomniał, że przed chwilą sam się zgniewał na syna; nie chciał, żeby pomiędzy panem Samuelem a drugą żoną wynikały scysye, więc pragnąc obronić syna, rzekł uspakajająco:

— Eh! głupstwo, Klimciu... Uniski prosił, żebyśmy pozwolili szukać tu na polach i w lasach Kołomijskich... Są tu mogiły, a u niego już wszystko przekopano...

— To już pewno Samuel musiał zaprosić tych panów — przerwała pani, hamując zły humor.

— Ja sam Klimuniu, ja sam! — popełnił pan Antoni bogobojne kłamstwo. — Co prawda, tak się to nagle stało, nie miałem ci czasu powiedzieć... Dziś w nocy, to jest rano dowiedziałem się o tem.

— W jaki sposób się Tonio dowiedział? — badała dalej pani.

— To jest... tak dowiedziałem się... Choć i przedtem mi Uniski wspomniał, coś tak nie jasno — tłómaczył, jakając się mąż, gdy nagle błysnęła mu szczęśliwa myśl, bo tryumfującym głosem zawołał: — Widzi Klimunia, Uniski powiada, że tu o honor naszej okolicy chodzi... Chciał ich umieścić u hrabiego w Żarnowie lub u księcia w Ołtarzowie, ale się później rozmyślił... Klimunia wie co tam za gospodarstwo, jak gościom jeść dają... Uniski powiada: mam ich posłać na zacierkę i kluski do arystokratów, to lepiej niech spróbują, jak u nas ormianie gości przyjmują... Widzisz tacy uczeni, to czasem i na cesarskich pokojach bywają, może się kiedyś i przydać taka znajomość. Nie mogłem odmówić.

Pani Klementyna, która miała w swej naturze dwie tylko wygórowane choć nieszkodliwe ambicje, żeby jej dzieci były dobrze wychowane i starannie ubrane, i żeby nikt w jej domu nie był głodny, na wieść, że sława jej gościnności była przyczyną przybycia niespodziewanych panów, uspokoiła się zupełnie, i w praktycznej swej głowie zaczęła już układać w jaki sposób tyle osób wygodnie ulokuje.

W tej zadumie prześlicznie wyglądała. Jej kształtna, piękna głowa, pokryta zwojami ciemno-złocistych włosów, pochyliła się trochę na piersi, a cała jej dość pełna, lecz gibka kibić okryta szlafrocikiem ze wschodniej jedwabnej tkaniny; niedbałym ruchem oparła się o kamienną płytę ogromnego stołu, na którym porozkładane były przybory do śniadania.

Długo myśleć nie miała czasu. Przerwał jej jakiś gwar zmieszanych dziecięcych głosów, wydobywający się z głębi obszernego dworu.

Za chwilę cała weranda rozbrzmiewała szczebiotem dziecięcym. Trzy dziewczynki od sześciu do dziesięciu

lat wieku w podskokach i pługach wpadły na ganek. Były wszystkie bardzo ładne, wszystkie czyściutko wymyte i starannie uczesane, na wszystkich sukienki były nowe i doskonale zrobione, choć nie zbytkowne. Matka z dumą mogła na nie patrzeć.

Ola, Zula i Nela jak ptaszki przebiegły przez cały duży ganek i odrazu zawiesiły się na szyi ojca. On je po kolei ścisnął i całował, przyglądał ich świeżące, starannie przyczesane włosy i przypatrywał się z uwagą każdej z osobna. W zroku tego starszego już i bardzo poważnego człowieka, mieściło się całe morze bezgranicznego przywiązania, ślepej miłości do tych ślicznych dziewczątek.

Napieściwszy się z dziećmi do syta, zawołał:

— Bąki, puście mnie wreszcie, bo możecie we trzy ojca udusić... Bierzcie się do śniadania, które na was już z godzinę tu czeka... Pozwólcie mi przywitać się z panną Wandą.

Mówiąc to, poustawiał dziewczynki na ziemi rzędem i wyciągnął rękę do zbliżającej się lekkim krokiem młodej nauczycielki.

— Dobry dzień, pani! — przemówił przyjaźnie, podając jej rękę.

Panna Wanda ruchem, zdradzającym dystyngowany układ i najlepsze wychowanie, przywitała pana domu, trochę ceremonialnie, lecz z głębokim szacunkiem ukłoniła się pani Klementynie i przyjaźnie uściśnęła dłoń pana Samuela. Potem usiadła na swoim zwykłym miejscu i wskazała obok siebie krzeselka trzem uczennicom. Była to niezwykle urocza, piękna dziewczyna; wysoka i smukła jak topola. Szatynka o szafirowych cudnych oczach i jasnej cerze, miała na twarzy błękitnawo-białe odcienie barw kwiatów i zdawać się mogło, że z jej całej postaci ulatuje woń lilii i bzów; usposobienie duchowe i poziom umysłu odpowiadały

zupełnie jej zewnętrznej postaci, to też otaczała ją życzliwość całego domu, tak państwa, jak i służby. Nawet dzieci wiejskie przepadały za panną »gubernantką« i gdy się ukazała na przechadzce to biegły za nią, pragnąc koniecznie w rękę ją pocałować.

Całe towarzystwo zajęło się spożywaniem śniadania, przyczem toczyła się już zupełnie spokojna i ożywiona rozmowa na temat, w jaki sposób umieścić wygodnie wszystkich gości. W ciągu gawędki, rzekł pan Antoni żartując:

— Ale już teraz musimy koniecznie wydać pannę Wandę.

— Nie mam zamiaru za mąż wychodzić — odrzekła rezolutnie panna Wanda.

— Teraz już pani musi raz wybrać — przerwał jej gospodarz. — Pierwej to każdy młodzieniec w naszej okolicy wydawał się pani za mało wykształcony, źle ułożony, tępy. Jak zjadą ci archeologowie, to ci nie będą już ani pospoliccy, ani za mało uczeni; rozumu pewno w nich taka massa, że się aż przelewa jak mleko z pełnego garnka.

— Ale zato pewno starzy, łysi i nudni — zawołała panna Wanda.

— Jacyż ci panowie, Samuelu? — spytał ojciec.

— Odgadła pani — szepnął niechętnie młody człowiek, spuściwszy oczy w talerz, pilnie zaczął okrawać skrzydełko z kaczki na zimno.

Wszyscy pili kawę lub herbatę, on jeden hołdował »nowomodnym« obyczajom i jadał coś »pożywniejszego« przy rannem śniadaniu. Mając dużo ruchu, mógł mieć dobry apetyt, prawie angielski.

Tymczasem małe dziewczynki, wypiwszy pospiesznie lekką herbatę, zaprawioną przez połowę mlekiem, pozrywały się ze swych krzeseł i obsiadły znowu ojca, jak muchy kroplę miodu.

Średnia wiekiem, ale najwyższa, czarnooka Zula, usadowiła się na prawem kolanie, najmłodsza, złotowłosa Nela, wygramoliła się z trudem na lewe, a najstarsza Ola, najbardziej do matki podobna, wskoczyła na krzesło i objawszy ojca za szyję szeptała mu coś do ucha sekretnie.

— Dzieci, co wyrabiacie, zadusicie tatka -- upominała pani Klementyna.

— Niech Klimunia* pozwoli się dzieciom napiścić — przerwał jej pan Antoni — przyjedzie metr tańca, to się baki namęczą. Oh, będzie teraz: raz dwa trzy, raz dwa trzy.

— Nic się nie boję tych tańców — zawołała reżolutnie Zula i zeskoczywszy lekko z kolan ojca, ujęła dwoma palcami swą sukienkę z obu stron i zaczęła wykonywać jakiś improwizowany, lecz dziwnie fantastyczny taniec, niby gitanę.

— Ja już i bez pana Donné umiem tańczyć — wołała, przeginając z gracyą swą cienką, szczupłą figurkę na wszystkie strony.

— Ja będę lepiej tańczyć niż Zula — wołała z za pleców ojcowskich Ola. — Ja muszę lepiej tańczyć, bo jestem starszą, nic na ślepo nie robię... Zula już cały miesiąc jakieś sobie sama figury wymyśla, a ja będę tańczyć tylko kadryla, walca, polkę... i... i... i tego, tego lansiera, ale wtedy, gdy mi pokaże pan metr jak to się robi.

— A ja będę tańczyć gorzej niż Ola i gorzej niż Zula — szepnęła pokornie mała Nela — bo one i starsze, i mądrzejsze, i zgrabniejsze, a Nela to prawdziwy kopciuszek.

— Nela nie kopciuszek — przerwała jej Zula, całując małą siostrzyczkę w rumianą buzię. — Nela nie jest kopciuszek, tylko siostrzyczka. Nela będzie tańcować jak aniołek.

— Panienci, czas już do lekcji — zawyrokowała panna Wanda, wstając od stołu.

Dzieci z pewnem ociąganiem zabierały się do spełnienia tego polecenia i zwracając błagalne spojrzenia w stronę ojca, widocznie oczekiwały stamtąd pomocy.

— Może pani pozwoli dzieciom trochę jeszcze pobawić się — rzekł z pewnem zakłopotaniem pan Antoni, spoglądając ukradkiem na żonę, jakby chciał uzyskać jej przyzwolenie.

— Ależ niech Tonio nie przeszkadza w nauce dzieciom — przerwała mu trochę niecierpliwie pani Klementyna.

— Na zabawy mają czas przeznaczony i wtedy niech się bawią... a lekcye muszą się odbywać regularnie, bo inaczej nic nie skorzystają...

Po krótkim przestanku dodała:

— Idźcie już dzieci uczyć się, teraz taki świat, że umieć dużo trzeba, kto ma wykształcenie, to go ludzie poszanują, a nieuki nie mają co robić na świecie.

Po odejściu dzieci rozpoczęła się poważna rozmowa, w jaki sposób ostatecznie najwygodniej ulokować zapowiedzianych gości.

Pan Samuel nie bardzo chętnie uczestniczył w tej naradzie, to też skorzystał z pretekstu nadejścia gazet z poczty i wzięwszy cały plik najrozmaitszych pism, poszedł do oficyny i tam w swoim pokoju zajął się pilnem studyowaniem najnowszych wiadomości.

Państwo Korymowiczowie zaś, posprzecawszy się trochę, postanowili wreszcie, że Kazik z nauczycielem zamieszka w oficynie obok Samuela. Archeologom postanowiono oddać narożny gościnny pokój w dużym dworze, z wyjściem przez boczne sionki do ogrodu. Zaś dwie małe Derkałowiczówny muszą sypiać w pokoiku, łączącym dziecinny pokój z garderobą, w którym w zimie zazwyczaj przygotowują kąpiel dla dzieci.

Zrobiwszy te postanowienia, małżonkowie milczeli przez chwilę, wreszcie pani Klementyna zagadnęła męża:

— Co Tonio myśli o Samuelu?

— A no nic! Pomaga mi w gospodarstwie — odpowiedział mąż dość niechętnie.

— Nie wielka pomoc.

— Zapewne, ale który młody człowiek w naszych czasach więcej pracuje.

I zamilkł, pograżywszy się w zadumę, z ostatnich słów jego znać było, że niechętnie o tej kwestyi z żoną rozmawia. Lecz pani Klementyna nie była kobietą, którą można było zbyć byle czem, jeżeli postanowiła sobie jakąś sprawę jasno postawić, więc nie zwróciwszy uwagi na niechętny ton słów męża, pytała dalej:

— Czy nie myślisz go wreszcie osadzić w Toczyskach? Przecież to jego własność po matce, niechby już sam na siebie pracował.

— Co on tam napracuje!... Ot zgryzota, boję się go samego puścić, teraz takie zepsucie, każdy z tych paniczów to trzyma sobie zaraz jakąś marmozelę.

— To niech się żeni! — przerwała pani Klementyna mężowi. — Ma już lat dwadzieścia sześć, najstosowniejsza pora! Tonio przecież pierwszy raz ożenił się mając dwadzieścia trzy lata.

— A z kimże go ożenić?

— Niech dobija targu w Przybyłowie.

— Uniski córki mu nie da! — rzekł porywczomąż. — A choćby i dał, to niewielka pociecha.

— Dać, to myślę, że da — twierdziła pani Klementyna — szczególnie jeżeli do Toczysk dodasz mu od siebie sąsiednią Topolówkę. Wiem, że oni tam w Przybyłowie cienko przędą i córkę koniecznie chcieliby już wydać... Czy to już jedna uboga szlachcianka i to lepsza niż Uniska, poszła za bogatego Ormianina... To się już u nas uciera, choć głupi ludzie uważają to za mezalians.

— Ale czy będzie dobrą żoną, gospodynią?

— Może i będzie, bo w biedzie chowana.

Pan Antoni popatrzył uważnie na żonę i zapytał po chwili:

— Niech mi Klimunia powie, co ci tak bardzo na tem zależy, żeby Samuela tak zaraz żenić, przecież się nie pali. Dziś ludzie w starszym wieku się żenią.

Młoda pani potrząsała swą piękną głową kilka razy i jakby nie chcąc wyrazić swych obaw, odrzekła wymijająco:

— Ja mam swoje instynkta... Wolałabym, żeby się coperdziej ożenił...

— Wiem, że Tonio chciałby mieć synowę z ormiańskiej rodziny, ale jak niema stosownej Ormianki, niech się żeni z Polką, przecież to obywatelska córka.

-- Może się lepiej ożenić.

— No, no! Zobaczymy, żeby tylko nie gorzej... Ja zrobiłam to, co mi nakazuje obowiązek... — Mówiąc to, wzięła do rąk koszyczek z kluczami i wyszła do gospodarstwa.

Pan Antoni zaś wkrótce wsiadł do dorożki objeżdżać rozległe gospodarstwo, a dzień był ważny, bo rozpoczęto żąć żyto; był to pierwszy dzień żniwa.

* * *

Tegoż samego dnia popołudniu nadjechała pani Derkałowiczowa, daleka krewna pana Antoniego, ze swemi dwiema, wcale ładnymi, ale dziwnie drobnymi i czarnymi córeczkami.

Wieczór, już około dziesiątej godziny nadjechali kołnmi z Przybyłowa obaj archeologowie. Przyjmował ich sam pan Samuel w pokoju dla nich przeznaczonym sutą wieczerzą, która miała być dla nich zapowiedzią tej gościnności, która ich czekała w domu państwa Korymowiczów.

Po północy ze stacyi kolejowej nadjechał syn państwa Antoniostwa, mały Kazik, wraz z nauczycielem, panem Łuczykiem, młodzieńcem biegłym w grece, łacinie i matematyce, ale zacofanym bardzo pod względem towarzyskich form i zachowania się w salonie.

Pana Donné, który miał przybyć tym samym pociągiem, nie mógł nikt odszukać na stacyi... Nie zginął jednak, bo nadciągnął chłopską furmanką około godziny siódmej rano na drugi dzień, w stanie zostawiającym pod względem trzeźwości bardzo dużo do życzenia.

Przez tę więc dobę dwór państwa Antoniostwa załudnił się obcymi przybyszami.

Śniadanie wszyscy goście pili u siebie. Później pan Donné, twierdząc, że jest znudzony, położył się spać, a archeologowie nie mogąc się zobaczyć z panem domu, zajęтым pracą w polu, wybrali się z panem Samuelem na oględziny terenów, na których mieli prowadzić swe poszukiwania.

Panienki z Kazikiem, pod opieką panny Wandy bawili się w parku, a pan Łuczyk poszedł do ruskiego księdza proboszcza, dowiedzieć się, czy przypadkiem nie znajdzie w nim krewnego.

Uroczysta chwila rozpoczęcia obiadu była równocześnie momentem wzajemnego zapoznania się.

Pierwsi ukazali się w sali jadalnej archeologowie. Wprowadził ich pan Samuel. Jeden był wysoki, chudy, w okularach; miał łysą czaszkę, otoczoną niby wiankiem siwych włosów, i chłodny flegmatyczny wyraz twarzy... Drugi o czarnych, prawie kruczych włosach, niski, krępy, szeroki w ramionach, muskularny, chociaż nie zbyt korpulentny, miał cerę miedziano-brunatną i dużą brodawkę na prawym policzku.

Pani Klementyna i jej córki z ciekawością przypatrywały się tym nie codziennym gościom. Pan Antoni podszedł ku nim. Nastąpiło wzajemne zapoznanie.

Wysoki, łysy przestawił się:

— Dr Schuster.

Krępy brunet jako profesor Grabiec.

Pani domu, gościnnie i uprzejmie zaprosiła panów na wódkę przed zupą.

Profesor Grabiec, rzuciwszy okiem na przygotowaną przekąskę, klasnął radośnie w dłonie.

— Ależ łaskawa pani, przedziwnie! — zawołał, zwracając się do pani Klementyny — też to przysmak, prawdziwie litewskie przysmaki... Ho, ho, ho! Czegoż tu niema! Starka znakomita litewska i półgąski i wędlinki wyborne.

Pan Antoni gestem zapraszał i pił w ręce pana profesora.

W tej chwili wszedł w niezwykłych podrygach i lansadach dziwny człowiek. Był chudy, ale tak chudy, że dr Schuster mógł przy nim uchodzić za Herkulesa, włosy przeredzone, były szpakowate na skroniach, tylko brwi i wąsy czerniły się barwą doskonałego kosmetyku. Wysoki, szpiczasty kołnierzyk otaczała biała jedwabna chustka, w której tkwiła szpilka, opatrzona dużym kamykiem, naśladowującym brylant. Podszedł do pani domu i kłaniając się z przesadną gracyą, wyrecytował:

— Moje uszanowanie. Witam piękna dama — jestem Donné, sławny maître od dansu i elegancyi.

Panu Antoniemu widocznie podobał się »metr od elegancyi«, bo zawołał doń wesóło:

— Panie tancmajster, proszę do nas, może się pan z nami wódki napije?

Biednemu Francuzowi oczy się zaświeciły, z pośpiechem odpowiedział:

— Rekomenduję się i pan dobrodzieju... Choć ja szadne trunki nie przyjmuję, ale że jestem smęczona... to masiupieńku szklaneczku likier przyjmie.

Pan Antoni spojrział z uśmiechem na czerwono-granatowy szpiczasty nos Franzusa i zawołał doń kardynałem tonem:

— Likieru napije się pan po obiedzie, a teraz proszę z nami wychylić kieliszek dobrej starki kołomierskiej, leży w piwnicy lat trzydzieści z okładem, lepsza niż każdy likier.

— Prawda, że lepsza! — rzekł pan Grabiec — takiej wódki nie piłem w Galicyi... Pamiętam, taką dawali w domu moich krewnych Węgorzów w oszmiańskim powiecie.

I zwracając się do Francuza z pełnym kieliszkiem w rękę rzekł:

— Nalej pan sobie, panie kolego... Bo to widzi pan, ja profesor i pan profesor, ja od archeologii, a pan od tańca... więc możemy się trącić kieliszkami, tylko, że archeologia ważniejsza nauka niż taniec, więc ja piję drugi kieliszek, a pan dopiero pierwszy.

W ciągu tej rozmowy wsunął się z jednej strony pokoju, drzwiami od kredensu, pan Łuczyk i, rzuciwszy oczyma na wszystkich z podełba jak wilk, ukłonił się niezgrabnie i rozstawiając nogi szeroko, mruzczał coś niezrozumiałego.

Pan Donné spojrział nań ze zdumieniem i wykrzyknął:

— Kto jest ten młody człowiek?

Pan Antoni, śmiejąc się już całym sercem, rzekł:

— To jest także profesor, nauczyciel mego młodszego syna, pan Łuczyk.

— To nie może być szadna profesor — wołał Francuz, nalewając sobie drugi kielich starki — bardzo przepraszam, pan nauczyciel, ale pan dla mnie nie może być profesor, pan będzie mój *élève*, ja pana nauczę, jak wedle *grace* i *élégance* witać piękną dame. Bez maniera distinguishowana młoda człowiek jest nieszczęśliwa w salonie.

Ostatnia do pokoju weszła panna Wanda i wszyscy zebrani mężczyźni spojrzeli na nią z niekłamanym zachwytem. W szarej lekkiej sukni, ozdobionej oryginalnym ruskim haftem, ze sznurem grubych koralii na szyi wyglądała zachwycająco.

Pan Antoni po kolei przedstawił jej wszystkich przybyłych panów.

Tymczasem podano zupę i całe towarzystwo zasiadło do stołu.

Profesor Grabiec przyniósł z bufetu talerzyk z półgąskami i wędliną i przegryzał tem po każdej łyżce zupy, tłumacząc pani Klementynie, że takich specyałów nie spotkał już dawno, tylko pamięta, że podobne jadał u swej ciotki, pani Rozdziałowiczowej, w powiecie nowogrodzkim.

Po zupie podano olbrzymiego szczupaka w majonezie. Pan profesor nabrał porządną porcyę i zaczął czegoś szukać wzrokiem na stole.

— Czem można panu służyć? — spytała troskliwie gospodyni domu.

Pan Grabiec rzekł z wyszukaną grzecznością:

— Wybaczy pani, że ja przy tak sutym posiłku, jeszcze czegoś pragnę, ale to przyzwyczajenie z dawnych, bardzo dawnych czasów, jeszcze gdym był na Syberyi, to jadalіśmy tam zawsze ryby z pieprzem...

-- Wojciechu proszę podać pieprzu panu profesorowi — rzekła pani Klementyna do usługującego starego lokaja, i robiła sobie w duszy wyrzuty, że zapomniała kazać podać odrazu tę ostrą przyprawę.

Pieprz za chwilę był na stole, a pan profesor tak się nim ucieszył, że używał nietylko do ryby, ale i do rostbifu i indyka, tylko kompot i słodką legominę spożywał bez tej przyprawy. Hojnie też zakrapiał każdy prawie kąsek kieliszkami doskonałego węgryzna. Apetyt bowiem miał prawdziwie litewski. Pan Donné na-

śladował go niewolniczo z tym dodatkiem, że co chwila wznosił toasty rozmaitej treści, które jednak miały za zwyczaj mniej więcej cel podobny »zdrowie którejs z pięknych dam«, a że i dziewczynki do nich zaliczał, więc nawet i mała Nela została w ten sposób uczczona.

Panienki coś bezustannie ze sobą po cichu szeptały i tylko surowy wzrok matki i uwaga panny Wandy zwrócona ciągle w ich stronę sprawiały, że nie robiły głośnych uwag i nie wybuchały śmiechem po każdym toaście cudackiego Francuza.

Pan dr Schuster znów, milcząco spożywał dary boże i raz tylko odezwał się do siedzącego obok pana Samuela, że nie rozumie, w jaki sposób można pić tyle wina, bo on woli piwo przy obiedzie, które jest smaczniejsze i zdrowsze. Skutek tego odezwania się doktora był taki, że zaraz po obiedzie pani Klementyna wysłała do sąsiedniego miasta umyślną furę i kazała przywieźć dwieście butelek pilzneńskiego piwa, żeby go już nie zabrakło.

Pan Łuczyk pił za dwóch, jadł za trzech, składał powalane sosem widelce i noże na czysty obrus, i od czasu do czasu trącał łokciem Kazika w bok i wskazywał palcem drugiej ręki na Francuza, który wyrabiał dziwne grymasy, rozmawiając swym rodowitym językiem z panną Wandą.

— *Hrancuz swynia!* — szepnął wreszcie półgłosem chłopakowi do ucha i obaj wybuchnęli spaźmatycznym śmiechem.

Krew uderzyła do twarzy pani Klementyny, pociemniało jej w oczach, lecz nie tracąc ani na chwilę przytomności zawołała:

— Widać, że Kazik w szkole zapomniał przyzwoitego zachowania się przy stole... Zaraz mi wstań i wyjdź z pokoju, a jeżeli się to jeszcze raz powtórzy, to będziesz jadł z panem Łuczykiem w oficynie.

Chłopak z płaczem wstał i odszedł bez wielkich ceregieli do drugiego pokoju. Nic nie pomogły instancje pana Donné, który i po polsku i po francusku prosił »piękną damę«, żeby raczyła chłopakowi przebaczyć. Spotkał się ze stanowczą odpowiedzią:

— Dzieci muszą od najmłodszych lat przyzwyczajać się do grzeczności i przyzwoitego zachowania, bo później wyrosłyby na nieokrzesanych gburów.

Przy ostatnich słowach spojrzała bardzo wymownie na pana Łucyka.

Ten tymczasem gniótł w palcach gałkę z chleba i mówił sobie w duchu: »przeklęta baba, czort ją bierz«.

Zaledwie to pobożne życzenie pan Łuczyk w duszy domówił, pani Klementyna lekkim podniesieniem się dała znak do powstania. Profesor Grabiec ruchem światowego bywalca podał jej ramię. Pan Antoni odprowadził cichą, milczącą, trochę przestraszoną i ogłuszoną panią Derkałowiczową. Doktor Schuster i pan Donné posunęli się do panny Wandy, ale uprzedził ich już tymczasem pan Samuel. A pan Łuczyk wstał powoli od stołu, wypił pospiesznie dwa kieliszki wina, które nadpite zaledwie pozostawiły pani domu i pani Derkałowiczowa, i zakławszy coś z cicha, machnął filozoficznie ręką i pociągnął za innymi do dużego salonu na czarną kawę i przyobiecany likier.

Przy czarnej kawie pokazało się, że pan profesor Grabiec pali zwykle tylko prasowane włoskie cygara »Virginia«; pan domu wyszukał więc ten gatunek cygar, archeolog dopiero gdy zaciągnął się tym mocnym dymem, uczuł się zupełnie zadowolonym, wpadł w doskonały humor i zaczął opowiadać, jakie sobie robi nadzieje z odkryć naukowych na pagórkach i w lasach kołomijskich.

— Jeszcze tamtego roku — mówił z zapalem — kiedyśmy kopali u pana Uniskiego, to już mi przycho-

działa myśl, że w Przybyłowie były podstołeczne osady, a stolica tego przedhistorycznego państwa była w Kołomierzu.

— Tak jest, panie profesorze — odezwała się nieśmiało pani Derkałowiczowa — to się pan nie pomylił, rzeczywiście stolicą całej naszej familii to Kołomierz.

Profesor ze zdziwieniem spojrział na cichą kobietę i już chciał dalej snuć swe naukowe wywody, gdy znowu przerwał mu doktor Schuster:

— Panie profesorze, pozwolę sobie zaznaczyć, że co do postawienia hipotezy, że w Przybyłowie mieściły się podstołeczne osady, a w okolicy na południowy wschód od Przybyłowa należy szukać głównej stolicy, to ja byłem pierwszy, który myśl tej hipotezy podniosłem i udzieliłem ją panu profesorowi..

— Pan, pan, panie kolego?! — zawołał porywczo profesor. — Nie pojmuję tej zarozumiałości... Wy Niemcy zawsze mylnie mniemacie, że tylko wy jesteście zdolni coś mądrego wymyślić.. Wkrótce pan powie może, że w pańskiej głowie urodziła się myśl mej książki o kurhanach na północnych stokach Kaukazu.

— Do Kaukazu nie mam żadnej pretensyi — odrzekł flegmatycznie doktor — ale co do odkryć w Kołomierzu, to muszę w sprawozdaniu dla Akademii zaznaczyć, że to była właściwie moja pierwsza myśl. Żałuję bardzo, że już w bardzo dokładnem przeszłorocznem sprawozdaniu nie postawiłem mojego *votum separatum*.

Grabiec popatrzył na doktora wzrokiem rozwścieczonym, ale pohamował się i rzekł:

— Zostawmy te spory do posiedzeń Akademii, panie kolego. Ja wolałbym dowiedzieć się od państwa, czy tu już kto kiedy nie szukał starożytności, czy kto przed nami nie kopał?

Na to odpowiedział pan Antoni, że o ile mu jest wiadomem, to od siedmdziesięciu lat, to jest od kiedy

Kołomierz jest własnością jego rodziny, nikt podobnych poszukiwań nie czynił.

A pani Klementyna dodała, że lud twierdzi, iż Kołomierz leży na dawnym »czarnym szlaku« i że chłopcy tu i ówdzie znajdowali monety srebrne i złote, które najczęściej do dworu przynosili na sprzedaż, wiedząc, że pan Antoni lepiej im za nie zapłaci, niż żydzi w niedalekiem miasteczku.

Panna Wanda zawsze chętna i uprzejma, chcąc zastąpić panią domu, pobiegła do dalszych pokoi i wnet przyniosła szkatułkę, w której znajdowało się kilkanaście monet srebrnych i złotych z najrozmaitszych epok, duże talary i dukaty, należące do różnych państw.

Całe więc męskie grono otoczyło czarującą dziewczynę i zrazu rozmawiano o numizmatyce, później odłożono szkatułkę z monetami a rozmowa zesłała na inne przedmioty, lecz zawsze urocza i niezwykle inteligentna młoda nauczycielka pozostała owem centrum, przy którym grupowało się całe męskie towarzystwo, jak ómy około światła.

Wreszcie pan Donné zawyrokował, że wszystkie monety świata są niczem wobec tych skarbów, jakimi są dla niego »piękne damy«.

A pan Łuczyk pożądlivy wzrok przenoślił ze szkatułki, zawierającej drogocenne numizmaty, na hożą postać panny Wandy i nie był w stanie zdecydować się, co by w danym razie wybrać wolał.

Wreszcie panią Derkałowiczową zawiadomiono, że jej konie zajechały, zaczęła się żegnać, to było wskazówką dla wszystkich do opuszczenia salonu.

Gdy w pół godziny później pan Antoni znalazł się sam na sam z żoną, westchnął ciężko i rzekł:

— Krzyż pański!

— Wszystko by uszło — odpowiedziała pani — ale ten Łuczyk niemożliwy.

W tej chwili ukazała się w drzwiach siwa głowa starego Wojciecha, który widocznie pod drzwiami przypadkiem się znalazł, bo odrazu zaczął mówić o tym samym przedmiocie:

— Proszę wielmożnej pani, ja mam coś ważnego powiedzieć o tym profesorze... o tym od panicza Kazia... Bardzo paskudny człowiek.

— Cóż on Wojciecha obchodzi? — odpowiedziała pani Klementyna.

— Kiedy bo właśnie, że mam do niego... Tak panicze nie robią.

— Cóż znowu?

— Bo to widzi wielmożna pani, ja, choć to niby na nic nie patrzę a wszystko widzę... Tak było i z tem winem... Zauważyłem sobie dokumentnie, że ani wielmożna pani, ani pani z Hawryłówki wina nie piły... wynoszę półmisek do kredensu, wracam, patrzę oba kieliszki próżne, niby wylane. Myślę sobie: psiakrew — uczciwszy uszy wielmożnej pani — Wiktor Piechota zakradł się i wypił. Dalejże do kredensu i bez gadania pal go z jednej strony, pal z drugiej. On gwałt! Ja mu mówię: za wino! za wino z przed wielmożnej pani!... On dopiero krzyżuje się rękami, przeklina się na wszystkie świętości, że to nie on. Mówi: prawda, że miał na to wino smak i już podłaził pod drzwi, ale przez szparę zobaczył, że ten profesor od panicza łyk jeden kieliszek, łyk drugi i hajda coprędzej za państwem wielmożnym do salonu.

— Widać posmakowało mu, Wojciechu — przerwał staremu pan Antoni.

— Niechże go takim smakiem zadławi? — wybuchnął Wojciech. — Jeszczem tego pomiędzy państwem nie spotkał, przecież to lokajska rzecz dopijać kieliszki... Tylko u jaśnie pani z Hrobowa jest takie postanowienie, że po obiedzie guwernantka zlewa niedopite kieliszki do

butelki, u nas chwala Bogu z dziada pradziada takiej mody nigdy nie było.

Pani domu ze zniecierpliwieniem słuchała słów starego sługi, wreszcie przerwała jego gderanie, mówiąc:

— Niechno Wojciech zostawi nauczyciela w spokoju... Proszę iść pościierać kurze w salonie.

Wojciech bez słowa opozycyi usłuchał rozkazu pani.

Nastąpiła chwila milczenia. Pani zajęła się jakąś szydełkową robotą, a pan Antoni palił zawzięcie fajkę i puszczał ogromne kłęby dymu, co oznaczało u niego zły humor. Wypaliwszy fajkę do dna, wytrząsł popiół na umyślnie przeznaczoną do tego użytku tackę, i popatrzył z pewnym niepokojem na żonę, która ciągle milczała. Czuł całą kłopotliwość tego położenia, postanowił je zmienić, a miał pewną obawę, żeby szorstkiem odezwaniem się nie rozdrażnić żony, dotkniętej niestosownem zachowaniem nauczyciela przy obiedzie. Ostatecznie zdecydował się na pytanie:

— Czego to Klimunia tak rozdrażniona?

Pani Klementyna z pewnym żalem odrzekła:

— Czy nie mam stu powodów do rozdrażnienia.

— Jakaż tego właściwa przyczyna.

Twarz pani Klementyny oblała się silnym rumieńcem i rzekła pospiesznie:

— Ja już sama nie wiem, co mam robić... Dom całkiem nie był przygotowany na przyjęcie tylu gości, a tu ciągle coś nowego przybywa. W dodatku i służba rozpuszczona. Żeby tych ludzi w kordach nie trzymała, to by w końcu po głowach nam zaczęli chodzić... Tonio nigdy nic nie zgani. Wszystko na mnie. Choćby ten Wojciech, to już tak go spoufalileś, że z nim trudno już do ładu dojść.

Pan Antoni flegmatycznie nakładał drugą fajkę i ze spokojem słuchał słów żony. Nałożywszy zapalił, i dopiero wtenczas odpowiedział:

— No, Wojciech stary sługa... Trochę on sobie pozwala, ale lepszego nie znajdziemy. Co teraz z temi sługami się po świecie wyrabia.

— Więc zostawmy Wojciecha w spokoju, już mu znoszę wszystkie jego dziwaczne koncepta — odpowiedziała pani — ależ co Tonio najlepszego z tym jakimś Łuczykiem zrobił?... Przecież on Kazia wykieruje na dzikiego człowieka... Po prostu do stołu nie podobna go przypuszczać, bo jeszcze dziewczątka gotowe nabrać tych karczemnych manier.

— Eh! Panna Wanda nad niemi czuwa, wreszcie ty sama z oka ich nie spuszczasz.

— Otóż to właśnie — zawołała — że mi już na wszystko czasu nie wystarcza... Czego sama już nie dopilnuję, to by poszło Bóg wie po jakimu... A wreszcie i mnie sił nie stanie o wszystkim myśleć.

Podczas tych słów zaszepiło się oblicze pana Antoniego, wokół ust zarysował się cierpki uśmiech i najwyraźniej słowa żony robiły mu wielką przykrość, pragnął ją uspokoić jak najprędzej. Zbliżył się więc do niej, ujął ją za rękę i całując pokornie, mówił:

— Moje dziecko, nie gniewaj się na męża. Jestem już starszy człowiek, mam pełno interesów i kłopotów z dużym gospodarstwem. Głowa mi czasem od tego pęka. Nie mogę zająć się jeszcze tymi drobiazgami, więc już na ciebie te codzienne kłopoty spycham.

Słowa te zupełnie rozbroiły panią Klementynę. Wszelki wyraz gniewu i rozdrażnienia znikł z jej twarzy, uśmiechnęła się życzliwie i wstając, rzekła:

— Wiem, że zawsze się tem kończy! Idę teraz do swoich obowiązków i ręczę, że mi największy nieprzyjaciel nie zarzuci, żebym je w czemkolwiek zaniedbywała. Do widzenia Toniowi!

Odeszła, spojrzawszy z pobłażliwością w stronę zasnuconego męża.

On usiadł na krześle i głęboko się zadumał. Puszczając obfite kłęby dymu i rozmyślał nad tem, że właściwie jego dusza i jego serce obeszłyby się z łatwością bez elegancyi, bez sławnej na całą okolicę czystości i ładu w domu, a wolałyby w zamian tego znaleźć w młodej żonie więcej serdeczności i tego ciepła, którego tak pragnął w życiu. Dzieci były jedyną jego pociechą, to też kochał je nadewszystko, ale i zato żona go czasem strofowała, mówiąc, że niepedagogicznie postępuje z niemi, rozpieszczając i dogadzając zanadto ich dziecinnym fantazyom.

Wreszcie przed ganek zajechała dorożka i pan Antoni pojechał w pole do gospodarstwa.



II.



ego samego dnia wieczorem w kancelaryi właściciela Kołomierza odbywała się zwykła codzienna »dyspozycya«.

Po wysłuchaniu raportu z dnia ubiegłego, po wydaniu rozporządzeń na dzień następny, pan Polkiewicz, stary rządca, zapytał nagle:

— A co mam robić, proszę wielmożnego dziedzica, względem tej dyspozycyi wielmożnego pana Samuela?

— Jakiej dyspozycyi?

— A względem tych dwudziestu ludzi z ryśkami i czterech fur do wożenia ziemi.

Pan Antoni słuchał z najwyższem zdziwieniem, najwyraźniej nie mógł tych słów zrozumieć.

— Coś się Polkiewiczowi w głowie pokiełbało! — zawołał pan Antoni.

— Nie, wielmożny panie, ja już myślałem, że to pan Samuel pomylił się... Pytałem dwa razy, ale powiedział najwyraźniej: dwadzieścia chłopów do kopania i cztery fury... To teraz w żniwo, trzeba będzie strasznie drogo zapłacić.

— Cóż on będzie kopał?

— A to dla tych »charkologów« podobnoś.

W tej chwili pan Antoni uderzył się w czoło, jakby sobie coś nagle przypominając i zawołał:

— Prosić tu zaraz młodszego pana.

Za chwilę był syn w kancelaryi. Ojciec przywitał go porywczo, wołając:

— Samuś, co ty wyrabiasz?

Pan Samuel popatrzył na ojca swego ze zdziwieniem i spytał:

— Cóż tatko ma mi do zarzucenia?

— Bałamucisz mi oficjalistów, dajesz dyspozycje sprzeczne z mojemi... Na co ci dwadzieścia ludzi z łopatami i cztery fury.

— Jakto na co? — rzekł najspokojniej syn — przecież dla archeologów. Siedzieć w pokoju z założonemi rękami nie będą, muszą kopać.

— Może im dać Jurka Moskala, starego Szymona, ogrodniczka Iwasia i parę taczek.

Syn zaczął się śmiać wesoło i dodał:

Jeszcze można dołączyć starą, garbatą Jewdocię i krzywego wiernika z gorzelnii Mordka.

Ty mi tu kpin nie wyprawiaj — zawołał niecierpliwie ojciec. — Ja ludzi teraz w czasie żniw nie mam. Hucułów oderwać nie można, bo by się wszyscy sąsiedzi z nas śmiali.

— Cóż zrobimy ojcze?

— Niech sobie ludzi z Krakowa sprowadzą... Ja przecież anim ich zapraszał, ani nie obiecywałem im dawać w tej porze tylu robotników.

— Ależ tatko przyznał mi słuszność, żem ich zaprosił — odparł pan Samuel pokornie.

— Cóż miałem zrobić... Wypędzić nikogo nie wypada, kawałka chleba nie pożałuję, ale dziś dwudziestu chłopów i cztery fury, to mój paniczu nie żarty... Tego się nikt odemnie nie doczeka. Żniwa to święta pora, Bóg chleb rodzi, a człowiek pod grzechem ciężkim zebrać go powinien i rąk od tej roboty odrywać się nie godzi. Rozumiesz!

— Rozumiem! Ale zawsze mnie się zdaje, kochany tatusiu, że nie można z nimi tak postąpić, bo śmiałyby się z nas cała okolica.

Słowa te i pokorny ton mowy syna zmiękczyły trochę gniew pana Antoniego, bo uspokoił się nieco i po chwili zapytał.

— A mniej robotników nie można im dać?

— Trzeba się zapytać.

— No, to chodźmy do nich.

I skierowali się w stronę gościnnego pokoju, wychodząc zwrócił się dziedzic do Polkiewicza i dodał:

— Poczekajcie tu na mnie.

Przeszedłszy cały szereg pokoi, znaleźli się obaj panowie w ogromnej komnacie, oddanej na mieszkanie i pracownię dla uczonych. Ciekawy i niezwykły widok przedstawił się ich oczom:

Profesor Grabiec siedział zadumany na kanapie i zamknięty oczy, przysłuchiwał się z zajęciem jakiejś obcej piosnce, śpiewanej przez oryginalnego człowieka, który przykucnął przed nim na ziemi. Człowiek ten miał szerokie kościste ramiona, głowę dużą, pokrytą jasnymi lnianymi włosami, i twarz ogromną czerwoną, wpadającą w fioletowe cienie. Śpiewał jakimś dziwnym, rzeźwym i pięknym jeszcze głosem żołnierską, trochę dziką, lecz melodyjną rosyjską piosnkę. Słów jej trudno było dosłyszeć, treści niepodobna prawie zrozumieć, tylko wyraźnie wymawiał końcowe wiersze każdej zwrotki:

Oj Tuła, Tuła, Tuła, ła,
Tuła rodina maja!

Po każdej zwrotce podnosił swe jasne, pocziwe oczy w stronę profesora, jakby pytając czy ma śpiewać dalej. W oczach tych malowała się jakaś dziwna dziecięca prawie miękkość, zmieszana z olbrzymią dozą bezmiernej melancholii.

W drugim końcu obszernego pokoju dr Schuster siedział przy biurku i pisał coś pospiesznie; z niecierpliwością i gniewem zwracał głowę w stronę profesora i śpiewaka, jakby chcąc powiedzieć:

— Czy w takim hałasie może uczony pracować?

Cały pokój zavalony był dość dużymi pakami, które w oryginalny sposób mieszały się z wytwornymi meblami, zapełniającymi to mieszkanie.

Pan Antoni, ujrawszy ten niespodziany obraz, zatrzymał się w drzwiach i w pierwszej chwili nie mógł się zdecydować, co ma zrobić, czy cofnąć się, czy przerwać popis śpiewakowi.

Wreszcie profesor spostrzegł obecność pana domu i jakby budząc się ze snu, zawołał:

— Ma pan tu nadzwyczajnego człowieka. Miło mi było posłuchać piosnek, które obijały się o moje uszy w czasach mej pierwszej młodości... widocznie on musiał być pierwszym śpiewakiem w pułku.

Pan Antoni patrzył nań ze zdumieniem i nie mógł słów jego zrozumieć, on jednak odgadł to i wnet się zaczął tłumaczyć:

— Widzi pan, w młodości służyłem w armii rosyjskiej w inżynierskim korpusie, więc się tłukł człowiek po całej imperyi, a że muzykę zawsze ogromnie lubiłem a śpiew przede wszystkim, więc zawsze przysłuchiwałem się z przyjemnością piosnkom żołnierskim, w których jest tyle szczepowej słowiańskiej melancholii i tyle wprost rasowej oryginalności.

— Nie chciałem panom przeszkadzać — rzekł pan Antoni — ale muszę się porozumieć, co do tych robotników na jutro. Tylu robotników, wielu panowie żądacie, dać nie mogę.

— A cóż będzie?

— Możeby liczbę zmniejszyć na razie? — mówił błagalnym głosem gospodarz. — Jak długo trwają żni-

wa, nie podobna dać więcej jak sześciu lub ośmiu ludzi, a później, po zniwach dam wam choćby czterdziestu.

— Dobrze, dobrze! — zawołał profesor Grabiec — mnie wszystko jedno, żebyśmy tylko do września skończyli zamierzone roboty.

Później, jakby żałując każdej nuty straconej, zwrócił się do owego dziwnego człowieka, mówiąc:

— No, Juria śpiewaj dalej przy dziedzicu.

— *Nielza!* — odpowiedział śpiewak i skrył się ostrożnie za olbrzymią pakę.

— Skąd go pan dostał? — zapytał profesor.

— Przywędrował przed dziesięciu laty, prawdopodobnie z Rosyi... Nie mówił skąd idzie i dokąd... został przy dworze, to go się tu karni i odziewa... Byłby dobry człowiek, tylko pijak... Lubię nawet tego gałgana, od czasu do czasu każę go po ludzku przyodziać, ale myśli pan że mu to na długo wystarczy... gdzie tam, zaraz dostanie ataku pijaństwa, ucieka do miasteczka i powraca po kilku dniach, goły i bosy. Taka w nim już hajdamacka natura.

W tej chwili dr Schuster skończył pracować, złożył systematycznie zapisane ćwiartki do teki i zbliżając się do rozmawiającej grupy, przemówił cierpkim tonem:

— Widziałem, że i panów zdziwił ten oryginalny sposób zabijania czasu, jaki urządził sobie mój szanowny kolega... Nie wiem co ja tam dziś popisałem, ale doprawdy przy akompaniamencie tak dzikiej muzyki, trudno coś poważnego napisać.

Pan Antoni i jego syn zaczęli z pobłażaniem mówić o zamiłowaniu profesora do żołnierskich piosnek, ale nie przekonali uczonego Niemca, bo słuchał ich wywodów z widoczną niechęcią, a wysłuchawszy machnął ręką i wróciwszy do swego biurka, zasiadł w fotelu i zatopił się w studyowaniu jakiegoś niepomiernie grubego niemieckiego naukowego dzieła.

Przy wieczerzy z wyjątkiem pani Derkałowiczowej zebrało się znowu całe towarzystwo.

Pan Łuczyk, przestrzeżony przez Samuela, nie kręcił już gałek z chleba, ale zato patrzył na pannę Wandę jak wół na słońce.

Profesor Grabiec pragnął zrazu bawić piękną panią domu, ale odbierając w zamian za swe komplementa nadzwyczaj grzeczne, ale zupełnie obojętne i zimne odpowiedzi, zwrócił swe spojrzenia także w stronę pięknej nauczycielki.

Dr Schuster, siedząc po lewej stronie pani domu milczał zawzięcie i z zazdrości obserwował jak jego kolega bawił młodą pannę.

Francuz Donné nie zwracając uwagi na to, że panna Wanda z całym natężeniem uwagi słuchała słów profesora, przerywał im rozmowę reminiscencyami z dzisiejszej lekcji tańca.

— Wielka szkoda, że pan profesor bał nie widział, jak piękna dama, panna Wanda, pokazywała mała Zula, *pas* od mazurka... Prawdziwa primabalerina. Nie widział w moje szycie taka.

— A mnie dlaczego pan nie pochwali? — zapytała śmiejąc się najstarsza Ola.

— I panienska Ola tancował *sublime*, ale panna Zula jest zdatniejsza w ruchu, więcej *elegante*... a już panna Wanda to nie może być nic śliczniejszego. Moja niebożczka szona tak umiał tańcować, *madame* Donné. Ona był pierwszy, najpierwszy baleryna w Warszawie. Oficerowie od gwardyi przed nią klękali, bukiet co minuta jej rzucali, ale ona się nie patrzyła na nich, bo mnie kochała, mnie, *monsieur Donné, son mari*.

Pan Antoni słuchając słów gadatliwego Francuza śmiał się bez przestanku, a zauważywszy z radością nawet uśmiech na poważnej twarzy pani Klementyny, zawołał wesoło:

— Jeżeli to tak ładnie wygląda, to możeby po kolacyi powtórzyć: są panicze, to będą się także uczyć, a my się będziemy przypatrywać.

Pan Donné popatrzył po zebranych, a zatrzymując wzrok na Łuczyku, rzekł:

— Dobrze, pan dobrodziej! Można zrobić małe lekcye, tylko ja nie gwarantuję, czy pan *metr* od *latin* da się nakłonić do elegancki *pas*. On jest zanadto *robust*... Niema zwinne nogi.

Pana Łuczyka taki gniew uniósł, że zapomniał o przestroгах Samuela i wybuchnął:

— Niech mnie pan da czysty spokój, ja nie do panieńskich tańców... Ot widzieliście napaść francuską. Coś jemu Łuczyk winien!

Pan Antoni zanosił się serdecznym śmiechem, a nawet pani Klementyna nie potrafiła zachować zwykłej swej powagi i śmiejąc się uspokajała bardzo obrażonego Łuczyka:

— Niech się pan nie gniewa na pana Donné. On nie umie się wyraźnie wystawić po polsku... Nie miał zupełnie zamiaru obrazić pana.

Łuczyk się nasrożył i wydawszy swe grube, mięsiste usta, mruknął:

— Miałbym się na kogo obrażać... Ot zwyczajnie Francuz... Każdy wie, co to znaczy.

Naprężoną sytuację, która powstała po nieparlamentarnych słowach gburowatego Łuczyka, zażegnała pani domu, powstając od stołu i zapraszając całe towarzystwo do salonu na improwizowaną lekcję tańców.

Łuczyk wyniósł się do oficyny, nie pożegnawszy się z nikim. W ten sposób zemścił się na Francuzie.

W salonie tymczasem odbywał się popis. Małe naturalnie nic jeszcze nie umiały, więc do czardasza zaprosił pan Donné pannę Wandę i w rzeczy samej para ta nadzwyczajnych tancerzy przykuła do siebie wszyst-

kich zgromadzonych. Gdy skończyli, mała Zula z Kazikiem powtórzyli ten taniec i zyskali poklask całego towarzystwa, nawet p. Donné, który z radością wołał:

— Z temi elewami można cud robić... Panienska Zula *charmante*. Piękna i zgrabna panienska...

Później podszedł do dużego bukietu, znajdującego się na stoliku pod lustrem i wyjąwszy zeń najpiękniejszą różę, podszedł do panny Wandy, podał jej kwiat, mówiąc:

— Niech piękna dama przyjmie ta róża od swego oślepionego *danser*. Piękniejszy dama niema dla tej róży.

Z uderzeniem dziesiątej godziny, pan Antoni dał znak do rozejścia się na spoczynek. i

Wszyscy wkrótce spali, tylko pan Łuczyk łąził po ogrodzie, deptał po kłębach pięknych kwiatów i z gniewem spoglądał w okna pokoju panny Wandy, zupełnie ciemne i w dodatku zasłonięte grubemi storami.



III.

Następne dni były zupełnie podobne jedne do drugich. Dzieci odbywały lekcye tańców, pan Łuczyk pisał jakieś wiersze, które skrzętnie chował do drewnianego kuferka, zapowiedziawszy Kazikowi, że mu »uszy poobrywa«, jeżeli waży się kiedy rzucić okiem na te cenne rękopisy. Archeologowie kopali po całych dniach na mogiłach, oboje gospodarstwo byli pilnie zajęci codzienną pracą, a pan Samuel pomagał ojcu i archeologom i panu Donné, a w wolnych chwilach czytał Słowackiego i wzdychał ukradkiem.

Tak upłynęło dni kilka, aż w niedzielę po mszy rozległo się przed gankiem silne »palenie« z bata, doskonała czwórka kasztanowatych półkrwi arabów zatrzymała się jak wryta — państwo Arwayowie przyjechali z uroczystą wizytą do Kołomierza.

Chociaż było to niedalekie sąsiedztwo, lecz sympatya nie wielka łączyła te domy, między paniami było trochę ukrytej emulacyi. Lecz pani Klementyna dzięki hojności męża przyćmiewała zawsze panią Nusię, której mąż słynął z tego, że skąpił na wszystko w domu, tylko popisywał się końmi swego chowu. Te zawsze do stajni brał młode, a wyjeżdżiwszy doskonale, drogo do Wiednia sprzedawał.

Państwo Antoniowie wyszli witać przybyłych gości aż na ganek.

Przybyli państwo nie mieli sympatycznego wyglądu. Pan Paweł Arway był niski, niepomiernie otyły, o twarzy apoplektycznej, krzaczastych brwiach i gęstej, czarnej kędzierzawej czuprynie; zarastała mu ona do pół czoła. Pani Nusia, wysuszona, czarna, zmarszczona na twarzy, o ostro zarysowanych wąskich ustach i zakrzywionym dużym nosie, robiła wrażenie suszonej śliwki węgierskiej. Ich córka jedynaczka, Nusieczka, miała usta i nos podobne do matki, a figurę i włosy do ojca, i nic a nic nie przypominała ani kształtami ciała, ani rysami twarzy posągów bogiń greckich, do których ją ojciec, będąc w dobrym humorze lubił porównywać.

— Sąsiada dobrodzieja!

— Sąsiada dobrodzieja!

Zawołali nawzajem panowie, ściskając się i całując z dubeltówki.

Panie powitały się nadzwyczaj ceremonialnie uściśnieniem rąk, tylko pani Klementyna Niusieczkę pocałowała w czoło i dopuszczając się pobożnego kłamstwa, zawyrokowała:

— Ależ Nusienka wyładniała, wyrosła i zmężniała.

Ten ostatni przymiotnik w ustach pani Klementyny zabrzmiał jak gryząca ironia. Bo ona mężatka od lat kilkunastu i matka czworga dzieci przy osmnastoletniej Nusiencie wyglądała jak smukła topola przy karłowatej, krzaczastej wierzbie.

— Ja tu przyjeżdżam do sąsiada dobrodzieja z wyrzutami, z pretensjami! — zaczął rozmowę pan Paweł, wchodząc do wnętrza obszernego dworu.

— Z jakimi, sąsiedzie, z jakimi? — zapytał pan Antoni, udając wielkie zmartwienie.

— Niby to sąsiad się nie dorozumiewa...

— Doprawdy, że ani trochę.

— A cóż to nam sąsiad za zgorzenie w okolicy robi z tym kopaniem po mogiłach... Chłopy powaryo-

wały, szelmy pszenicy nie chcą żąć za czternasty snop, tylko wszystko leci do Kołomierza kopać po pięć szustek za dzień, przy tych jakichś... inżynierach.

— A to Samuel mi tych gości sprowadził — odpowiedział pan Antoni, zmuszając swój głos do strapionego tonu, a w duszy ciesząc się z wyplatanego figla, bo teraz dopiero odgadł, że filut Polkiewicz, żeby nie odrywać swoich robotników od żniwa, posyłał do sąsiedniej wsi pana Pawła i stamtąd brał robotników dla archeologów. Ludzie ci naturalnie woleli wziąć co dnia gotówkę pewną niż problematyczny »czternasty« snop na łańch pana Pawła.

Pani Nusia, choć wiedziała najdokładniej przez służbę o całej historii przybycia uczonych poszukiwaczy do Kołomierza, udawała zupełną nieświadomość i spytała cierpko:

— Skądżeż państwo do tych gości przyszli?

— A to Samuel tych panów zaprosił, spotkawszy ich w Przybyłowie — odpowiedziała szczerze pani Klementyna.

— Jużto pan Samuel lubi kultywować arystokratyczne stosunki... Do Przybyłowa to i co tygodnia jeździ, a do nas to ledwie raz na kwartał na godzinę raczej zagościć.

— No, no! Sąsiad dobrodziej trochę przesadza — przerwał mu pan Antoni.

— Nie przesadza, nie! — zasyczała pani Nusia — ale zobaczymy jak pan Samuel na tych wizytach wyjdzie... Znają sąsiedzi, jak kto siedzi, my znamy Uniskich jako dumnych i fałszywych... Tam niema naszej serdeczności i otwartości... Tylko same intrygi i fummy.

— Zapewne, zapewne! — potakiwała pani Klementyna z konieczności, a myślała w duszy, że za »serdeczność i otwartość« państwa Pawłowstwa nie dałaby pół złamanego szeląga.

Tak idąc i rozmawiając znaleźli się nareszcie w salonie, gdzie zastali pannę Wandę, grającą na fortepianie. Pan Donné, wystrojony w nowy granatowy surdut, w śnieżnej białości kamizelkę i czystą chustkę na szyi, ruchem pełnym gracyi obracał kartki zeszytu z nutami. Dwaj uczeni sprzeczali się o jakiś szczegół, dotyczący wczorajszych poszukiwań. W chwili ukazania się świeżo przybyłych gości i państwa domu, panna Wanda przestała grać. Nastąpiło zapoznanie się wzajemne i ogólna rozmowa. Pan Grabiec mały brał w niej udział, tylko bacznie obserwował przybyłych jako nieznane mu typy, zachodził niepostrzeżenie ze wszystkich stron, wreszcie usiadł w kącie i zaczął w notatniku szkicować głowy pana Pawła i jego córki, szepcząc półgłosem:

— Słowo daję turańskie czaszki!

Dziwną rozmowę prowadziły panie, niby nad wyraz serdeczną, ale w głębi duszy pani Nusia każdym słowem pragnęła ukłóć gospodynię, a pani Klementyna pod pokrywką wyszukanej gościnności i uprzejmości dawała uczuć swej sąsiadce całą ogromną różnicę ich położenia towarzyskiego.

Panna Nusieńka zrazu rozmawiała z pewnem lekceważeniem z panną Wandą, ale jak tylko zjawił się w pokoju pan Samuel, tak zabrała go na wyłączną swą własność i aż do samego obiadu nie pozwoliła mu do nikogo słowa przemówić. Rozmowę z młodym człowiekiem rozpoczęła od pytania:

— Czy dobrze się pan bawił w Przybyłowie ostatnim razem?

Samuel odpowiadał półsłówkami i z tem nie krył się zupełnie, że mu ta opieka nieładnej panny ciąży nieznośnie, zwracał więc błagalny wzrok w stronę panny Wandy, wzywając jej pomocy w nużącej konwersacyi. Lecz młoda dziewczyna z figlarnym uśmiechem spoglądała nań i nie spieszyła się ratować go, poświęcając

całą uwagę słowom profesora Grabca, opowiadającego jej z ożywieniem o postępie robót na Kurhanach.

Nagle profesor przerwał rozmowę, wznosił głowę w górę i pilnie nadśłuchiwał, co mówią przy głównej kanapie, wreszcie szeptem spytał pannę Wandę:

— Niech mi pani raczy wyjaśnić, jakim językiem ci państwo mówią?

— Po polsku — odparła, uśmiechając się.

— Wiem, że to niby po polsku, ale niech pani słucha »zapomniał za niego«, »krewny do niego«... Podobnych zwrotów nigdy w życiu nie słyszałem. Czy to tak Ormianie tutaj mówią?

Panna Wanda zaśmiała się wesoło, odpowiadając:

— Więc i pana to uderzyło... Z początku nie mogłam się do tego przyzwyczaić, dziś niestety już mnie to nie razi nawet i boję się, że sama z czasem zacznę jeszcze w ten sposób się wyrażać.

— Przecież państwo Korymowiczowie, choć także Ormianie, mówią całkiem poprawnie.

— Tak! — odpowiedziała — zresztą to nie jest specjalnością Ormian na Pokuciu ten zepsuty język. Tego żargonu używają tu i Polacy, i Ormianie, i żydzi cywilizowani... Jedyne wyjątki jakie znam to są państwo Korymowiczowie i Uniscy, inni wszyscy są krewni »do« siebie i zapominają »za« gramatykę, a nawet »za« logikę. Czasem trudno zrozumieć, co chcą powiedzieć.

Tymczasem Wojciech oznajmił uroczyście, że podano do stołu.

Obiad był wspaniały, pani Klementyna dała poznać pani Arwayowej nadzwyczajną doskonałość kuchni kołomińskiej.

Samuel, zmuszony wprost do tego, prowadził pannę Nusienkę do stołu i musiał odpowiadać na jej bezprzystanne pytania, a dwaj uczeni, pan Donné i Łuczyk pożądliwie chwyтали każde spojrzenie i każde słowo panny

Wandy, która dziś była niezwykle ożywiona i bardzo rozmarzona.

Po obiedzie odbyła się przejażdżka wielką łodzią po stawie. Bawiono się wesoło. Pani Nusia przemocą wkładała w uszy pani Klementynie całą masę sąsiedzkich plotek, w których charaktery znajomych panów i cnota pań malowane były sadzą i błotem... Zaś panna Niusienka przechylała melancholijnie swą dużą niekształtną głowę i swemi purpurowemi, mięsistemi wargami szeptała do pana Samuela:

— Ach jak to rozkosznie płynąć po tym stawie... Chciałabym tak płynąć całe życie.

— To niech pani zamieszka w Wenecyi — odpowiedział młody człowiek obojętnie i zimno.

— W Wenecyi... Byłam z rodzicami w Wenecyi... Ale mnie tam nic nie ciągnie, ja chciałabym żyć blisko swoich, blisko kochanych.

Mówiąc to westchnęła głęboko i zabójcze spojrzenia swych czarnych i nie brzydkich oczu zwróciła na pana Samuela niewzruszonego jak skała.

Nagle uwagę wszystkich zajął swoją osobą pan Łuczyk, pytając niespodzianie.

— Wieleż to pieniędzy można nabrać za ryby z tego stawu.

A gdy mu pan Samuel odpowiedział, że co trzy lata sprzedaje się ryby za cztery tysiące złotych reńskich, zaczął coś mruzczyć półgłosem na temat, że to jest niesprawiedliwość, bo ryba sama rośnie w wodzie i że chłopcy powinni mieć prawo łowić ją i używać na swoje potrzeby.

Rozumowanie to podchwycił swym byстрыm słuchem pan Paweł i nachyliwszy się do pana Antoniego, szepnął mu do ucha:

— Coś ten bakalarz grubo mi się nie »podobie«... Widać jakiś socjalista, czy komunista?

Na to pan Antoni już zły, odpowiedział krótko:

— Dureń!

— Ma sąsiad rację, ale w domu trzymać takiego niebezpiecznie, bo służbę pobuntuje.

— Może nie zbuntuje, bo bardzo dobrze płacę i żyją w dostatku.

— Dalej nie chciał już pan Paweł przedłużać rozmowy, bo schodziła na temat niemiły dla niego.

Po powrocie z wycieczki na stawie podano herbatę, potem konfitury i słodczyce.

Wieczór zbliżał się szybko, zaczęło się ściemniać, więc pani Arwayowa szepnęła swemu mężowi, żeby zaczął zaprzęgać.

Gdy w kwadrans później dzielna czwórka unosiła powóz państwa Arwayów z dziedzińca kołomierskiego, pan Paweł odezwał się pierwszy:

— Ależ zebrali menażeryę.

— Jakieś same orangutangi — szepnęła pani Nusia — jedna jeszcze do ludzi podobna, ta guwernantka.

Na to córka skrzywiła swe pełne usta i z lekceważeniem zawołała:

— Właśnie, że nic na niej niema osobliwszego. Ot sobie guwernantka... Zobaczysz mama, co z nią oni jeszcze będą mieli za komedye.

— Ca za komedye? — spytała ciekawie matka.

— Takie komedye, że ona bałamuci pana Samuela... Już ja to dobrze sobie zauważyła... Takie to niby niewiniątka a strzela do niego oczyma, że aż strach. A swoim porządkiem mizdrzy się do tych wszystkich profesorów... Straszna kokietka i tyle.

Na to matka zaniepokojona w głębi duszy, ale nadrabiając miną i chcąc uspokoić córkę, rzekła:

— Że kokietka to kokietka... Negować nie myślę... Ale to nic niebezpiecznego, skończy się na romansiku... Stary Korymowicz, dumna sztuka, pannę z domu wy-

prawi, a Samuel zapomni »za nią« do miesiąca... Jądwiga z Przybyłowa niebezpieczniejsza.

— Ot głupstwa wam w głowie — zdecydował pan Paweł — jak ja pogadam na rozum ze starym, a on się dowie, że Niusienka dostanie zaraz trzy kroć a po najdłuższem naszym życiu resztę, to i guwernantka i panna Muszka wezmą w dudy, a w zapusty wyprawimy wesele. Pan Antoni to on niby udaje jakiegoś bardzo górnego Polaka, niby jakiegoś patryotę, ale pewno zrozumie, co to *Geld auf Tisch*, teraz takich posagów, jak będzie miała Nusenka, i pomiędzy księżętami nie dają. Ot, co!

— Daj Boże, daj Boże — szepnęła matka — chciałabym się już wnuków doczekać.

Panna, słuchając tych słów spłonęła rumieńcem, a ojciec porywczo dodał:

— A jeżeli będzie taki głupi i zechce grymasić, to niech idzie na cudze ręce... My pojedziemy do Lwowa i znajdziemy dla naszej córki prawdziwego hrabiego... To dopiero pani Klementyna zginie z zazdrości, jak moja Nusia będzie jej mówić: »moja córka pani hrabina«. — A co?

Tymczasem towarzystwo całe w Kołomierzu, odprowadziwszy państwa Arwayów, zasiadło na werandzie od strony ogrodu, rozkoszując się balsamicznem powietrzem lipcowego wieczoru. Upajająca woń róż i lip kwitnących przepełniała atmosferę. Cisza zaległa w około, każdy z obecnych pogrążony był w głębokich myślach lub marzeniach.

Pierwszy przerwał milczenie pan profesor Grabiec, zapytując pana Antoniego:

— Niech mi pan raczy powiedzieć, czy ci państwo to także Ormianie?

— Naturalnie, czemuż to pana dziwi?

— Dlaczegoż oni tak inaczej wyglądają jak na przykład pan, pani lub pan Samuel?

Pan Antoni uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł:

— Ormianin Ormianinowi nie równy, i u nas są stare, szlachetne rodziny i jest pospółstwo, prostactwo, co się w ostatnich czasach dorobiło pieniędzy i teraz się dmie... Rozumie pan?

Całej tej dyskusyi słuchał dr Schuster z natężoną uwagą, oczy mu świeciły radośnie a na chudej twarzy błądził sarkastyczny uśmiech. Gdy skończył mówić pan Antoni, odezwał się poważnie:

— Chociaż pan profesor Grabiec był kilka lat na Kaukazie, a jednak nie zna tej materyi, tak ważnej w etnografii i historii ludów aryjskich. Ja chociaż tylko trzy miesiące spędziłem w Armenii i w Azji mniejszej i na Kaukazie, ale udało mi się — o ile sądzę — tę trudną zagadkę rozwiązać. Jeżeli państwo się nie znudzą, to ją wytłumaczę.

— Ależ prosimy, prosimy bardzo! — odezwało się kilka naraz głosów.

Doktor rozsiadł się wygodnie w fotelu, zapalił cygaro i mówił tonem wykładu z katedry uniwersyteckiej:

— Najwidoczniejszym jest dziś na Wschodzie, że wśród Ormian są dwie zupełnie odrębne rasy, dwa różne rdzenie szczepy i najpewniej zupełnie innego i nie pokrewnego nawet pochodzenia. Jedni są jasnej cery, o czaszkach podługowatych, włosach cienkich, jedwabistych, bardzo często jasnych, prawie płowych, o rysach twarzy szlachetnych, regularnych... Ci są budowy ciała smukłej, wyniosłej, w ruchach zgrabni i w ogóle noszą na sobie piętno szlachetnej aryjskiej rasy.

Wszyscy słuchali z natężoną uwagą ciekawego wykładu pana doktora Schustra, a rozmarzony i ciekawy wzrok panny Wandy spoczął na postaci pana Samuela, jakby badając, czy on podobny do obrazu, kreślonego przez uczonego doktora. Archeolog zaś tymczasem mówił dalej:

— Otóż ten szlachetny szczep jest w rzeczy samej aryjskiego pochodzenia, są to potomkowie starożytnych rodów książęcych i rycerskich, dotychczas w czystości rasy tam na Kaukazie zachowani. Najciekawsze, że są oni prawie bez wyjątku katolikami i dlatego nie łączą się nigdy w małżeństwach z drugą pospolitą rasą pseudo-Ormian.

— Czemże są ci drudzy? — zapytał ciekawie pan Samuel.

— Ci drudzy, to jakiś turański, mongolski szczep, który zapewne w dalekiej przeszłości został zawojowany i ujarzmiony przez staro-armeńskie, wojownicze plemię, i zamieniony w niewolników. Są to ludzie o wybitnym mongolskim typie, mają kędzierzawe, czarne, wełniste włosy i zarosnięte, niskie w tył cofnięte czoła. Pan Arway właśnie jest doskonałym przedstawicielem tej niższej rasy. Dziś i ci przestali już być niewolnikami, ale pozostali plebsem, motłochem i w portach Czarnego morza są posługaczami, robotnikami i stanowczo nigdy szlachetne rody ormiańskie w Azji nie łączą się z tem pospółstwem.

— Jakże jest u nas panie doktorze? — pytał ciekawie pan Antoni.

— W Galicyi wskutek Unii ogólnej z Kościołem katolickim, różnica wyznaniowa znikła. Dalej przez stosunki polityczne zatarła się różnica społeczna, towarzyska, więc rasy się zmęszały... Chociaż czasem można odkryć i tu typy doskonałe w czystości zachowane.

Zwracając się nagle do pani domu dodał:

— Naprzykład łaskawa pani jest najdoskonalszym okazem kobiecym starej szlachetnej rasy ormiańskiej a tem samem potwierdzeniem żywym moich naukowych wywodów.

Pani Klementyna zapłonila się na ten trochę ekscentryczny komplement uczonego oryginała, lecz wi-

docznie zrobił on jej pewną przyjemność. A pan Antoni, korzystając z dobrego humoru żony pocałował ją w rękę i zawołał wesoło:

— A co?... Nie mówiłem, że moja żona prawdziwa księżniczka!

— Tak jest! Prawdziwa księżniczka, księżna pani nasza kolatorka.

Słowa te przemówił wchodzący w tej chwili na ganek ksiądz Kałuski, ruski proboszcz w Kołomierzu.

— Rączki całuję i do stópek się ścielę, pani kolatorki — mówił dalej, całując rękę pani Klementyny. — Z nowiną przychodzę.

— Cóż to jegomości tak długo nie było widać? — zapytał pan Antoni, ściskając dłoń zacnego proboszcza.

— Ot różności... Zwyczajnie jak na wiejskiej plebanii... Mieliliśmy cały młyn w domu... Nazjeżdżali się »pitomcy« do mojej Fruzi... Zwyczajnie alumni, po skończonych studiach, podczas wakacyi żon szukają... Przebierała, przebierała, nareszcie wczoraj się zdecydowała.

— Bardzo winszujemy! Bardzo winszujemy!

Odezwali się wszyscy chórem.

— Będziemy państwa kolatorstwa prosić na wesele... I z gośćmi jeśli łaska.

Tu zwrócił się w stronę archeologów i grzecznie im się uklonił.

— Ależ prawda, ksiądz proboszcz nie zna jeszcze panów, to dowód, jak o nas zapominacie, kochany proboszczu.

Mówiąc to pan Antoni powstał i zbliżając się do uczonych rzekł, wskazując ręką w stronę księdza:

— Przedstawiam panom mego najzaciejszego proboszcza, prawdziwego przyjaciela naszego domu, a prztem bardzo uczonego człowieka. Od niego dowiedziecie się więcej o zabytkach naszych stron, niż od dziesięciu takich profanów jak ja.

— Księżę proboszczu! — odezwała się pani domu — później będzie ksiądz proboszcz z panami o ich zajęciach i wykopaliskach rozmawiał, teraz proszę nam powiedzieć, za kogo idzie panna Fruzia?

— Za alumna.

— Ale jak się on nazywa?

— Marceli Olnicki.

— Czy przystojny?

— Od dyabła trochę ładniejszy — odpowiedział, śmiejąc się proboszcz — ale czy to potrzeba mężczyźnie być ładnym, to jest kobieca rzecz.

— Z jakich stron pochodzi? — indagowała dalej pani Korymowiczowa.

— Z daleka przyjechał — odrzekł proboszcz powoli i z pewną zadumą — ojciec jego, mój największy przyjaciel i kolega z seminaryum i z gimnazyum jeszcze, ma parafię na Podolu, aż pod Tarnopolem; syn jego skończył teraz seminaryum i wyjechał w świat szukać żony, dojechał aż do mnie i jakoś się tak zrobiło, że się młodzi podobali, no i zaręczyli wczoraj... Innym, co tu dawniej i dłużej dojeżdżali, taki finał nie w smak poszedł, ale ja się cieszę, bo dostanę zięcia z dobrego gniazda.

— Ale że też panna Fruzia tak prędko się zdecydowała? — zagadnęła panna Wanda.

— Lepiej prędko, niż powoli — odparł z uśmiechem ksiądz — od swego ojca miał list polecający, od biskupa dowiedziałem się, że chłopak dobry, zdolny, w seminaryum uczył się świetnie... Cóż robić, niech się pobierają... Najgorzej, że nagłą ze ślubem... Chcą, żeby za trzy tygodnie było wesele.

— Co?

— Jak?

— To nie może być!

— Jak się ksiądz przygotowuje?

— Kiedy zrobicie wyprawę?

Posypały się jak grad pytania ze wszystkich stron.

Proboszcz uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł:

— Czyż państwo myślicie, że u nas musi być tak jak u was... Wyprawę daje się pod poduszkę, co zechce to z woreczka wyciągnie i kupi sobie choć po ślubie, a przyodziać się na początku ma w co... A wesele, to prosta rzecz, zarzną ciele, wieprza, drobiu nabiją, pan Samuel daruje rogacza z lasu, pani kolatorka karpia ze stawu, kucharz kolatorski — tu skłonił się po raz wtóry w stronę pani Klementyny — zgotuje, tak że popy będą palce oblizywać, a i państwo kolatorstwo nie pogardzą strawą na plebanii...

— Mądry człowiek! — zawołał pan Antoni — zawsze powiadam, że nasz proboszcz to najrozumniejszy gospodarz w całej okolicy. Raz, dwa, trzy i córkę wyda i gości przyjmie, bez wielkiego zachodu... A u nas byle Arway się trafił, to zaraz przyjęcie jak dla króla jakiego.

Po godzinnej pogadance ksiądz się pożegnał, bo miał czas wyrachowany i spieszył się do pracy.

Stanęło na tem, że państwo Antoniostwo przyobiecali proboszczowi być wraz z gośćmi na weselu.

Pan profesor Grabiec cieszył się, że pomnoży swe etnograficzne spostrzeżenia, a pan Donné obiecywał sobie zaćmić wszystkich alumnów swymi popisami.

Wieść ta jednak najsilniejsze wrażenie zrobiła na panu Łuczyku, który w duchu zaklął: to ci bestya alumnioğa, bierze taką śliczną pannę i pieniędzy co nie-miara... Dalibóg, że porzucam tę zatraconą filozofię i »wstąpię do seminaryi«.



IV.

§ Pomimo tylu gości, system gospodarstwa domowego pani Klementyny był tak doskonały, że wkrótce powróciło wszystko do zwykłego ładu i porządku i nikt nawet nie zauważyłby, że dwór kołomierski ma dwa razy tyle mieszkańców, jak w zwykłym czasie. Dzieci uczyły się tańczyć; pan Donné prawił pannie Wandzie komplementy francuskie; ona się z nich śmiała; uczeni z Krakowa kopali z zapalem i wieczorem staczali utarczki na słowa, sprzecząc się, który lepszy program robót wymyślił, ostatecznie jednak kończyło się na podjazdowej wojnie, bo dotychczas były ich poszukiwania bezskuteczne — nic dotąd nie znaleźli.

Wreszcie pewnego razu przed południem wpadł Jurko Moskal przed ganek dworu z rozognioną twarzą i z dziwnym zapalem w oczach, wołając do siedzącego tam pana Antoniego:

— *Naszli, naszli!*

— Co?

— Profesor znaleźli »grob«... Są kości, topory, spisy i kamienne trumny.

Pan Antoni wstał z krzesła i zbliżając się do Jurka, zapytał surowo:

— Czy ty się upił?

— *Fej Bohu niet!* No przysłali mnie profesor, co bym skazał, że znaleźli groby.

— No i co więcej?

— *Katoryj czas teraz bariń didycz?*

— Co ci po godzinie?

— Prosimi profesor, żeby panicz Samuel zaraz brali paki z ich *komnaty* i jechali tam na Kurhany *nužno* pakować kości do Krakowa. *Katoryj czas?* Trzeba zaraz jechać, żeby przed nocą spakować.

Zrobił się hałas okropny. Pan Samuel oderwał na gwałt fury, zajęte zwożeniem zboża i naładowawszy na nie paki, złożone w pokoju uczonych, poleciał z nimi do mogił, gdzie prowadziły się poszukiwania.

Pan Antoni rozciekawiony także odkryciem, kazał zaprzęgać do powozu, do dorożki i do wózka i zabrał wszystkich z domu, ażeby zobaczyli wykopalisko.

Gdy przyjechali na miejsce, dziwny i oryginalny widok przedstawił się ich oczom: W przekopie prowadzonym wzdłuż całej mogiły stali dwaj uczeni niby stróże jakiegoś skarbu i nachylając się od czasu do czasu własnymi rękoma zbierali kości, czaszki i drobne brązowe przedmioty, składając je własnoręcznie do podsuniętych pak, naturalnie po starannem owinięciu w liczne arkusze papieru.

Całe towarzystwo z ciekawością zbliżyło się do przekopu, lecz profesor Grabiec nie pozwolił wejść nikomu. Stał rozkrzyżowawszy ręce i zagroził przejście swą osobą.

— Przepraszam — wołał — jeżeli państwo jesteście ciekawi, to proszę wyjść na ten tu obok nasyp, tam z góry można objąć okiem całe wnętrze mogiły. Ja na dół nie puszczę nikogo... Tu mogą wejść tylko specjaliści... Tu najdrobniejsza nieostrożność może niepowetowaną stratę przynieść nauce.

Pan Antoni, chociaż oburzony w duszy samowolą profesora, poddał się jej jednak i zrezygnowany poprowadził swą rodzinę na wzgórek, utworzony z nasypu

wykopanej ziemi, z którego widać było, jak uczeni nachyliwszy się ku ziemi, z pietyzmem wybierali doskonale zachowane szkielety przedhistorycznych olbrzymów i wytrząsali do słoików czarny proch z czaszek.

Ale i tam nie długo im pozwolił pozostać profesor, lecz po kilku minutach zaczął nalegać:

— Najlepiej państwo zrobicie udając się na obiad do domu... My stąd nie odstępimy do wieczora. Jeżeli łaska, to proszę nam tu przysłać kawałek chleba i trochę wędliny i wódki...

— Ależ my pragnęlibyśmy to z bliska zobaczyć — przemówiła panna Wanda, ufna w siłę swojego wpływu.

— Nie mogę żadną miarą! — odpowiedział smutnym głosem. — Nauka jest nauką! Całe wykopalisko ofotografowałem natychmiast po rozkopaniu, to później dam państwu po jednej odbitce, a teraz na wszystko proszę nie przeszkadzać nam w pracy, przy której musimy skupić całą naszą uwagę.

— Czy i ja mam się wynosić? — spytał Samuel.

— Oh! nie — zawołali naraz obaj uczeni.

— Pan nam jest bardzo użyteczny — dodał Schuster — jesteś naszym asystentem i wyrobisz się z czasem na dzielnego archeologa.

— Wolałbym, żeby się wyrobił na dzielnego gospodarza — zawołał z góry pan Antoni, i rad nie rad sprowadzał panie i dzieci do stojących obok powozów.

— A jabym tam właśnie poszła, choć ten nieznośny profesor nie pozwala — zawołała z gniewem mała Ola. — Jakie on ma prawo? Co on ma nam nie pozwalać, przecież i ta mogiła i cały Kołomierz należy do tatka, nie do niego, więc tatko może tu robić, co się tatkowi podoba.

Długo musiała panna Wanda tłumaczyć rezolutnej Oli, że prawa gościnności są święte i trzeba być zawsze grzeczną i uprzejmą dla gości.

Reszta dnia przeszła monotonnie, wszyscy czekali cierpliwie na powrót uczonych i pana Samuela, żeby się dokładnie dowiedzieć o szczęśliwym odkryciu.

Pierwszy zjawił się pan Samuel i ze zgorzaniem powiedział, że archeolodzy pokłócili się z sobą na śmierć.

— Grabiec twierdzi — mówił — że to jego zasługa, Schuster zaś powiada, że bez niego nicby Grabiec nie zrobił i że jemu tylko można zawdzięczyć, że tak cenne wykopalisko zostało odszukanem. Bóg ich tam zresztą wie, który z nich ma rację. Jurko trzyma z profesorem, bo on go zato wódką częstuje.

Niebawem ukazał się sam profesor. Był nadzwyczaj zły i uszczypliwy i do nikogo przyjaznego słowa nie przemówił. Nawet na zapytanie panny Wandy odpowiadał niechętnie i zgryźliwie.

Wojciech podał wieszak i oznajmił, że przed kwadransem doniósł mu chłopak kredensowy, Wiktor Piechota, iż musi iść z doktorem do kąpieli, i prosił w imieniu doktora, żeby na niego państwo z kolacją nie czekali.

Zasiedli więc wszyscy i w milczeniu zjadali doskonałe kotlety z rizotem.

Zanim jednak podano drugi półmisek, wpadł do pokoju Piechota i zaanonsował z błazeńską miną, że pan doktor za chwilę nadejdzie.

Mrugając dość poufale do pana Łuczyka dodał półgłosem:

— Jak panicz nie wierzy, proszę się przekonać na własne oczy. Ot idzie tam grabową aleją i ręcznikiem łysinę wyciera.

— Marsz mi, durniu, do kredensu — zawołał obruszony Wojciech — ot jaki mi do konfidency, przy państwie będzie mi tu gadał.

A w duchu dodał:

— Znalazł swój swego!

W rzeczy samej wysoka i chuda postać doktora Schustera ukazała się wkrótce w drzwiach sali jadalnej. Ślady świeżej kąpieli były jeszcze aż nazbyt widoczne, bo w około jego okazałej łysiny zwisały wilgotne kosmyki włosów, a krawat był niedbale i niezgrabnie związany w nieestetyczny węzeł.

Ale znać, że nawet zimna kąpiel nie potrafiła uspokoić wzburzonych nerwów uczonego, ręce mu się trzęsły, gdy nabierał potrawę z półmiska, a w oczach mięły ostre, niby stalowe błyski.

Obecność doktora Schustera podziała widać pobudzająco na wymowę profesora Grabca, bo zaczął opowiadać z najdrobniejszymi szczegółami historię poszukiwań i szczęśliwego doprowadzenia ich do tak pomyślnego rezultatu.

— Przypomina pan sobie — zwrócił się do gospodarza — jak zaraz pierwszego dnia naszego pobytu przepowiadałem, że tu natrafimy na ślady stolicy przedhistorycznego państwa słowiańskiego. Już kopiąc przez ostatnie trzy lata w Przybyłowie, miałem pewność, że z dalszemi poszukiwaniami trzeba iść w kierunku Kołomierza.

Nagle przerwał mu doktor Schuster, zwracając się do siedzącego obok pana Samuela:

— Niech pan raczy powiedzieć panu profesorowi Grabcowi, że nieładnie stroić się w cudze piórka... Radościłbym mu przeczytać moje przeszłoroczne sprawozdanie do Akademii, z niego łącznie się przekona, czyją była hipoteza przedhistorycznej stolicy i kto doradzał robić dalsze poszukiwania na gruntach Kołomierskich.

Na to drżącym od gniewu głosem odezwał się profesor:

— Z mojej strony, panie Samuele, pozwolę sobie zauważyć, że zarzut strojenia się w cudze piórka najbardziej dotyczy samego doktora Schustera. Pan Uniski

świadkiem, czym tego projektu nie podawał w zaufaniu już dwa lata temu przy poufnych pogadankach w Przybyłowie. Doktor Schuster wprost wziął moje słowa i ukradkiem przepisał je i podał do Akademii jako swój projekt.

Doktor, słuchając tego oskarżenia, trząśł się cały po prostu, cienkie jego wargi drżały jak w febrze, hamował wybuch gniewu siłą woli, ale mu się to nie we wszystkim udawało, w końcu zaś mitygując się trochę zawołał:

— Proszę powiedzieć panu profesorowi, że ja nie spędziłem mej pierwszej młodości między żołdakami i nie myślę zapominać się do tego stopnia co on, żeby w gościnnym domu państwa, rozpoczynać spory, niegodne ludzi poświęcających się nauce.

Na to zirytowany profesor powstał z krzesła gwałtownie i zawołał:

— Ciekawym kto pierwszy dał powód do sporu? Lepiej ustąpię. — To mówiąc, olbrzymimi, gwałtownymi krokami przeszedł pierwszy do salonu.

Rozmowa się jednak w tych warunkach nie kleiła, to też wkrótce, wszyscy rozeszli się na spoczynek. Pan Samuel odprowadził zwaśnionych kolegów do ich kwatery w zamiarze pogodzenia ich pomiędzy sobą.

Jednakże trudne to zadanie nie powiodło mu się zgoła; po długich, kilka godzin trwających debatach stanęło na tem, że od jutrzejszego dnia profesor Grabiec postanowił prowadzić dalej poszukiwania w tej samej stronie, gdzie dziś natrafiono na tak cenne wykopalisko, a doktor z innymi robotnikami miał się przenieść do lasu, gdzie na uroczysku, zwanem »Monaster« leżało — jego zdaniem — właściwe centrum archeologiczne okolicy.

Równocześnie z układami prowadzonymi przez pana Samuela pomiędzy dwoma uczonymi, w garderobie od-

była się scena nie mniej głośna, a może dramatyczniejsza jeszcze. Stara pani Rypsyma Mirkiewiczowa, odwieczna rządczyni dworu kołomijskiego przysłała z płaczem dziękować pani za służbę.

— Wielmożna pani — wołała — jak o »osobliwszą« łaskę proszę, żebym dziś jeszcze mogła z pod tego dachu wyjechać.

— Cóż się Mirkiewiczowej stało? — spytała zatrwożona pani.

Rypsyma wpakowała swe silne, żyłaste pięści w zapadłe dołki pod oczyma i zaczęła z gniewem, hamowanym obecnością pani domu, wołać:

— I wy się synku zabierajcie stąd. Co ja właściwie plotę i wielmożna pani z dziećmi niech się stąd wybiera, bo tu przyjdzie nieszczęście po nieszczęściu, zaraza, pomor, ognie i powodzie, wszystkie plagi egipskie!

— Co się Mirkiewiczowej stało? Na miłość boską, mówcie rozsądnie.

— Skaranie boskie z tymi »zawłokami«. Taż ja jego jak człowieka szanowała. Taż ja jego jako katolika uważała... Przyjdzie nieraz ten poganin Jurga do mnie, prosi to półgąsek, to koziny — dla kogo? pytam, dla *gaspadina* odpowiada bezbożna dusza. Wiele ja jemu w pole tych kozich salcesonów wydałam... A to bisurman, niech się precz mówi!

— Ależ nareszcie niech Rypsyma przecież powie, o co wam idzie.

— O co! Jeszcze niema o co... Jakiem Ormianka, jeszcze tego nie widziała... Niech wielmożna pani idzie ze mną — zawołała.

— Gdzie?

— A gdzie, do tych heretyków.

— POCO?

— Zobaczyc, zobaczyc — wołała z gniewem stara Rypsyma — mało, że z najwspanialszego pokoju, gdzie

można było choć arcybiskupa gościć, zrobili po prostu chlew, świniańnię, ale już pańska wola i hojność, ależ oni napakowali cały pokój pogańskimi trupami, pełno kości, jak w jakiej trupiarni, albo na żydowskim okopisku, i ja mam tu spać. — Nie! nie chcę się doczekać, żeby jakieś pogańskie »widmy«, niech się precz mówi, mnie zadusiły.

Pani Klementyna dopiero teraz zrozumiała o co właściwie starej Mirkiewiczowej chodziło, uśmiechając się pobłaźliwie zaczęła jej tłumaczyć:

— Czego się właściwie Rypsyma boi?

— Jeszcze się nie bać! Czego się już bać, jak nie tego. Jakto, nie dali nawet nieboszczykom spokoju... Rozciągają ich kości... Za tem naściągą się duchów moc i mnie starą bez spowiedzi i sakramentu gotowe dodusić.

I znowu zaczęła wołać z najszczerszem oburzeniem:

— Com się naprosiła pana Samuela... Bywało aż płacę... Synku mówię — przepędź tych profesorów, bo to nie pańska, nie obywatelska rzecz z takimi się zadawać... Bakałarz bakałarzem, a pan panem... A co pomogło?... Aha! Sam — słyszę — kości z nimi dobywał... »Osobliwszy« panicz, jeszcze czegoś podobnego nie słyszała. Koniec świata taj tylko!

— Ależ niechże się Mirkiewiczowa raz uspokoi, oni jutro wywiozą te paki z kośćmi na kolej, a stamtąd do Krakowa, a jak się Rypsyma boi, to poproszę księdza proboszcza, żeby na nowo dom poświęcił.

— No to dobrze — rzekła stara, oddychając swobodniej — poświęcić dom, to dobrze, święconego nieczysta siła nie czepi się... Ja zawsze radzę święconą wodą pokropić i święconymi wianuszkami wykadzić... Ale gdzie ja dziś spać będę!

Na to odezwała się panna Wanda, która już od dłuższego czasu, stojąc w drzwiach, przysłuchiwała się tej oryginalnej rozmowie:

— Może pani Rypsymcia przenocuje w moim pokoju, pomodlimy się z wieczora i powieszę nad łóżkiem pani Rypsymy kropielniczkę i relikwiarz.

Stara rozczuliła się, pocałowała panią Klementynę w rękę, a młodą nauczycielkę w czoło i nie zostając ani chwili sama, podreptała za paniami do pokoju panny Wandy. Po drodze zaś mówiła:

— Synkuż ty mój, dziecko moje, panienko złota, żeby się tak nad tobą pan Bóg zmiłował, jak tyś się nad moim strachem zlitowała. Ale temu Jurdze, pogańskiemu, to nie podaruję.

Zamilkła na chwilę, a później jakby sobie znowu coś nagle przypomniała, zawołała głośno:

— Żal mi najbardziej tej koziny i tych salcesonów, co wynosił dla tego profesora... Myślałam, że to jakaś osoba, że oni skarbów szukają, złota, srebra dla wielmożnego pana dziedzica, jako do gruntu przynależnego pana... A to odkopują trupy pogańskie... No, no, ten Jurga niech mi do piekarni nie wraca. Ja mu tego nie podaruję.

Wkrótce sen skleił powieki staruszki i ostatecznie uspokoił nerwy i pogodził na jakiś czas wszystkich mieszkańców kołomińskiego dworu.



V.

Panna Wanda Ordonówna nie była pospolitą domową nauczycielką, jakie się zwykle po dworach wiejskich spotyka.

Była sierotą i nie miała żadnego majątku, ale nazwisko jej ojca znane było wszystkim... Zginął on jako dzielny pułkownik na polu bitwy. Matka odumarła ją, gdy była małym dzieckiem... Dziewczynką dziesięcioletnią zaopiekowała się przełożona najznakomitszego klasztoru wychowawczego w całym kraju. A gdy młoda dziewczyna z odznaczeniem skończyła nauki, umieściła ją u państwa Korymowiczów, gdzie obchodzono się z nią jak z osobą należącą do rodziny.

Córka starej, niegdyś znanej i zamożnej rodziny jechała przed dwoma laty z pewną obawą do Kołomyż. Ormian nigdy nie знаła, a mimowoli przesiąkniętą była tą wrodzoną nieprzyjaźnią, która tkwi w duszy większej części Polaków ku potomkom azyatyckich tułaczy. Po kilku tygodniach pobytu w Kołomyż wstydziała się sama przed sobą przyznać do tych nieuzasadnionych obaw. Te dwa lata spędzone pod gościnnym dachem wydawały się jej jedną chwilą. Dzieci ją kochały jak starszą siostrę. Pan Antoni, nad wyraz dobry i zacny człowiek, rozmyślał tylko nad tem, jaką by jej mógł zrobić przyjemność... Pani Klementyna, choć z natury trochę zimna, nie wynętrzająca się i mało na pozór ser-

deczna, traktowała ją z wyszukaną uprzejmością, dbała o jej wygodę i z troskliwością czuwała nad jej zdrowiem... Pan Samuel... Właśnie zachowanie się pana Samuela od pewnego czasu zaczęło ją zastanawiać.

Wiedziała doskonale, że w bogatych rodzinach ormiańskich jest zwyczajem młodych ludzi żenić z pannami, które mają posagi, odpowiadające liczbą zer majątkowi pana młodego... Wiedziała i to, że w tej sferze rodzice lubią synów żenić młodo, przed skończeniem lat trzydziestu. Była więc pewna, że nic a nic by ją to nie zdziwiło, gdyby lada chwila usłyszała o tem, że pan Samuel stara się o jakąś bogatą dziedziczkę, że się o jej rękę oświadczył, że się żeni. Tymczasem przypuszczenia te nie sprawdziły się, Samuel zamiast szukać żony, ustawicznie czytał, i to czytał takie dzieła, o których mógł z nią rozmawiać i któreby i ją zająć mogły. Skarzył się przed nią, że wychowanie w publicznych szkołach i w uniwersytecie nie wykształca ludzi pod względem estetycznym. Więc najbardziej chodziło mu o nabranie pojęcia o pięknie... Później w długich rozmowach, prowadzonych podczas zimowych wieczorów, dzielił się z nią myślami, zaczerpniętymi z dzieł poetów i myślicieli... Czasami zdawało się jej, że czyni to wszystko umyślnie po to, żeby się jej przypodobać... Odtrącała jednak z niechęcią tę myśl, bojąc się, by nie wpadła w zarozumiałość.

Nie miała też sobie nic do wyrzucenia pod względem swego zachowania wobec pana Samuela. Była za dumna i za szlachetna na to, żeby pozwolić sobie na najdrobniejsze nawet próbki kokieteryi z młodym i hołym chłopcem. Nawet pani Klementyna, która pod względem konwenansów światowych i szczerzej przyzwitości towarzyskiej była nadzwyczaj wymagającą i miała zupełne prawo do tego, bo w całym swym życiu i jako panna i jako piękna żona znacznie starszego od siebie

męża nie dopuściła się nigdy cienia zalotności, nie znalazła nigdy nic, coby ją mogło razić w towarzyskiem zachowaniu panny Wandy. Lubiła ją też po swojemu, trochę na zimno ale zato równomiernie.

Od chwili przybycia uczonych archeologów zauważyła panna Wanda pewną zmianę w postępowaniu młodego Korymowicza. Czasami wpadał w zły humor i dąsał się nawet w dość śmieszny sposób. Działo się to najczęściej wtenczas, gdy ona zapuszczała się w długie rozmowy z profesorem Grabcem i z uwagą słuchała opowiadań uczonego o bogatych w zdarzenia kolejach jego życia... Zżymał się nawet pan Samuel i wtenczas, gdy śmieszny stary Francuz prawił jej makaroniczne komplementy, lub gdy prostakowaty Łuczyk swoim wzrokiem ją pożerał.

Dostrzegła również, że młody człowiek rozmawia z nią obecnie daleko mniej, niż dawniej, lecz zato wpatruje się w nią w badawczy sposób, takiego wzroku dawniej w nim nie zauważyła nigdy.

Wszystko to razem napawało ją niepokojem i dziwną obawą. Czuła instynktownie, że zmiana jakaś zająć musi w jej cichem i spokojnem dotychczas życiu. Dwa na pozór nic nie znaczące zdarzenia dały jej powód do bardzo poważnych myśli i rozważań.

Pewnego dnia po południu pan Antoni, który nad wszystko ukochał dzieci i ciągle przemyślał, żeby im zrobić jakąś nową przyjemność, zapowiedział, że dziś przed wieczorem zabiera pannę Wandę i dzieci do piaszki w lesie, gdzie na nowo wykorczowanym »basztanie« podojrzewały kawony.

Wyprawy takie często organizowały się w Kołomierzu i miały swój z góry ściśle określony program.

Małe dziewczynki stroiły się w lekkie sukienki, pani Mirkiewiczowa pakowała cały koszyk prowiantów, złożonych z samych przysmaków, które dzieci najlepiej

lubity, zaprzęgano konie do olbrzymiego myśliwskiego wozu i tam ulokowawszy się całe towarzystwo w najlepszym humorze, powoli i ostrożnie, po leśnych drożynach zdążyło do cudownie pięknej polany w lesie, gdzie mieściła się dworska pasieka i zaczynało się panowanie siwobrodęgo Pańka, pasiecznika, pospolicie w całej okolicy *didem* zwanego.

I tym razem program został wykonany z tą tylko zmianą, że pani Klementyna zajęta gospodarstwem nie wzięła udziału w wycieczce, a dzieci jechały pod wyłączną opieką swej nauczycielki.

Dziewczynki cieszyły się w duszy tą zmianą, bo przy pannie Wandzi mogły one bardziej biegać i głośniejszemu oddawać się zabawie niż pod okiem matki.

Kazik został dopuszczony do towarzystwa sióstr dopiero po złożeniu matce najsolenniejszego przyrzeczenia, że będzie bardzo grzeczny i nie będzie dokazywał i dokuczał Derkałowiczównym. O zabranii pana Łuczyka na wycieczkę nie pozwoliła sobie pani Klementyna wspominać.

— Boję się nawet pomyśleć — mówiła — co by ten parobczyśko w lesie wyrabiał... Niech idzie na probostwo się zabawiać.

Drogę przebyto bez żadnego ważniejszego wypadku... Panna Wanda ubrana w ciemno-zieloną, o ciepłych tonach, suknię z lekkiej materii i w duży słomiany kapelusz, który dziewczynki jeszcze w domu przystroiły w pęki polnych kwiatów i paproci, wyglądała jak leśna rusałka.

Mała Zula przypatrywała się jej z zachwytem i wołała co chwila:

— Panna Wanda taka śliczna, że piękniejszej nikt chyba nie widział.

— Nie wolno głupstw mówić, Zulu! — strofowała ją panna Wanda.

— To nie głupstwo! — odpowiadało przekornie dziewczątko — słyszałam jak tatko do mamusi dziś mówił to o panie Wandzi.

Pan Antoni śmiał się wesoło i dodawał od siebie:

— Gdy pani weszła tak wystrojona do obiadu, to zauważyłem, że nasi goście na jej widok pozapominali języków w gębie... *Obstupuerunt!* Nic bym się nie dziwił, gdyby się który z nich pani oświadczył.

Na to panna Wanda poważnie patrząc w oczy panu Antoniemu, smutnym głosem spytała:

— I pan by mnie wydał za którego z nich?

— Nie! Co nie, to nie! — odpowiedział pan Antoni, zamyślając się nagle... Po chwili dodał bez cienia żartobliwości w głosie:

— Ci dwaj uczeni widocznie bardzo nadskakują pani... Są to, co prawda, ludzie wykształceni, mający zapewnioną materyalną stronę życia i wybitne stanowiska w kraju. Cóż kiedy to już starsi ludzie i strasznie po świecie sterani... Jabym dla pani wolał znaleźć młodego chłopca... Takiego, jak ja rozumiem!

Panna Wanda przymusiła się do nienaturalnego trochę uśmiechu i odpowiedziała:

— Niech pan w spokoju zostawi uczonych mężów, ręczę panu, że żadnemu z nich nawet podobna myśl nie błysnęła w głowie... Potrzebna archeologowi żona, jak kula u nogi... Zresztą nie mam najmniejszego zamiaru zamaż wychodzić.

— Cóż pani zamierza dalej w życiu robić?

— Czy nie zadowoleni państwo z mojej pracy?

Pan Antoni zachnął się na te słowa, jakby go jakiś jadowity owad ugryzł i wybuchnął porywczo:

— Nie godzi się, panno Wando, mnie w ten sposób odpowiadać... Mnie, który panią tak cenię, poważam i po prostu kocham, jak własną córkę... Zapewne, że najmilej nam obojgu będzie, aby pani w naszym do-

mu jak najdłużej była, ale co potem będzie? Ciężko samej kobiecie przez terażniejszy świat przepychać się.

Młodej panience na te słowa łyzy się w oczach zakręciły, byłaby z ochotą pocałowała zacnego człowieka w rękę, dziękując mu za serdeczną życzliwość i opiekę nad jej dołą, nie wypadało jej tego uczynić, więc tylko z odcieniem serdecznej wdzięczności odpowiedziała:

— Co dnia Panu Bogu dziękuję, że mi zesłał takich opiekunów, jak państwo... A co do mej przyszłości, to w tem zdajmy się na Jego wolę... Mam nadzieję, że On mnie nie opuści.

Na tem skończono tę poważną rozmowę.

Wóz tymczasem wtaczał się na polanę, będącą celem dzisiejszej wycieczki.

Stary Pańko wyszedł już przed wrota pasieki i jak tylko wóz zatrzymał się, z troskliwością zaczął zdejmować po kolei dzieci z wysokiego siedzenia. Później zbliżył się do dziedzica i ściskając go za kolana życzył: zdrowia, szczęścia, długiego życia i pociechy z dzieci.

Wojciech zaczął rozpakowywać kosz z wiktuałami, a małe panienki z Kazikiem biegały po polanie, nie zbliżając się jednak do ulów, bo bały się pszczoł bardzo.

Pan Antoni rozpytawszy się dokładnie »dida« jak się pasieka »wiedzie« w tym roku, zawołał do dzieci:

— Bawcie się wesoło dalej, a Ola, jako najstarsza, niech przyjdzie do mnie, pójdziemy z Pańkiem na »basztan« próbować, który kawon dojrzały. — »Najstarsza panienka« dumna z tego wezwania, bez żalu porzuciła grę w »chowanego« i poszła z ojcem spełniać swą poważną rolę. Pozostałe dzieci latały jak motyle, chowając się za gęste krzaki, rozrzucone po leśnej polanie.

Najmłodsza Nela, śliczna, sześciolatnia dziewczynka, o złotych kędziarach i jak zorza rumianej twarzyczce, z całym namaszczeniem spełniała swą rolę. Stojąc na środku polany zamknęła oczy, zasłoniła je jeszcze w do-

datku różowemi piąstkami i śpiewała swym cienkim, ale donośnym i dźwięcznym głosikiem:

Chobrze, chobrze!
Schowajże się dobrze,
Od niedzieli do niedzieli,
Żebcie charty nie widzieli.

Powtórzywszy tę piosnkę trzy razy, otwierała oczy i z uwagą przypatrywała się, czy za którym krzakiem nie ukrywa się które z dzieci, biorących udział w tej zabawie.

A nie mogąc dostrzedz nikogo, wołała:

— Dzieci, bójcie się Boga, odezwiście się, bo nie znajdę nikogo.

Więc wybiegało któreś z za krzaka, Nela je goniła, a gdy się jej udało schwytać »zająca«, to role się zmieniały i schwytyany zostawał chartem.

Najłatwiej było łapać obie małe Derkałowiczówny, bo były niezgrabne, nie umiały dobrze biegać i przewracały się z płaczem na każdej kępie. Zato Kazik, a przedewszystkiem Zula, byli »gracze« i tem szczyciła się Zula, że od roku nikt jej nigdy nie mógł dogonić i nigdy nie była »chartem« lecz zawsze szybkim, niezwykłym zającem.

W ciągu tej zabawy dziecinnej nadszedł do pasieki pan Samuel, który towarzyszył dziś doktorowi Schusterowi w jego poszukiwaniach na leżącym niedaleko »Uroczysku«, a dowiedziawszy się że ojciec z dziećmi przyjechał »na kawony«, porzucił starego nudziarza i postanowił wziąć udział w dziecinnych zabawach.

Panna Wanda przywitała się z młodym człowiekiem z pewnem zmieszaniem, sama nie wiedziała, czy jego ukazanie się zrobiło jej przyjemność, czy przykrość; w jej duszy i umyśle krzyżowały się sprzeczne uczucia i wrażenia.

On usiadł obok niej na kłodzie zwałonego dębu i zmuszając się do zupełnej obojętności, opowiadał, jak mu nudno towarzyszyć archeologom.

— Grabiec ciągle twierdzi — mówił z uśmiechem pan Samuel — że Schuster to osioł i nieuk... A doktor Schuster na odwrót znowu wyśmiewa się z »autodydakty« Grabca i powiada, że tylko u nas mogli oddać katedrę archeologii człowiekowi, nie posiadającemu nawet tytułu doktorskiego.

Słowo i treść mowy były na pozór zupełnie obojętne, ale jego duże, czarne rozmarzone oczy zgoła co innego szeptały pannie Wandzie. Obejmował on swym płomiennym wzrokiem całą jej uroczą postać, która w tej skromnej zielonej sukience, na tle odwiecznych borów, zdawała się być bóstwem jakimś, dryadą leśną, boginką, i zdawało się strwożonej dziewczynie, że on ją temi oczami pochłonie. Uczuwała w tych oczach jakąś dziwną miękkość i słabość, trwoga ją obejmować zaczynała. Postanowiła przerwać to dziwne sam na sam. Powstała nagle i zaczęła wołać:

— Dzieci! dzieci!

On spojrzał na nią z niemym wyrzutem. Tymczasem jak echo po lesie zaczęły się odzywać czyste dzwieczne głosy dziecięce:

— Co? Co?

I Zula pierwsza, posłuszna na głos rozkazu, przybiegła do swej »Wandzi«. W kilka chwil później i inne zbiegły się do niej, jak kurczęta na głos kokoszy. Ją to bawiło i śmiała się wesoło. Samuel uczuł się smutnym i niby obrażonym.

— W co się teraz będziemy bawić, Wandusiu? — spytała Zula.

— Wybierajcie same sobie grę — odpowiedziała panna Wandzia — ale bawcie się tu blisko, bo tylko co nie widać tatka z Olą, więc będzie kawon.

Samuel słuchał słów jej z widocznym podrażnieniem, odgadnąć mu było nie trudno, że umyślnie zwołała dzieci, żeby nie być z nim sam na sam. Przez dziwną przekorę, uczuł nagle chętkę sprzeczenia się z nią i być innego zdania niż ona. Zaproponował więc:

— Lepiej niech mała Nela co zaśpiewa... Te dziecinne zabawy takie nudne i bezmyślne.

Dzieci słuchały słów jegó z najwyraźniejszym zgorzaniem. Rezolutna Zula zdobyła się nawet na opozycję, mówiąc:

— Nikt Samusia do naszych zabaw nie zaprasza, a dla nas one nie nudne... Ci starsi są nieznośni, nawet bawić się nam nie pozwolą wesoło.

Samuel roześmiał się, ubawiony tonem przemowy małej siostrzyczki i łagodniejszym już głosem rzekł:

— Idąc tu przez las, słyszałem jak Nela śpiewała. Bardzo lubię jej dziecinny głosik, może nam coś zanuci.

Nela, mając w rzeczy samej głosik cudowny, bezwiednie jak ptaszek leśny lubiła się nim popisywać, stanęła pospiesznie przed panną Wandą i zaczęła śpiewać:

Jechałam przez Kraków, jechałam przez rynek,
Kupiłam chłopczyka za stary patynek,
Za stary patynek, za baranie rogi;
Dowiedzieć się panny, jaki chłopiec drogi.

Minka jej dziwnie poważna w połączeniu ze słowami krakowiaka była tak pocieszna, że wszyscy wybuchnęli homerycznym śmiechem, nawet stary Wojciech śmiał się do upadłego.

Wreszcie panna Wanda przypomniała sobie, że krakowiak tej treści nie był bardzo stosowny w ustach sześciolatniej dziewczynki i starając się przybrać nauczycielską powagę, spytała:

— Cóż to znowu za piosnka? Od kogo się Nela jej nauczyła.

— To panna Anna Składziejówna śpiewała ją wczoraj w garderobie panu podleśniczemu... Ja usłyszałam i »przejęłam«.

— Co to za słowo »przejęłam«? Co Nela dziś wyplata.

Nela trochę się zmieszała, ale nie tracąc zupełnie jeszcze rezonu dodała:

— To także panna Anna tak mówi, wiele razy się jakiej piosneczki nauczy od pana podleśniczego.

— Pamiętajże Nela nie chodzić mi więcej do garderoby i nie uczyć się tam źle mówić po polsku.

— Dobrze! dobrze! — Zawołała Nela i zaczęła płakać żałośnie. Miała tak wrażliwą naturę, że po każdej naganie, choćby najmniejszej, zalewała się łzami, choć w pół godziny później znowu bawiła się w najlepsze.

Pan Samuel, zadumany, bezmyślnie słuchał tej rozmowy. Cóż go ona zresztą obchodziła, on przechodził w tej chwili ważną epokę w życiu; zdawało mu się, że zdobył samowiedzę swej duszy, jej pragnień, uczuwał w duszy dawno zrodzone, a teraz dopiero doszłe do jego wiadomości głębokie uczucie olbrzymiego przywiązania do tej uroczo pięknej nauczycielki. Myśli i wrażenia krzyżowały mu się w mózgu z błyskawiczną szybkością... Słowa żartobliwej piosnki, odśpiewanej przez malutką siostrzyczkę, cierniem wbijały się w jego rozkochane serce, kroplami roztopionego ołowiu spadały na jego przesadnie usposobiony i rozdrażniony ciągłymi marzeniami mózg.

— A nuż — myślał w duszy Samuel — ona mnie tak zlekceważy, jak ta dziewczyna w tym nieznośnym krakowiaku.

I czoło mu się marszczyło, dziwnym marsem, a oczy mgłą zachodziły.

— Za stary patynek! Za baranie rogi!

Powtarzał stokrotnie w duszy i lęk go brał, że panna Wanda i jego tak wysoko cenić może.

Wreszcie otrząsnął się z tej bolesnej zadumy. Spojrzał przed siebie i zobaczył ojca, jak z Olą wracał z »basztanu«, a za nimi stary Pańko szedł obładowany olbrzymimi kawonami.

Zwrócił się nagle do panny Wandy i spytał ze smutnym uśmiechem:

— Czy i pani tak ceni młodych ludzi, jak ta krakowianka z piosnki Nelinej?

— Jak jakich...

Odpowiedziała szeptem panna Wanda i serce mocno jej bić zaczęło, bledość pochodząca z dziwnego wewnętrznego rozdrażnienia, pokryła jej piękną twarz.

On popatrzył na nią niezwykle miękko, serdecznym wzrokiem i powiedział cichym pokornym głosem:

— Bardzo by mnie to bolało, gdyby pani i mnie tak mało ceniła.

Chciał mówić coś więcej, ale Ola wpadła pomiędzy niego a pannę Wandę i gestykulując zawzięcie, zaczęła opowiadać z ogromnym zapałem.

— Nie macie państwo wyobrażenia, co się na »basztanie« dzieje!... Żałuj Samusiu, niech żałuje panna Wanda, żeście nie widzieli, a ja widziałam... Powiadam wam miliony, miliony, miliardy kawonów... A wiele dojrzałych! Tatko wybrał coś ze dwadzieścia... Zaraz za nami niesie Pańko cztery, a później podjedziemy po resztę.

Opowiadałaby tak była do wieczora, ale wkrótce nadszedł pan Antoni z rozradowaną twarzą i zwracając się do panny Wandy i Samuela, zawołał:

— Śmiesz mnie zawsze ci pesymiści, co to krąży, że u nas do niczego dojść nie można. Niech idą popatrzeć na moje kawony. Warto zobaczyć... Na wystawę, na wystawę!

Wojciech tymczasem nie próżnował. Na prowizorycznym stole, zaimprovizowanym z dwu postawionych

obok siebie ławek, a nakrytym białym obrusem, poustawił przywiezione z domu wiktuały i półmisek pełen cudownych plastrów miodu, a teraz zajął się rozkrawywaniem olbrzymiego kawona, którego krwawo-czerwone wnętrze odbijało jaskrawo od ciemno-zielonej powierzchni.

Wkrótce dzieci, wygłodzone bieganiem po świeżym powietrzu, z apetytem zasiadły do tej wiejskiej uczty, zjadając wszystko z wielkim apetytem i z podziwienia godną szybkością.

Po sutym podwieczorku, przed samym już zachodem słońca, potrafił pan Antoni skłonić rozbawioną dzieciarnię do zajęcia swych miejsc w oryginalnym myśliwskim ekwipażu.

Furman Stefan ruszył noga za nogą po wybojastej leśnej drożynie, a mała Nela, oparłszy głowę o ojcowskie ramię nuciła półgłosem:

Tam na błoniu błyszczą kwiecie,
Stoi ułan na pikiecie,
A dziewczyna jak malina
Niesie koszyk róż.

Chociaż panna Wanda protestowała zazwyczaj przeciw wyuczaniu małej Neli najrozmaitszych piosnek, częstokroć zupełnie niestosownych do jej wieku, pan Antoni nie zwracał nigdy na to uwagi i sam ją uczył co raz nowszych, bo ogromnie lubił głosik swej najmłodszej córeczki.

Owego wieczoru panna Wanda nie zwracała nawet uwagi na treść słów, śpiewanej przez Nelę piosnki. Troski, które zagościły w jej pięknej główce, nie pozwoliły jej z tą troskliwością zajmować się powierzonymi jej opiece dziećmi, jak to zazwyczaj czyniła... Jej dwudziestoletnia wyobraźnia pracowała bez wytchnienia, lecz z drugiej strony doświadczenia zdobyte w sierocem

dzieciństwie, nakazywały stanowczo okiełzywać rojenia i patrzeć na świat praktycznie, bez złudzeń.

Do domu wróciła zupełnie spokojna; zdołała zapamiętać nad wrażeniami, odniesionymi podczas leśnej wycieczki. — To było piwsze zdarzenie, które wyprzewodziło ją ze zwykłej równowagi.

Drugie może jeszcze bardziej ją zaniepokoiło.

Był to czas wakacy i dzieci prawie nic się nie uczyły, poświęcając dość dużo czasu lekcjom tańca, resztę dnia przepędzały prawie ciągle w ogrodzie, zabawiając się w gry najrozmaitsze. Główną ich siedzibą była altana, obrośnięta dzikiem winem tak szczelnie, że prawie nie można było dojrzeć, co się wewnątrz działo.

W tej altanie Zula »literatka« rozczulała się nad losem »Robinsona Kruzoe« lub »Małych wygnańców«... Tam Ola, mająca popęd do życia światowego urzędzała »przyjęcia« i zapraszała na nie resztę dzieci.

Panna Wanda zazwyczaj razem z dziećmi przesiadywała, lub gdy ją zanadto zmęczyły, przechadzała się w pobliżu...

Razu pewnego, w kilka dni po wycieczce do pa-sieki, podczas »uroczystego przyjęcia« u Oli, nagle hałas w altanie ustał. Zaniepokojona tem panna Wanda zbliżyła się do altany i niewidziana przez dzieci, mimowolnie zmuszoną była wysłuchać następującej rozmowy.

Głos rezolutnej Oli doleciał jej uszu pierwszy:

— Wiecie moje panny — mówiła mała — że Samuś pewno ożeni się z panną Wandą.

— To bardzo ładnie — szepnęła mała Nela — toby nas uczyła zawsze i nie poszłybyśmy do tego klasztoru.

— Jakaś ty niemądra — przerwała jej Zula — właśnie byśmy poszły, bo kto idzie zamaż, ten cudzych dzieci nie może uczyć.

— To niech nie idzie za maż — protestowała Nela — ja ją bardzo kocham.

Na to Zula powiedziała z dziwną powagą:

— I ja ją kocham i dlatego chcę, żeby szła za-
mąż... I ona będzie szczęśliwa i Samuś... A my, jak pój-
dziemy do klasztoru, to będziemy więcej umieć.

— Masz Zulu słuszność — dodała Ola — niech
panna Wanda idzie za Samusia... choć nie jest bogata,
ale bardzo elegancka. Będziemy mieć piękną bratową.
Później będzie wesele, dostaniemy nowe suknie, a pó-
źniej pojedziemy do klasztoru, ale tylko my dwie star-
sze, bo takiej małej jak Nela nikt w klasztorze nie po-
trzebuje.

Panna Wanda, słuchając tego szczebiotu małych
dziewczynek, nie wiedziała wprost co ze sobą zrobić.
Uczuwała po prostu zawrót głowy. Wreszcie opanowała
swe zmieszanie i weszła do altany. Jej ukazanie się wy-
wołało popłoch pomiędzy dziećmi. Ola, zaczerwieniwszy
się, urwała nagle. Zapanowało kłopotliwe milczenie. A
ona była tak słaba, tak trwożliwa, że nawet nie miała
odwagi zapytać, o czym dzieci przed chwilą rozmawiały.
Tak je była przyzwyczaiła do mówienia prawdy, że oba-
wiała się, iż jej całą rozmowę powtórzą... I co ona im
odpowie? Czuła, że jej milczenie jest zachęceniem dzieci
do ukrywania prawdy, do tajemniczości, do kłamstwa...
Nie miała jednak siły zdobyć się na odwagę i stanąć
oko w oko z przykrą rzeczywistością.

Zaczęła z dziećmi jakąś obojętną rozmowę, która
nie szła zupełnie, bo i dziewczynki były nieswoje, do-
myślając się, że panna Wanda, musiała choć jakąś część
ich rozmowy posłyszeć.

Tego dnia wieczorem po raz pierwszy płakała, od
czasu, jak przebywała w Kołomierzu.



VI.

Na tydzień przed zapowiedzianym ślubem na probostwie zdarzył się fakt, który rozradował i wzbił w dumę prof. Grabca a pogrążył wprost dra Schustera w rozpacz. Jak w dzień pierwszego odkrycia przyleciał Jurko z ogromną radością i hałasem, żądając pak i fur.

— Co tam nowego? — zapytał dziedzic z ganku.

— *Naszli profesor carewnu!* — wołał stary *sałdat*, wymachując rękami i zdradzając niezwykle ożywienie, podniecony zapewne porządną porcją wódki, którą go uraczył profesor z wdzięczności za pomoc w pracy. Gestykulując żywo mówił dalej:

— *Jest' wsio!* Korona złota, zausznice, naramieniki, *skieptr*. *Wsio czto nada*. I ona sama musiała być ładna, po kościach widać.

Pojechał więc pan Samuel, powieźli paki, poszły fury, tylko już nikt z »państwa« nie jechał, bo pani Klementyna, obrażona zachowaniem się profesora przy pierwszym odkryciu, nie chciała się narażać — jak mówiła — na uczone grubiaństwa.

Od godziny jedenastej do samego wieczora zwożono paki z kośćmi i zabytkami, odkopanymi w dużej mogile.

Na ostatnim wozie przyjechał sam profesor. Wyglądał jak tryumfator, wracający z pola zwycięskiej bitwy, twarz mu pałała, z oczu tryskało szczęście.

Pan Antoni wyszedł na jego spotkanie. Zanim jednak zbliżyli się do siebie, profesor gestykułując za-
wzięcie zaczął wołać:

— A co doktor? Co wykopał? figę! A ja!... Co? Marzenie mego życia spełnione, odkopałem groby królewskie panującej słowiańskiej rodziny. Dynastii przed-historycznej... Kto zobaczy te dwie brązowe korony i te berła, ten ani chwili wątpić nie może.

— Pokażże mi panie profesorze te korony.

— W Krakowie pan zobaczy — wołał profesor — wszystko już zapakowane.

Ta wieść poprostu oburzyła pana Antoniego, dając więc folgę temu uczuciu, zawołał:

— Ah niechże pana nieznam. Przecież te cuda wykopałeś pan na moim gruncie i nawet nie chcesz mi tego pokazać!

— Nie mogę, łaskawy panie, nie mogę! — sumitował się profesor — to są nadzwyczajnie cenne zabytki, oko profana spoglądać na nie może tylko przez szkło gablotki muzealnej... Jak łaskawy pan zagości do nas, to mu sam te cuda pokażę.

— A to się przecież nie godzi! — z niechęcią zawołał pan Antoni. Na to, jakby przypominając coś sobie profesor, wyjął z kieszeni od kamizelki mały słoiczek i błysnął nim przed oczami pana domu.

— Cóż to jest?

— Perły z naszyjnika królowny.

— Pokażże pan.

Profesor zbliżył słoik do oczu ciekawego Korymowicza, ale nie wypuścił go ani na chwilę z rąk. Pan Antoni zobaczył szkło słoika i w środku tegoż pełno białej waty.

— Gdzież te perły? — spytał pan Antoni.

— Pozawijane! — odrzekł profesor i znowu popieszczyźnie schował słoik do kieszonki.

To już zupełnie zgniewało pana Antoniego, bo, nie przemówiwszy więcej ani słowa, wrócił na ganek, gdzie swoim zwyczajem godził poważnionych chłopów, którzy z całych dóbr zbiegali się do Kołomierza, jeśli mieli jakie nieporozumienie między sobą, a dziedzic ich rozsądzał i sprawiedliwość wymierzał. To też adwokat z sąsiedniego miasteczka powiatowego chciał się wynieść, twierdząc, że jeżeliby wszyscy szlachcice w kraju w ten sposób postępowali, to sądy stałyby się zupełnie niepotrzebne, a adwokaci mogliby z głodu powymierać...

Po godzinnej może gawędzie z chłopami, przerwano panu Antoniemu to ulubione przez niego zajęcie, Wojciech przyszedł prosić pana do pani.

Tego rodzaju wezwania nie należały do rzeczy zwyczajnych, to też pan Antoni pospiesznie zerwał się z krzesła i pospieszył do zielonego saloniku, gdzie przesiadywała zwykle pani Klementyna, pogrążona w pilnej pracy nad ręcznymi robótkami. Wchodząc, ze zdziwieniem ujrzał pana profesora Grabca, siedzącego obok żony. Uczony był widocznie w niezwyčajnem usposobieniu, bo wypieczone rumieńce przebijały nawet przez jego brunatną skórę, a w oczach tlił jakiś wewnętrzny ogień.

— Czem mogę Klimusi służyć — spytał mąż.

— Niech się Tonio zechce porozumieć z panem profesorem — odpowiedziała pani Klementyna jakimś zmienionym głosem — ja właściwie nie wiem, co mam panu profesorowi odpowiedzieć.

— A o cóż tu chodzi?

— Może pan profesor sam wyjaśni — rzekła pani Klementyna, i wstawszy pospiesznie, wyszła z pokoju. Pozostali panowie popatrzyli nieufnie na siebie.

— Co to jest, panie profesorze — zagadnął pan Korymowicz.

— Niech pan łaskawy usiądzie i raczy mnie spokojnie posłuchać — odpowiedział profesor.

— Usiedli.

Pan Grabiec kilka chwil milczał zanim przemówił, widocznie układał sobie i porządkował w głowie słowa i zdania, które chciał przelać w umysł pana Antoniego. Wreszcie przemówił w te słowa:

— Łaskawy panie, dzień dzisiejszy jest najszcześniejszym dniem moim w życiu, dziś zyskałem sławę pierwszego i najszcześniejszego archeologa w całej Słowiańszczyźnie. Odkrycie zrobione dziś przezemnie, za miesiąc głośnem echem odezwie się po wszystkich gabinetach uczonych od Uralu po Odrę, od Adryatyku po Białe morze.

— Ale cóż moja żona ma z tem wspólnego? — spytał pan Antoni, spoglądając z nieufnością na profesora i podejrzewając go w duchu, że z wielkiej radości trochę mu się w głowie pomięszało.

— Proszę mi nie przerywać! — zawołał profesor, i tym samym tonem, co pierwej, prawił dalej.

— Otóż w tym dniu radośnym dla mego umysłu, zapragnąłem żeby i moje serce doznało najwyższej radości i rozkoszy.

Zamilkł, ze wzruszenia, a pan Antoni był już pewny, że ma z waryatem do czynienia. Po chwili zaczął mówić dalej.

— Chociaż mam lat pięćdziesiąt, jednak serce me nie wystygło dla uczuć gorętszych i pozyskanie miłości młodej, pięknej kobiety było zawsze mojem tajemnem, lecz i najukochańszem pragnieniem. Teraz...

— Cóż teraz? — zawołał pan Antoni głośno, a w duchu pomyślał:

— Oszalał biedaczysko na pewno, nowy kłopot, co z nim robić?

— Teraz — ciągnął dalej profesor niezbity z tropu — nadarza mi się sposobność zadość uczynić temu marzeniu, temu pragnieniu mej duszy... Panna Wanda.

— Co? Panna Wanda?!

— Tak jest! Panna Wanda jest ideałem mojego serca i sądzę, że po takim czynie, po okryciu się taką sławą mogę sięgnąć po jej rękę.

Pan Antoni odetchnął, ale z drugiej strony, coś mu się w tem wszystkiem nie podobało, więc pokręciwszy głową z pewnem niedowierzaniem, rzekł:

— Pogadajmy spokojnie, panie profesorze.

— Z największą ochotą, łaskawy panie — rzekł ciągle jeszcze rozgorączkowany uczony. — Moja pozycja materialna jak na dłoni... Jestem profesorem uniwersytetu, moja pensja wystarczy na życie i dla dwojga. Oprócz tego mam dom w Krakowie przy plantach... No i coś się tam przez całe życie ponadto uciulało, bom Litwin, a Litwin zawsze »o jutrze radzi«.

— Ależ mniej o to chodzi — przerwał mu pan Antoni — główna rzecz czy panna zechce iść za pana?

— Tak uprzejmie ze mną rozmawiała... Tak ją moja praca obchodziła.

— To jeszcze nie racya! — rzekł pan Antoni i nagle wstając, dodał:

— Pójdę i razem z moją żoną, rozmówimy się z panną Wandą, a później przyjdę do pana i o rezultacie go uwiadomię.

Klnąc w duszy uczonego, przeszedł pan Korymowicz cały szereg pokoi i wchodząc do dużej sali, nazywanej »szkoła«, zastał już tam panią Klementynę, pannę Wandę i starą Mirkiewiczową, zajęte żywą rozmową.

— Przepowiadałem pani — zawołał do zmieszanej i zapłakanej dziewczyny — że się któryś z tych kretów w pani zakocha... Nie można bezkarnie być tak piękną.

— A niech, choć pan mi nie dokucza — zawołała panna Wanda.

— Nie przyszedłem dokuczać — odparł łagodnie — ale powiedziec przecież muszę... Pan profesor Grabiec

w najwznioślejszych słowach oświadczył się o rękę pani... Ma pensję profesorską, dom przy plantach i kapitały, ma lat około pięćdziesięciu.

— Ach! niech mi pan da pokój i z pensją i domem i kapitałami — zawołała wzburzona dziewczyna, zatykając rękoma uszy — nie chcę ani jego, ani domu, ani pensyi.

— Ma panienska *recht!* — zawołała z głębokiem przekonaniem Mirkiewiczowa. — Skaranie boskie, z tymi heretykami... Stary dziad, zżółkły jak te trupiska, które odkopuje, i chciałoby mu się taki kwiatek osobliwszy wziąć... Niedoczekanie!

— Że wy Rypsym, musicie do wszystkiego swoje trzy grosze wścibić — przerwał niecierpliwie pan Antoni.

— Jeszcze nikt na moich trzech groszach źle nie wyszedł — wołała stara rozogniając się coraz bardziej — a pannie Wandzi nie dam za zasuszonego grzyba iść! Nie dam! Nie dam!... Patrzcie go, jaki mi galant... Marcepana mu się zachciewa. Obejdzie się cygańskie wesele bez marcepana. Oh! marcepany dla innych. Wiem coś o tem, bom najstawniejszego cukiernika córka.

Pan Antoni zaczynał tracić cierpliwość, żyły mu na skroniach nabrzmiały i mimo wrodzonej łagodności i gołębiego serca, rozgniewanem okiem spojrzął na Mirkiewiczową i zawołał:

— Niech Rypsyma zaraz mi idzie do swoich zajęć. Czy skopy do karmienia wybrane?... Już trzeci dzień przypominam.

Stara zamilkła odrazu i nawet nie próbowała stawić opozycji, знаła pana Antoniego od dzieciństwa i wiedziała, że umie czasem wpaść w gniew niepohamowany, więc cicho się wyniosła, ale, dochodząc już do drzwi, przecież musiała szepnąć:

— Dobrze, idę do skopów, ale to powiem, że kto perłę znalazł, ten nie powinien jej rzucać przed świnie.

Po wyjściu starej Rypsymy zapanowało w sali milczenie, przerwał je pierwszy pan Antoni, pytając:

— Cóż więc mam odpowiedzieć profesorowi?

Panna Wanda wyprostowała się i z dziwną powagą odrzekła:

— Niech mu pan raczy powiedzieć, że nie mam dla niego żadnego uczucia gorętszego i żoną jego pod żadnym warunkiem być nie mogę i nie będę, chociaż go bardzo szanuję i poważam.

— Resztę już wiem — przerwał, śmiejąc się pan Antoni — i dobrze pani robi, bo bez przywiązania iść zamąż to »skaranie boże« — jak mówi Mirkiewiczowa.

Zamyślił się jakoś smutnie, lecz wnet obudził się z tej zadumy i rzekł:

— Idę więc biednemu profesorowi objawić wyrok pani.

Profesor czekał go w kancelaryi.

Pan Korymowicz nie obwijał rzeczy w bawełnę, powiedział wprost, co usłyszał z ust panny Wandy, nie zostawiając mu najmniejszej nadziei, choć mu żal było biednego tułacza.

On słuchał, głową kiwał smutnie i lzy mu w czarnych oczach zaświeciły.

Gdy pan Antoni skończył, rzekł żalonym głosem.

— Przedhistoryczną księżniczkę odkopałem, zburzyłem jej spokój, grób jej naruszyłem, mam ją, ona moja i doda blasku mej sławie jako uczonego, lecz księżniczki żywej, droższej memu sercu, nie zdołałem zdobyć. Lubo, że nawet równowagi jej duszy nie naruszyłem. Chwilową tę przykrość wkrótce zapomni tak, jak pamiętać nie będzie o starym archeologu, który ją pokochał. — Skończył i milczeli obaj, nie wiedząc co mają więcej do siebie mówić. Z zadumy tej pierwszy przebudził się Grabiec. Ujął silnie dłoń pana Antoniego i ściskając ją serdecznie, mówił:

— Dziękuję, po staremu, po naszemu, za chleb, za sól, za serce poczciwe, za gościnność serdeczną, otrzymaną w waszym domu dzięki składam... a proszę, jeśli łaska, o konie dla mnie i pod paki jutro do dnia, do poranku.

Tak się pożegnali.

Nazajutrz rano już nikt nie widział profesora Grabca w Kołomierzu.



VII.

Wyjazd tak nagły jednego z archeologów pozostawił w Kołomierzu pewien niesmak. Szczególnie panna Wanda w przykry sposób odczuła całe to przejście; po prostu miała żal do podstarzałego uczonego, że ją naraził na podobne przykrości.

Dwóch tylko ludzi widocznie cieszyło się z takiego zakończenia pobytu profesora.

Pierwszy doktor Schuster nie ukrywał się z tem zupełnie, że z przyjemnością pozbył się niemiłego kolegi i współzawodnika.

Nazajutrz po odjeździe profesora, przy wieczerzy miał po prostu długi wykład, zdążający do wykazania, że odkrycie profesora Grabca nie jest znowu niczem nadzwyczajnem.

— Grobów z epoki brązowej odkopano na ziemiach słowiańskich już bardzo wiele. Profesor Grabiec, jak zwykle, przesadza wartość swego wykopaliska.

— Ale korony, korony! — przerywał mu, śmiejąc się pan domu.

— No i coś nadzwyczajnego — odpowiadał podrażniony uczoney. — Z temi koronami, to także blaga... Podmówił Jurka, żeby opowiadał, że korony złote, a to najzwyklejszy typowy bronz. Nie ujmuje im to wcale wartości, przeciwnie dodaje, ponieważ bronz jest zawsze starszy niż złoto, ale na ludzi nie zajmujących się

specjalnie archeologią, złoto zawsze robi większe wrażenie niż brąz.

Na to pan Korymowicz, którego już zaczynały nudzić te ustawiczne rozmowy ściśle naukowe, rzekł:

— Bóg tam z wami... Czyż ja mogę wiedzieć, który z panów ma słuszość... Profesor mi wczoraj mówił, że zrobił wiekopomne, dla całego świata naukowego nadzwyczaj ważne odkrycie.

— Co? — zawołał porywczo doktor. — Dla całego świata? Proszę?

I nie czekając aż wszyscy powstaną od stołu, odłożył nóż i widelec na bok i zerwawszy się z krzesła, począł pospiesznie biegać wokoło stołu. Jego zwykle zimna krew znikła zupełnie. Widocznie w najboleśniej-sze miejsce podrażniony, wołał:

— Ciekawym bardzo, coby się świat naukowy... to jest... świat... prawdziwy świat, cała Europa i Ameryka miała interesować marnem słowiańskim wykopaliskiem z epoki bronzowej... To śmieszna zarozumiałość... Ten wieczny szowinizm rasowy.

Wszyscy patrzyli nań, zdumieni tym niebywałym u niego wybuchem. On, raz puściwszy wodze słowom, mówił dalej:

— Co bronz?... Głupstwo!... Jeżeli mnie się uda znaleźć to, co spodziewam się odkopać »na Uroczysku«, to sto koron bronzowych pójdzie w ką... Z tego co dotychczas widzę, to sądzę, że znajdę ślady mieszkań i groby z epoki kamiennej... A bronz do krzemienia, to proszę państwa, tak się ma jak szkło do brylantu... Wykopalisko z epoki kamiennej w rzeczy samej może zainteresować cały... powiadam, cały świat naukowy.

Tymczasem wszyscy skończyli kolację i ogólny ruch w pokoju wyrwał doktora Schuścera z jego zacie-trzewienia. Przestał mówić i w milczeniu poszedł za innymi do salonu.

Po bardzo krótkim tam pobycie, przemocą prawie zabrał z sobą Samuela i poszedł do swego pokoju. Tam znalazłszy się, zawołał:

— Widzę, że pan tu jeden mnie rozumie.

— No, tak, nie zupełnie — odrzekł młody człowiek.

— Niech się pan nie wypiera! Zbyteczna skromność. Pan mnie rozumie doskonale. Cóż pan mówi na blagę, po prostu na bezczelność profesora Grabca?

— Nie znam się na tem dokładnie.

— Tu nie potrzeba wielkiego znawstwa. Każdy wie, co bronz... Mojem zdaniem potrzeba wprost bezczelności, ażeby odkopawszy kilka kości, kilka marnych bronzowych przedmiotów, sięgać z tego tytułu po rękę takiej osoby, jak panna Wanda.

Na te słowa, Samuel, zachowujący się dotychczas prawie zupełnie obojętnie, nagle zachnął się gwałtownie i zapytał:

— Skąd pan już to wie?

— Cały dom przecież wie.

— Ale w jaki sposób?

— W bardzo prosty, przecież taka rzecz ukryć się nie może.

— Myślałem, że to w tajemnicy zostanie — przerwał mu Samuel. — W każdym razie proszę pana powiedzieć mi, w jaki sposób pan się o tem dowiedział.

Dr Schuster zaczął się śmiać ironicznie i w przestankach śmiechu mówił:

— Jeszcze wczoraj chłopiec kredensowy, Wiktor, który był wieczorem w sąsiednim pokoju, słyszał jak profesor Grabiec oświadczał się o rękę panny Wandy pańskiemu ojcu... No i mnie to zaraz opowiedział.

— A to hultaj! Uszy pōobrywam.

— Niech się pan nie irytuje niepotrzebnie. — uspokajał profesor Schuster. — Nie od niego jednego mam tę wiadomość. Dziś przed świtem zbudził mnie profesor

Grabiec swym wyjazdem. Nie mogłem już drugi raz zasnąć, więc ubrałem się i wyszedłem na dziedziniec. Tam spotkałem panią Mirkiewiczową, ona mi wszystko opowiedziała... No, ona to umie sprawiedliwie pana profesora Grabca osądzić!

Samuel, chociaż czuł, że ta rozmowa nie bardzo była na miejscu, jednak z pewną przyjemnością słuchał o koszu, danym przez młodą nauczycielkę poważnemu uczonemu. Słuchał, nie przerywając doktorowi, i tylko czasem, niby bezwiednie, dorzucił jakieś słowo. Gdy Schuster zaczął się rozwódzić nad niestosowność partyi profesora, dodał:

— Zapewne, taki stary człowiek.

Na to uczony z zapałem zaprzeczył:

— Nie jest on jeszcze taki stary, zaledwie dwa, trzy lata starszy odemnie, a ja przecież jestem w sile wieku, sam czas do ołtarza.

Młody Korymowicz ze złośliwym uśmiechem spojrział na łysą czaszkę, na wieniec siwiejących włosów i na wyschniętą twarz zacnego archeologa. On jednak nie zauważył nawet tego spojrzenia, tylko z zapałem prawił dalej:

— Nie o wiele tu chodzi! ale o tytuł do podobnej pretensyi... Nie mówię, gdyby był Grabiec odkopał jakieś zabytki z kamiennej epoki. Coś zupełnie nowego, rzucającego wprost odmienne światło na dotychczasowe teorye naszej nauki. A to nicbym mu się nie dziwił. Takie odkrycia, warte najwyższej nagrody. Lecz po odkopaniu najpospolitszego cmentarzyska z epoki brzozej oświadczać się o rękę panny Wandy, to doprawdy szczyt zarozumiałości.

Pan Samuel słuchał poglądów tych z ogromnem zdziwieniem, wzruszał ramionami i w duchu szeptał:

— I ten bziką dostał!... dobrze Rypsyma mówi, że to waryat.

Nie chcąc rozmowy tej przedłużać, życzył doktorowi Schusterowi »dobrej nocy« i poszedł spać. Lecz nie mógł zaraz zmrzyć powiek. Bózek Morfeusz nie przychodzi na zawołanie i lubi młodym, zakochanym ludziom płatać figle.

Samuel nie spał, więc marzył. Przed oczyma jego rozbującej wyobraźni zjawiała się uroczą postać panny Wandy we wszystkich zapamiętanych pozach, odziana na przemian we wszystkie suknie, jakie kiedykolwiek w Kołomierzu miała na sobie. Twarz jej przybierała na przemiany wszelkie wyrazy, jakie kiedykolwiek na niej był zauważał.

Teraz Samuel nie mógł już mylić się co do uczucia, jakie żywił w swem sercu dla uroczej dziewczyny, ogarnął go tylko dziwny jakiś lęk przed chwilą, w której miał przyznać się do tego uczucia ojcu. Wiedział doskonale, że postanowienie jego w sferze, w której się urodził i żył, którą kochał i szanował, będzie uważanem wprost za dziwaczne. Bał się stanowczej opozycji ojca, truchlał na myśl, że będzie musiał wybierać pomiędzy nad życie ukochaną dziewczyną a ubóstwianym ojcem.

Co do Wandy, to miał chwile, w których był prawie pewny, że ona kocha go wzajemnie, lecz pewność ta nie panowała stale w jego umyśle, chwilami opanowywały go jakieś straszne wątpliwości i wówczas wiał się na łóżku jak potępieniec i wzdychał tak głośno, że mógł obudzić śpiących w drugim obok pokoju Kaziką i pana »dyrektora«.

Czasem znowu ogarniała go obawa, czy Wanda, dowiedziawszy się, że rodzice są przeciwni jego zamiarom nie będzie zbyt dumna, żeby wbrew ich woli wchodzić do bogatej rodziny.

Przemęczony w ten sposób kilka godzin, zasnął dopiero nad ranem i obudził się nazajutrz zdenerwowany, przybity; miał usta spalone i oczy podsiniące.

Następnych parę dni nie wesoło mu przeszło. Pozostały archeolog, pracujący od świtu do nocy, nudził go swojemi naukowemi dowodzeniami... Unikał go teraz starannie. Z panną Wandą, smutną obecnie i także jakoś zamyśloną, nie miał odwagi rozmawiać. Przysłuchiwał się tylko z zazdrością, jak co wieczora, nadspodziewanie teraz ożywiony doktor roztaczał przed nią swe sperandy nadzwyczajnych odkryć archeologicznych.

Chwilami uczuwał jakiś przesadny strach i szeptał w duszy :

— Gamoniu, mazgaju!... Co robisz? Czemu się nie oświadczasz? Ona znudzona twem wahaniem, gotowa pójść za tego archeologicznego suchara... Jak długo każesz jej czekać? Kiedyż się zdecydujesz?

Lecz na to, żeby się oświadczyć pannie Wandzie, potrzeba było wprzód rozmówić się stanowczo z ojcem. A na to nie mógł się zdecydować. Co dnia, wstając rano, postanawiał sobie najsolenniejszemu :

— Dziś muszę z ojcem pomówić na rozum. Wytłumaczę mu, że nawet to, co mam po nieboszczce matce, to wystarczy dla nas dwojga.

Lecz później w ciągu dnia odwaga go opuszczała i wymyślał tysiące przeszkód, które tylko w jego wyobraźni istniały.

Prawdziwą radość i wielkie uspokojenie sprawił mu niespodziewany przyjazd jego brata stryjecznego, Alfreda Korymowicza.

Pan Alfred bywał rzadkim gościem w Kołomierzu. Mieszkał daleko, aż pod Husiatynem, nieopodal granicy rosyjskiej i tylko nazwisko, którego w głębi duszy nie lubił, choć go starał się stroić w najstarożytniejsze ilustracje, wskazywało, że ma w sobie ormiańską krew, zresztą ani jego powierzchowność, ani sposób zachowania, ani sympaty nie mogły nikogo na ten domysł doprowadzić.

Był synem rodzonego brata pana Antoniego, starszego od niego o lat parę pana Kajetana. Obojętność dla tradycyi ormiańskich, a nawet pewien wstręt do obyczaju odziedziczonego po przodkach, cechowało już i pana Kajetana. W młodości swej nie lubił w okolicy gęsto przez Ormian zamieszkałej bywać, tylko odbywał dalekie wycieczki w odległe strony i tam pozawiazywał liczne stosunki z polskimi paniczami. Sakiewka dobrze zaopatrzona i prawdziwie nadzwyczajne znanstwo koni sprawiały, że miał w dalszych stronach wielu nawet prawdziwych przyjaciół. Prócz tego był dobrze wychowany, bardzo gładki, wesoły, chętny do usług przyjacielskich, więc w okolicach, gdzie Ormian prawie nie było, gdzie skutek tego antagonizm szczepowy wcale nie istniał, zdobył w krótkim czasie bardzo wybitne stanowisko towarzyskie.

Małżeństwo pana Kajetana było szczytem jego sprytu życiowego i najsilniejszym dowodem, że umiał zamierzony cel doprowadzić do skutku z całą dokładnością. Ożenił się z jedną z sześciu córek hrabiego Górnostawskiego, właściciela ogromnej terytoryalnie fortuny, ale zadłużonej w ten sposób, że wszyscy mieli hrabiego za zupełnego bankruta.

Pan Kajetan, posiadający w głębi duszy ormiański instynkt do interesów, obrachował z łatwością, że opinia jest fałszywa, i że fortuna Górnostawskich warta cztery razy więcej, niż ciążyło na niej długów. A że i panna Olga mu się podobała, więc oświadczył się bez namysłu i został przyjęty jak zbawca.

Stary pan Samuel, ojciec Kajetana i Antoniego, dowiedziawszy się o tym nierozważnym kroku, rozchorował się po prostu.

— Potrzebuję gołej hrabianki — wołał w gorączce. — Nikt tego nie słyszał jeszcze, żeby Korymowicz synowej musiał pończochy kupować...

Chciał w pierwszej złości syna wydziedziczyć, tylko zacności i dobremu sercu brata Antoniego zawdzięczał pan Kajetan, że ojciec tego nie uczynił i w ten sposób nie obalił całego, bardzo kunsztownie obmyślanego planu... Skończyło się na tem, że stary pan Samuel, uproszony przez pana Antoniego, zapisał Kajetanowi całą gotówkę, przewyższającą pięćdziesiąt tysięcy dukatów, a ukochany Kołomierz pozostawił Antoniemu... Tak się jednak zgryźł postanowieniem starszego syna, że później ciągle już chorował i nawet nie doczekał się błogosławieństwa Kajetana, bo na miesiąc przed jego ślubem umarł nagle na aneurizm serca.

Kajetan z wdzięcznością zapamiętał przysługę, jaką mu brat wyświadczył i zachowywał z nim bardzo serdeczne stosunki. Nawet rad był, że dostał gotówkę, która na owe czasy może nawet więcej była warta, niż cały Kołomierz. Z jej pomocą spłacił długi, ciężące na kluczu górnostawskim, byle czem pozakwitowywał siostry żony. A że i teść jego niedługo żył, zmartwiony tem do głębi duszy, że córkę musiał wydać za Ormianina, więc w krótkim czasie stał się panem olbrzymiego podolskiego majątku, który w jego przedsiębiorczych rękach był po prostu kopalnią złota.

Pani Olga, żona pana Kajetana, ciche, spokojne stworzenie także niedługo cieszyła się odzyskanym dobrobytem i nową świetnością górnostawskiego dworu; po przyjściu na świat jedynaka syna, którego na cześć macierzystego dziadka nazwano na chrzcie świętym Alfredem, zaczęła chorować i, mimo najusilniejszych starań lekarskich i serdecznej opieki męża, po kilkuletniej chorobie przeniosła się do wieczności.

Śmierć ta, ku zdziwieniu wszystkich znajomych wywarła ogromne wrażenie na panu Kajetanie... Zesmutniał i spochmurniał, dawna jego wesołość i upodobanie do hucznych zabaw towarzyskich znikły bez śladu. Żył

tylko myślą o owym jedynaku i tylko takie stosunki zachowywał, które, jego zdaniem, mogły się później stać korzystnymi dla małego Alfreda. Gospodarował więc wytrwale i gorliwie a fortuna rosła jak na drożdżach. Mały »Fred« chował się na paniątko. W dzieciństwie piastowały go francuskie i angielskie bony, które z biegiem czasu oddały go w ręce francuskiego księdza i angielskiego guwenera. Gdy miał lat piętnaście ojciec uznał za stosowne przerwać już domowe wychowanie, i jako bardzo uzdolnionego i nad wiek rozwiniętego chłopca odwiózł do Wiednia i nie szczędząc starań, umieścił go w Teresianum. Tam to Alfred skończył nauki i ten kilkoletni pobyt pomiędzy synami domów panujących i potomkami najstarszych rodów arystokracji europejskiej wywarł najsilniejszy wpływ na jego usposobienie i ukształtowanie charakteru.

Gdy Alfred miał lat dwadzieścia pięć odumarał go ojciec. Wieść ta doszła Alfreda w Londynie. Pospieszył z powrotem, ale przyjechał już po pogrzebie: pan Antoni, stryj, zajął się troskliwie oddaniem ostatniej posługi starszemu bratu.

Alfred dowiedział się po powrocie, że mimo, iż śmierć pana Kajetana była nagła i niespodziewana, spowodowana udarem mózgowym, to jednak interesa majątkowe pozostawił w najlepszym porządku... Ład w jego biurku i kasie był posunięty do drobiazgowości, w osobnym zwitku były odłożone pieniądze na pogrzeb, a nawet gotówka na zapłacenie podatków, których termin przypadał za pięć miesięcy, były już odrachowane i w kowercie na bok oddzielone...

Serdeczna troskliwość zacnego pana Antoniego, okazana przy pogrzebie brata, ujęła ogromnie młodego bratańca. Pomimo, że ich drogi zupełnie się rozeszły, pozostała jakaś nić wiążąca tych dwóch ludzi, idących z jednego pnia rodzinnego. Wskutek tej wewnętrznej

sympatyi, pan Alfred co roku prawie odwiedzał Kołomierz, w celu złożenia uszanowania starzającemu się stryjowi. Innych blizkich krewnych z rodziny ojca nie miał prawie całkiem, a jeżeli byli jacyś dalsi, to z nimi nie utrzymywał żadnych stosunków, nawet prawdopodobnie nie wiedział nic o istnieniu takowych. Zresztą żył w »wielkim świecie«, czas karnawałów przepędzał wesoło we Lwowie i w Krakowie, należał do Jokey-Clubu w Wiedniu i miał niedużą wprawdzie, ale z doskonałych koni złożoną stajnię wyścigową do biegów z przeszkodami.

Wizyty jego w Kołomierzu odbywały się zawsze z pewną ostentacją i paradą. Tym razem jednak wystąpił tak wspaniale, iż pan Antoni odrazu domyślił się, że to nie są zwykłe odwiedziny, lecz przypuszczał, że brataniec ma jakiś ważniejszy, nieznanym mu zamiar do przeprowadzenia.

Więc nasamprzód koło godziny jedenastej zajechał przed oficynę wysoki wózek węgierski, zaprzężony w dwa olbrzymie karosyery i wygramolił się z niego stary kamerdyner pana Alfreda, »pan« Ignacy, zapowiadając, że nad wieczorem nadjedzie sam »jaśnie pan«, który wstąpił na obiad do Ołtarzowa.

Po tem oświadczeniu, zapanował w Kołomierzu »sądny dzień«... Położenie zdawało się bez wyjścia: pokój, w którym zwykle umieszczano pana Alfreda, był teraz zajęty przez dra Schustera i znajdował się w stanie, wymagającym radykalnego oczyszczenia i przyprowadzenia do porządku.

Dbając o »sławę« domu pani Klementyna dostała wypieków na twarzy i — co się jej bardzo rzadko trafiało — zaczynała tracić głowę. Nie śmiała rugować uczonego z mieszkania, przez niego zajętego, a innego, stosownego dla tak rzadkiego gościa nie było w całym domu...

Zaczęły się ożywione narady: pan Antoni proponował swoją kancelaryę, lub gabinet koło salonu, lecz pani stanowczo te propozycje odrzuciła, twierdząc:

— Taki elegant, jak Alfred, musi mieć zupełnie oddzielny pokój.

Narady trwały dalej, kufry tymczasem niespodziewanego gościa zniesiono do przedpokoju, a sam »pan« Ignacy raczył się wybornem śniadaniem u pani Mirkiewiczowej, popijając gorące śniadanie i rozmaite przysmaki butelką wybornego węgryzna.

Pani Rypsyma, czując, że we dworze muszą być wątpliwości co do umieszczenia świetnego młodzieńca, zaspokoiwszy pierwszy apetyt jego służącego, podreptała na naradę do pani domu.

— Skaranie Boże, ta skaranie z tymi grabarzami!... Dobrze, że jeden sobie już pojechał... Zabrał się, żeby tak jego pamięć zabrało, co on mnie był strachu nabawił... ale została druga »piciulala« i tak się rozsiadł i rozpanował, że nawet niema gdzie porządnego gościa umieścić, gdy się trafi.

— Kochana Rypsymo — rzekł zafrasowany naprawdę pan Antoni — proszę co poradzić.

— Rada krótka, ale czy wielmożni państwo zechcą mnie posłuchać.

— Proszę mówić — szepnęła z rezygnacją zdenerwowana pani Klementyna.

— Ot co! — zawołała rezolutnie stara — musimy tego kreta, z przeproszeniem, przetransportować do oficyny. Jest jeszcze tam dwa wolne pokoje.

— A nie mówiłam! — przerwała z tryumfem pani. Na to pan Antoni rzekł z widocznym frasunkiem.

— A jak się doktor obrazi?

— Co się ma obrażać? — wybuchnęła z gniewem Mirkiewiczowa. — Alboż to on jaką »prowizoryę« ma na ten pokój... I tak łaska pańska była takie aparta-

menta tym »zawołokom« dawać. Nie mówię jeszcze jak ich dwóch było, ale teraz on sam jeden... bez ceremonii, fora ze dwora. W oficynie jak raz miejsce dla niego.

Mówiła tak przekonywująco, że nawet pan Antoni nie mógł się jej opierać, tem bardziej, że gościnne pokoje w oficynie były w zupełnie dobrym stanie i opatrzone w doskonałe meble i materace. Postanowiono więc pójść za radą starej rządczyni. Wezwany do rady Samuel zgodził się także na przeniesienie doktora i kazał natychmiast zaprzęgać konie, żeby sprowadzić doktora i w jego obecności przenieść jego rzeczy do przeznaczonego dlań nowego mieszkania.

Ku wielkiej ucieście pana domu, uczony nie zdradził najmniejszego cienia nieukontentowania z tego powodu. Zresztą niewiele miał do przenoszenia. Paki były próżne, a tych kilka drobnych wykopalisk, które mu się dotychczas udało odnaleźć, umieszczone były w małej szkatułce; tę własnoręcznie przeniósł do oficyny i z pietyzmem schował do komody na klucz zamykanej.

Do opróżnionego przez doktora pokoju z zapałem zabrała się pani Mirkiewiczowa, żeby — jak twierdziła — z kordygardy zrobić znowu pański apartament. Trzy dziewczki myły okna i drzwi na gwałt; Wiktor Piechota, zachęcony obietanką kawałka schaba, z zapałem oskrobywał z błota posadzkę, nacierał ją woskiem i jak najwprawniejszy łyżwiarz latał na szczotkach po całym obszernym pokoju.

O godzinie piątej po południu, pokój zupełnie wysprzątnany i doprowadzony do wprost holenderskiej czystości, oddano w posiadanie »panu« Ignacemu.

O godzinie w pół do szóstej nadciągnął do Kołomierza *Leibknecht* pana Alfreda, Lorenc, jadąc na wspinałym *halbblucie* i prowadząc w ręku złotą, kasztanową »Frou-frou« anglo-arabkę, na której jeździł zawsze sam właściciel.

Samuel we własnej osobie pobiegł do stajni, żeby się koniom przypatrzeć i przeznaczyć godne miejsce dla tych drogocennych czworonogów, które miały swe rodowody dalej w przeszłość sięgające, niż niejeden tytułowany szlachcic.

Wreszcie o godzinie siódmej sam pan Alfred nadjechał. Jego wysoka i szczupła, prawie wychudzona postać umieszczona była na wysokim koźle prawdziwego angielskiego *dog-cart'u* o olbrzymich na czerwono malowanych kołach. Odziany był w długi paltot z sukna wyrabianego przez szkockich górali, koloru czerwono-żółtawego, i z wprawą doskonałego furmana powoził czwórka wybieganych jukierów, z których każdy był innej maści a nawet innego typu, lecz zato miały kłus jednakowy i sławę wielką, że mogły chodzić z wiatrami w zawody.

Zaprząg ten nie mógł wzbudzić zachwyty w okolicach Kołomierza, bo konie wskutek pracy ustawicznej i racjonalnego *treningu*, pomimo, że jadły owsa tyle, ile zjeść go mogły, wyglądały jak charty, w stronach zaś, w które przybywał daleki podolski gość, kochano się w grubych zapasionych koniach, których sierść musiała się świecić jak zwierciadło; zato nie wymagano od nich nadzwyczajnych wysiłków, wystarczało, jeżeli pompatycznym truchtem pociągnęły powóz państwa do kościoła, na stację kolejową lub w sąsiedztwo.

Państwo Antoniostwo z synem z ganku przypatrywali się, jak szalonym kłusem ich gość podjechał od bramy i przed samym gankiem osadził rozpędzone bieguny tak, że stanęły jak wryte.

Pan Alfred oddał lejce siedzącemu z tyłu *groomowi* i z wielką naturalnością a nawet serdecznością podszedł witać stryjostwo i kuzyna.

Ucałował stryjenkę w rękę, a pana Antoniego w ramię, uściśnął serdecznie dłoń Samuela i poprosił,

żeby mu pozwolono pójść się przebrać, bo był sprószony letnim pyłem.

Pan Samuel poszedł naprzód, przeprowadzając kuzyna przez cały szereg pokojów, pan Antoni szedł obok niego i po drodze rozpytywał go o nowiny z jego okolicy i o drobne szczegóły dość dalekiej podróży:

— Że ci się chciało taki świat końmi jechać? — zapytał troskliwie. — Musisz być bardzo znużony.

Pan Alfred popatrzył na stryja zdziwionym, nawet trochę obrażonym wzrokiem i odrzekł:

— Zawsze wolę jeździć moimi końmi, niż galicyjskimi haniebnymi kolejami.

— Ale czas, ale czas!

— Co mi czas, mam go dość. — Zresztą, mało co dłużej jechałem niż koleją, a jechałem wygodnie i odbyłem trzy wizyty. Wybrałem się wczoraj do Konopiec, zjadłem u Erazma obiad, na noc dociągnąłem do Oktawa. — Dziś przyjechałem na wczesny, co prawda, ale dyabelnie skromny obiadek do Ołtarzowa, a teraz na wieczór stanąłem w Kołomierzu... I sprawię stryjence prawdziwą satysfakcję, bo jestem głodny po ołtarzowskim obiedzie, będę zmiatał kolację, jak moi chłopcy z wyścigowej stajni.

Pan Antoni słuchał tego opowiadania ze zdumieniem, głową kiwał, wreszcie odpowiedział:

— Ty się kiedyś roztrzęsiesz z kretelem... Trzydzieści trzy mile na tej angielskiej »czortopchajce« przebyć w trzydzieści kilka godzin, to już na ludzkie kości za wiele.

— Ależ ja, stryjasku, bez tego żyć nie umiem — zawołał, śmiejąc się wesoło młody człowiek.

— Eh! gadanie z rozprowadaniem!... Mój Samuel o sześć lat młodszy od ciebie, a jakbyś go tak przewiózł, toby ani ręką ani nogą ruszyć nie mógł.

— To źle! — szepnął Alfred — muszę w jesieni zaprosić Samuela do Górnostawu, to go tam przetręnuję trochę... Tyje zanadto.

Rozmowę tę kończyli już w narożnym gościnnym pokoju, który pod wprawną i staranną ręką »pana« Ignacego zmienił się w godzinę do niepoznania i podobny był do buduaru najwybredniejszej elegantki.

Z rozpakowanych angielskich kufrów powijmował stary sługa tysiące drobnych, lecz drogocennych przedmiotów, mających ściśle zastosowanie przy »tualecie« pana Alfreda. Gotowalnia zastawiona była cała srebrnemi puszkami i krzyształowemi flakonikami, olbrzymia gutaperchowa balia, umieszczona na jeszcze większej cecacie zajmowała jeden róg wielkiego pokoju.

Pan Antoni, spoglądając na te przybory, kręcił głową i uśmiechnął się trochę ironicznie, mówiąc:

— Mój Fredku! Toż ty jesteś wprost niewolnikiem tych zamorskich obyczajów... Co byś ty robił, gdybyś stracił majątek?

Młody człowiek uśmiechnął się sarkastycznie, przy czem jego chuda choć regularna twarz, pozbawiona wąsów a otoczona bujnemi jasnobląd faworytami, zbrzydła nagle. Przez skrzywione tym uśmiechem usta odrzekł:

— Dziś już ludzie nie tracą majątków... Na to potrzeba być głupcem lub łajdakiem, a ja ani jednym ani drugim nigdy nie będę.

Stryj zadumał się smutnie, słysząc taką definicyę bratańca, przypomniał sobie, że już podobną gdzieś słyszał w życiu. Po chwili stanął mu jasno w pamięci imci pan Salamon Zwibelmacht, kupiec zbożowy i arendarz sąsiedniej gorzelni, który skarżył mu się raz przed laty: że go Bóg pokarał synem »łajdakiem«. A na zapytanie dlaczego tak syna kwalifikuje, odpowiedział — »proszę wielmożnego pana, a jak nazywać takiego, co go się pieniądze nie trzymają... To przecież musi być łajdak«...

Podobieństwo rozumowania pana Zwibelmachta do definicyi pana Alfreda Niemile go dotknęło.

Gdy się oddawał tym rozmyślaniom, młody człowiek z przedziwną wprawą i z ogromnym pośpiechem zlewał się zimną wodą, golił, cesał, wymywał różnorodnemi szczotkami palce i poznokcie, zlewał pachnidłami, a »pan« Ignacy z niewidzianą wprawą, milcząc, jak automat usługiwał mu bez przestanku.

Nagle pan Antoni, jakby budząc się ze snu przykrego, zapytał:

— Powiedz mi Fred, w jaki sposób ty, który tak dbasz o pieniądze, w tym czasie na dłużej z domu mogłeś wyjechać? Przecież siejba za pasem, to mogą ci narobić szkody w tak olbrzymiem gospodarstwie na dziesiątki tysięcy.

Na to pan Alfred, zawiązując misterny węzeł krawatu, rzekł z pewną niechęcią:

— To stryj nie wie, że wszystkie moje folwarki wypuszczone.

— Wypuszczone?

— A tak, wydzierżawiłem od świętego Jana.

Stary Korymowicz, słysząc te słowa, poczerwieniał, oczy mu zaświeciły, cała olbrzymia jego postać wyprostowała się tak, że prawie groźnie wyglądał... Hamując gniew kipiący wewnątrz, zawołał:

— Jakto, wydzierżawiłeś Górnostawszczyznę całą.

Alfred chociaż spostrzegł, co się ze stryjem działo, udał że nie widzi i z najzimniejszą krwią dodał:

— Prawie całą... Został mi pałac, park i trzysta morgów koło głównego folwarku... Na owies dla koni.

— Bój się Boga chłopcze, a czyż to się godzi?

— Cóż robić!

— Któż to wziął? Hej takie dobra, dwie gorzelnie, siedm folwarków... Kto miał tyle pieniędzy?

— Spółka żydowska.

Odpowiedział spokojnie brataniec i z angielskim spokojem przeczesywał dalej dwoma szczotkami swe długie złotawe faworyty.

Pan Antoni, usłyszawszy tę odpowiedź, aż podskoczył, ręką chwycił się za głowę i krzyknął:

— Cóżes ty najlepszego zrobił... Ojciec twój tyle pracy w to włożył... Najpiękniejsze inwentarze w kraju, najlepsze gospodarstwo, konie, krowy, owce, co chcesz, przecież żydzi ci to zmarnują. Pójdzie w niwecz. Jeżeli kiedy zechcesz wrócić do własnej administracji, to wydasz sumy bająnskie na zagospodarowanie majątku po żydowskiej ruinie.

Pan Alfred słuchał tego wybuchu z najzupełniejszym spokojem, skropił Jockey Clubem batystową chustkę i wdział podany mu przez Ignacego granatowy reitrok od Gunkla, tego samego kroju i z tego samego materiału, jak ten który posłano z tej światowej pracowni dla księcia Walii. Skończywszy toaletę, piękny i wyświeżony jak elegantka, zwrócił się do stryja i rzekł z lodowatym spokojem:

— Niech się stryjasek nie unosi... właściwie przed nikim bym nie zdawał sprawozdania z mego postępowania, ale dla stryja muszę zrobić wyjątek, bo go prawdziwie szanuję i kocham.

— Co mi po takim kochaniu, kiedyś żydom wypuścił rodzinny majątek.

Młody człowiek nachmurzywszy się trochę, że mu przerwano, ale wkrótce mówił dalej z zimną bezlitością logiką.

— Widzi stryj, folwarki wydzierzawić musiałem, bo mnie oficjaliści w haniebnym sposobie okradali.

— Można wziąć innych.

— Wszyscy kradną bez wyjątku. Najlepszy dowód. Żydzi zapłacili mi za trzy tysiące sześćset morgów ziemi i dwie gorzelnie okrągłych pięćdziesiąt tysięcy guldenów,

a we własnej administracji nigdy nie miałem ani nawet połowy tego dochodu. A jak był zły rok, to mi pan dyrektor kazał jeszcze dokładać z lasu do pola...

— No, tak, zapewne — mówił stryj łagodniej — ale ci zato zniszczą budynki, zmarnują inwentarze.

— Zabezpieczyłem się, za zasiewy i budynki złożyli pięćdziesiąt tysięcy kaucyi w papierach wartościowych, a za inwentarze zapłacili sto ośm tysięcy gotówką... Kapitał ten złożyłem na składany procent, to nawet będzie gruby przyrost na inwentarzu.

Pan Antoni szeroko oczy otwierał, słuchając tych rachunków, w duszy obliczał, że to w rzeczy samej świetny interes pod względem pieniężnym, a jednak coś mu się w tem nie podobało, na razie nie mógł skombinować, gdzie leży ten »wilk«, który mu w obrzydzenie podawał wypuszczanie własnej ziemi żydom w dzierżawę. Po krótkim namyśle rzekł:

— Bardzo to wszystko pięknie! Ale czyż ty myślisz, że żydzi cuda ci będą tworzyć i ze swego dokładać, widać, że majątek powinien dać taki dochód a nawet większy, jeżeli oni tyle zapłacić mogą. Tylko tyś tego nie potrafił wydobyć.

— Potrafiłbym, tyłkobyem musiał być niewolnikiem własnego majątku, wstawać o trzeciej, kłaść się spać o dziesiątej, pracować jak czarny wół od świtu do nocy, ujadać się ze złodziejami, a tego robić nie chce mi się.

— Nawet żebyś to wszystko robił, to jeszcze byś tyle nie miał co żydzi — przerwał mu stryj — zapominasz o jednej rzeczy... nie szachrowałbyś chłopów, nie obdzierał, a oni z tego mają drugi dochód... Rozumiesz? A w ten sposób oddajesz w arendę i swoich ludzi, więc czynisz niesumienne.

Dopiero ostatnie słowa stryja wyprowadziły pana Alfreda z jego angielskiego spokoju, zachnął się na nie i żywszym tonem dodał:

— Co mi do chłopów?... Przez zniesienie pańszczyzny ustał stosunek patrymonialny, oni teraz tacy sami, jak my... Jeszcze o nich dbać będą? Niech się ratują sami.

— Ależ to święty obowiązek!

— Wiem, że stryj się tymi chłopami, w braku innej rozrywki, bawi po całych dniach... wiem, że stryj ich sądzi, do chrztu trzyma, wyposaża, błogosławi, a oni zato się odpłacają kradnąc, gdzie tylko mogą... lecz w zamian stryjostwo żyją przy olbrzymim majątku, jak dziś żyją za granicą ludzie średniego stanu.. Mnie do tego nie przyzwyczajono... więc wolę sam używać, niż pchać w chłopów.

Na szczęście drażliwą rozmowę przerwało wejście Wojciecha, anonsującego z niezwykłą pompą, widocznie spowodowaną obecnością »pana« Ignacego:

— Wielmożna pani prosi jasnie pana na herbatę.

Alfred zamilkł, a stryj już nie wracał do tego niemiłego mu przedmiotu.

W jadalnej sali pan Antoni przedstawił bratanka całemu towarzystwu.

Alfred był doskonale wychowanym światowcem i umiał każdemu coś tak przyjemnego powiedzieć, że pomimo niejakiego uprzedzenia, wywołanego jego pompatycznym przyjazdem, ujął sobie wszystkich. Z panną Wandą rozpoczął rozmowę pełną światowej dystynkcji i tej trudnej do nabycia delikatności, traktując ją wbrew przyjętemu w niektórych sferach zwyczajowi, na równi z panią domu. Dowiedziawszy się o jej nazwisku, znalazł w pamięci frazes pochlebny o bohaterskich czynach jej ojca, a nawet wspominał, że rodzina jej matki była kilkakrotnie spowinowaconą z Górnostawskimi.

Dla doktora miał kilka sprytnie ułożonych zdań, sławiących doniosłość nauk ścisłych i oddających hołd ludziom nauki, którzy się tym pracom poświęcają. Na

te komplementy jednak uczoney mało zwracał uwagi. W ogóle był jakiś niezwykle zamyślony i dziwnie niepokojny. Po kolacyi, gdy go uważający na wszystko pan Antoni zapytał:

— Czy pan niema jakiego zmartwienia, doktorze? Coś pan smutnie wygląda.

Odpowiedział pospiesznie:

— Zmartwienia? Nie! Ale przeżywam ważną chwilę w życiu. Jutro, pojutrze los mój się rozstrzygnie.

— W jaki sposób?

— W bardzo prosty... Jeżeli mam zrobić znakomite odkrycie, to wedle moich obliczeń zrobię je jutro lub pojutrze, to jest dokopię do tego miejsca, gdzie muszą być ślady mieszkań nawodnych ludzi z epoki kamiennej. Jeżeli w tych dniach nie dokopię się do nich, to ich już nie znajdę nigdy. Innemi słowy, że ich tam niema i nie było.

— Czyżby to pana tak zmartwiło? — spytał pan Antoni ze współczuciem. — Cóż znowu za nieszczęście by w tem było?

Na to doktor wzburzonym głosem zawołał:

— Nie pokazałbym się więcej pomiędzy ludźmi... Nie miałbym co robić w świecie uczonym. Pierwszy Grabiec by mnie wyśmiał i wyszydził..

I chwycił się za głowę, zasłaniając oczy dłonią. Po chwili podał rękę panu domu i rzekł ze smutnym uśmiechem:

— Wówczas poprosiłbym pana żebyś mi raczył wypuścić w dzierzawę tę chatkę w lesie i tam chciałbym mieszkać. Tymczasem dobranoc panu. Wyniosę się dziś »po angielsku«.

Dotrzymał słowa, nikt nie dostrzegł nawet jego nieobecności w salonie.

Tymczasem pan Alfred porozmawiawszy trochę z paniami o swych zagranicznych podróżach i pożarto-

wawszy wesoło z dziećmi, zaimponowawszy panu Donné świetnym paryskim akcentem, znalazł nawet czas i ochotę spytać pana Łuczyka o to, co zamierza robić po skończeniu studyów uniwersyteckich. Odbywszy z zadziwiającą punktualnością te wszystkie czynności, które uważał za swój obowiązek, zwrócił się do stryja z prośbą:

— Możebyśmy przeszli do kancelaryi stryjaska, mam o czemś ważnem zasięgnąć zdania kochanego stryja.

— Służę ci — odpowiedział pan Antoni trochę ze zdziwieniem i prawdziwą ciekawością.

Nigdy jeszcze w tak uroczysty sposób bratanek nie żądał posłuchania, Korymowicz z tonu jego słów uczuł, że Alfred ma mu oznajmić rzecz wielkiej wagi.

Przeszli tedy do kancelaryi, a pan Samuel korzystając ze sposobności rozpoczął długą gawędę z panną Wandą na temat: jak się jej nowy znajomy podobał.

Pan Alfred nie miał zwyczaju rozpoczynać rozmowy długiim wstępem. Jak tylko znalazł się sam na sam ze stryjem, odrazu przystąpił do rzeczy:

— Wie stryj, że postanowiłem się ożenić.

— Doskonale!

— I chcę stryja poradzić się w tej, tak ważnej dla mnie sprawie.

— Bardzo ci jestem wdzięczny — odparł pan Antoni z prawdziwym rozrzewnieniem.

— A wie stryj, z kim chciałbym się ożenić?

— Nie mam pojęcia.

— Z panną Jadwigą Uniską.

Słowa te wypowiedział dobitnym głosem i badawczo wpatrzył się w oczy pana Antoniego, chcąc poznać dokładnie, jakie wrażenie na nim wywrze ta wiadomość.

— Z Uniską? — odrzekł stryj bezmyślnie, nie mogąc się w pierwszej chwili oswoić z tą niespodziewaną dlań wieścią.

— Czy ona pójdzie za mnie?

— Sądzę, że powinna pójść... Uniscy są w dość smutnych interesach i pewno by chcieli wydać córkę bogato. Do biedy nie jest przyzwyczajona. Z drugiej strony nie wiem, jak się Uniski będzie patrzył na to, że się nazywasz Korymowicz. Choć on tu z Ormianami niby dobrze żyje... Je z nami, pije, preferansa gra, a nawet w ormiańskich domach dzieci do chrztu trzyma, ale w nim zawsze w głębi siedzi dawny butny i dumny karmazyn, senator.

Pan Alfred słuchał tych słów z wielką uwagą, nie okazując gniewu; z wyrazu jego twarzy znać było, że każde zdanie waży i w myśli kombinuje. Stryj tymczasem mówił dalej:

— Zresztą to jest dziwny i niezwykły człowiek, prostym łokciem nie można go mierzyć... i pospolite obrachowywania z nim omylić mogą... Inny w jego położeniu to by się ciebie chwycił jak tonący brzytwy... On... Albo go wiem?... To kaducznie trudny do spenetrowania szlachcic.

Alfred słuchał i rozmyślał, stryj mu się przypatrywał uważnie i także na mgnienie oka zamilkł. Nagle, jakby sobie coś ważnego przypomniał, zapytał:

— Powiedz mi jednak, skąd ci podobna myśl przyszła do głowy?

Młody człowiek na to pytanie obudził się z zadumy i poprawiając flegmatycznym ruchem szpilkę ze starożytną kamełą, utkwioną w węzle krawata, odpowiedział powoli:

— W tej chwili odpowiem stryjowi na wszystkie pytania. Więc najpierw, skąd mi to na myśl przyszło? Bardzo prosta rzecz... Uniscy należą do najświetniejszych rodzin w Galicyi; po mieczu mieli trzech kasztelanów, dwóch biskupów i kilku urzędników koronnych. Pani Uniska jest Mönchówna z domu, z tych najprawdziw-

szych Mönchów, którzy są nawet z dworem saskim, z Burbonami i z Czartoryskimi w pokrewieństwie, a w dodatku stosunki te zachowuje. Z drugiej strony fortuna jest bardzo zachlastana, więc się z panną Uniską żaden kuzyn nie ożeni, może więc zdecyduje się wyjść za mnie. Ja chowam konie rasowe, to wiem, co krew znaczy, i to wiem, że żadna Sanguszkówna ani Potocka nie pójdzie za mnie, więc wolę Uniską bez grosza, niż te fałszowane hrabianki, których mam przynajmniej tuzin w swojej okolicy... Czego tam w tych podrabianych rodowodach niema?

Teraz pan Antoni skorzystał z chwilowej przerwy, wtrącając:

— Niezłeś to wykombinował; jeżeli ci o dobrą polską szlachciankę chodzi, to ona całkiem wymaganiom odpowie... Powtarzam jednak zawsze, że starego Uniskiego nigdy naprzód obliczyć nie można.

Na to zachnął się pan Alfred i podniesionym głosem odpowiedział:

— Jego wola! Jeśli ma olej w głowie, to powinien być uszczęśliwiony, że córka taką partyę zrobi... Jeżeli by chciał tytułu, to mógłbym go mieć zaraz. Żyje jeszcze stary hrabia Sylwester, ostatni z Górnostawskich, żyje w nędzy w Warszawie, daję mu tysiąc rubli na utrzymanie. Chciał mnie adoptować i nazwisko z tytułem przekazać... ale odrzuciłem tę propozycję... To śmieszne, to głupie... Sądzę, że i pan Uniski tak by się zapatrywał na tę sprawę... Wolę być prawdziwym Korymowiczem, niż podrabianym Górnostawskim... Zresztą, patrząc z punktu widzenia przyrodniczego, to Korymowicze lepsi, niż Górnostawscy.

Ostatnie zdanie tak się podobało panu Antoniemu i tak go za serce chwyciło, że bratanka uściskał i przyobiegał w najkrótszym czasie pojechać z nim do Przybyłowa w celu rozpoczęcia konkurów.

— My i tak winniśmy wizytę Uniskim — mówił pan Antoni — to nawet głódziej będzie, jak nie umyślnie przyjedziemy... A Uniscy są tacy ludzie, że moja żona natychmiast pozna, na co się zanosi i czy pójdzie po twej myśli.

Na tem skończono naradę.



VIII.

Pani Klementyna, która lubiła rodzinę Uniskich za ich grzeczność i dobre wychowanie, choć miała bardzo smutne wyobrażenie o ich praktyczności, od razu zgodziła się towarzyszyć mężowi zaraz na drugi dzień do Przybyłowa. W ciągu długich omawiań tej sprawy pomiędzy małżonkami, pani Klementyna wygłosiła następujące zapatrywanie:

— Pan Alfred całkiem dobrze wykombinował... Jądwisia jest jak stworzona do pałacu... Potrafi doskonale reprezentować stanowisko męża i ostatecznie marnotrawną gospodynią nie będzie.

— A ja się bardzo boję, że będzie — odpowiedział mąż. — Nic tym szlachciankom nie dowierzam.

— Zapewne, że gospodarstwa w tym słowa znaczeniu, jakie przywiązuje się do niego w starych ormiańskich domach, to ona nie poprowadzi — odrzekła pani Klementyna z dumą, wnet jednak dodała:

— Lecz są teraz i Ormianki tak nieporządne i leniwe, żeby je można wziąć za żydówki... Pamiętasz nasz nocleg w Kozodawińcach?

Nazajutrz, zaraz po obiedzie zajechała karetka państwa Antoniostwa, zaprzężona w cztery rosłe, spasione radowieckie kasztany. Do powozika zaś wiedeńskiego pana Samuela zaprząął furman Alfreda dwa karosiersy, którymi przyjechał »pan« Ignacy.

Już mieli państwo wsiadać, panowie wyświeżeni czekali na werandzie tylko na ukazanie się pani Klementyny, gdy wpadł na dziedziniec, jak bomba, Wiktor Piechota, potrząsając białą kartką papieru, trzymaną w ręce podniesionej w górę do możliwej wysokości.

— Od pana doktora! — wołał.

— Co nowego? — spytał pan Antoni.

— Odkopaliśmy kamiennych wielkoludów!

Wołał chłopak, który od pewnego czasu tak się roznamiętnił do archeologicznych poszukiwań, że zdawało mu się, iż on sam kieruje robotami. To też codziennie wypraszał się do lasu i zwykle nosił obiady dla doktora; potem korzystając z pretekstu przesiadywał tam do wieczora, gapiąc się, a później tłumaczył się przed Wojciechem i panią domu, że to doktor go zatrzymuje, bo ma z niego największą pomoc.

Teraz wpadł, jak huragan, na schody werandy, wołając głośno:

— O tu jest karteczka od pana doktora. Wszystko tam pisze, jak jest.

— A sam widziałeś? — spytał pan Antoni.

— Co bym nie miał widzieć! Jest kilka »śmierci« aż czarnych od leżenia w ziemi, nawet się w nich kości kupy nie trzymają. Są jakieś czarne kamienie, na które pan doktor mówią, że to są topory i młoty i kule.

— Strzały, osłe! — poprawił pan Samuel, otwierając kartkę doktora.

Przeczytał pospiesznie i rzekł:

— Profesor Schuster pisze, że zrobił nadspodziewanie świetne odkrycie... Odkopał cmentarzysko z epoki kamiennej... Prosi, żebym z pakami i skrzyniami zaraz do niego jechał.

Pani Klementyna w tej chwili w drzwiach dworu ukazała się i słysząc ostatnie słowa Samuela, zaprotestowała stanowczo, mówiąc:

— Nic z tego nie będzie... Samuel musi jechać z nami... A doktorowi odwiezie paki i Jurko, on przecież z profesorem Grabcem załadował cały cmentarz.

Pan Alfred z wielkim zachwytem spojrzął na stryjenkę, miała wygląd nadwyczej dystygowanej wielkiej pani, w dodatku w blado-liliowej suto prawdziwemi koronkami ozdobionej jedwabnej sukni, robiła wrażenie zupełnie młodej, niezwykle pięknej kobiety. Uczuwał gorącą wdzięczność dla niej, że w jego sprawie chciało się jej trudzić, to też poparł jej zdanie, stanowczo mówiąc:

— Ale pewno! Niech sobie doktor sam radzi... Ty Samuś siadaj ze mną, weź tę kartkę, to pokażesz ją Uniskiemu, będzie ufetowany, bo te kości, krzemienne topory i bronzowe zausznice, to jego słaba strona.

Stanęło na tem, jak sobie życzył pan Alfred.

Droga do Przybyłowa szła krajem falistym, pagórkowatym, tu i ówdzie bieleły się dość wysokie wzniesienia, zakończone skalistymi szczytami z białoszarego wapienia. Po polach i kotlinach świeciły się zwierciadła dużych, spokojnych, zacisznych stawów. Zboże z żyznych, bujnych łąnów było już zebrane, więc złociły się ogromne przestrzenie świeżej pszennej ścierni, tylko tu i ówdzie stały jeszcze gęste szeregi kop, należące do niespieszących się gospodarzy. Po chłopskich poletkach spotkać można było wązkie paski późnego owsa nie ściętego jeszcze kosą, a pomiarki kukurydzy z dala zieleńiały jakby jakieś karłowate lasy.

Jechali dość wolno, bo czwórka kołomierska nie nawykła była do szybszego kłusa. Pan Alfred niecierpliwił się tą wolną jazdą i czas skracał sobie rozmową ze swym stryjecznym bratem. Mówiono wiele o pannie Wandzie.

— Jak ona długo jest już u was? — pytał ciekawie Samuela.

ściom, którzy mu w pracy przeszkadzali. Wrażenie to jednak potrafił rychło stłumić w sobie i wnet z uśmiechem pełnym uprzejmej gościnności podawał ramię pani Klementynie, aby ją wprowadzić na ganek.

— Sąsiad dobrodziej przy pracy — rzekł po powitaniu pan Antoni, wskazując na stół zastawiony książkami i rycinami. — Może przeszkadzamy?

— Ależ nie! Broń Boże! To dyletancka robota... Po prostu się bawię.

Tymczasem podjechał powozik wiozący młodych panów. Pan Antoni, z ganku jeszcze wskazując na Alfreda dodał:

— Pozwoliłem sobie, przywieźć dziś mego bratanka, który miał wielką ochotę poznać sąsiada, jako uczonego znanego w dalekich nawet stronach.

— Kpij sąsiad zdrow! — zawołał pan Uniski, śmiejąc się — ktoby tam o mojej »uczoności« mógł mówić pomiędzy Tarnopolem a Podwołoczyskami. W każdym razie syn pana Kajetana, mego dawnego i dobrego znajomego, będzie mi miłym gościem.

W ciągu tej rozmowy pani Uniska z córką, zwabione turkotem podjeżdżających powozów ukazały się na chwilę na ganku, spostrzegłszy panią Klementynę natychmiast ją wprowadziły do wnętrza domu, pomagając jej zdjąć kapelusz i zrzucić wierzchnie okrycie. Za chwilę weszli wszyscy panowie. Pan Uniski przedstawił żonie i córce pana Alfreda.

Na jego pełen szacunku ukłon odpowiedziały panie dość ceremonialnym dygiem. A panna Jadwiga zwróciła się odrazu do Samuela, mówiąc tonem przyjaźnej poufałości:

— A to musiał pan narzekać na nasze sąsiedztwo?

— A dlaczego?

— No, a archeologowie?

— Nic mi nie szkodzili.

— No pewno, że panu nic nie wadzili, ale co pani Klementyna o tych narzuconych gościach myślała?

Pani Korymowiczowa zaczęła zapewniać, że jej ci uczeni panowie żadnego ambarasu w domu nie sprawili. W ciągu tej rozmowy gospodarz domu szepnął do pana Antoniego:

— Wie sąsiad, że z tym Grabcem ledwie końca doszedłem.

— Cóż to było?

— No, zwaryował!

— Jako zwaryował?

— Wystaw sobie sąsiad — mówił, postępując za paniami do dalszych pokojów — wyprawił ze stacyi paki z wykopaliskami do Krakowa, a sam tu do mnie przyjechał.

— Zapewne pożegnać się.

— Dyabła tam! Trzy godziny mi tu gadał o tem, że położywszy takie olbrzymie zasługi dla nauki, zasłużył przecież na jakąś nagrodę, a jako wynagrodzenie wymyślił sobie małżeństwo z panną Wandą Ordonówną.

— Cóż, kiedy go niechce — wtrącił pan Antoni.

— Właśnie opowiedział mi całe przejście i chciał gwałtem, żebym zaraz jechał do Kołomierza pannę namawiać.

Na to pan Korymowicz uśmiechnął się uprzejmie i skłaniając głowę przed gospodarzem rzekł:

— Bardzo by mi było miło powitać sąsiada do-brodzieja w moim domu, choćby z tytułu swactwa profesora Grabca, ale sądzę, że i pan byś był nic nie pomógł, bo ani nawet gadać sobie o tem nie pozwalała...

— To głupstwo zrobiła! Teraz panny ubogie drożyć się nie powinny... Ciężkie czasy! — zakonkludował pan Uniski.

Całe towarzystwo tymczasem postępowo powoli za panią Uniską, która podawszy rękę pani Klementy-

nie, przechodząc kilka pokoi, wprowadziła ją do recepcyjnego salonu. Alfred, idąc, okiem znawcy badał urządzenia domu i w duchu przyznawał, że w żadnym z najwspanialszych pałaców podolskich nie spotkał tylu tak cennych i starożytnych przedmiotów. Cały dom i jego urządzenie mówiły wyraźnie, że liczne pokolenia ludzi wykształconych i posiadających wysoką kulturę pracowały na to, żeby stworzyć to wspaniałe muzeum rodzinnych pamiątek.

Na każdym kroku widniały starożytne meble, drogocenne makaty, portrety rodzinne autentyczne i dobrego pędzla; z drugiej strony cała masa kosztownych artystycznych drobiazgów i przedmiotów nowożytnego komfortu, sprawiała, że dom w Przybyłowie nie robił wrażenia gabinetu starożytności, lub sklepu antykwarjusza, tylko mieszkania starej, a przytem wysoko cywilizowanej rodziny.

Sam salon, w którym się całe towarzystwo zatrzymało, był po prostu wspaniały. Ogromny i wcale nie przepełniony nadmiarem mebli, miał surowy, stylowy wygląd. Cały był na biało lakierowany ze złoczeniami arabeskami na suficie, meble były także białe ze złoceniami, obite blado-żółtą jedwabną materią w kwiaty srebrne. Jedyne ozdoby tego salonu były trzy olbrzymie lustra weneckie z herbami Uniskich u szczytów i kolosalny świecznik, zawieszony w samym środku salonu... Alfred zrozumiał odrazu, że taki salon mógłby się pomieścić w każdym pałacu królewskim. Aż biły od niego artystyczna prostota, połączona z wielkopańskim przepychem.

Wszyscy usiedli, tylko pan Antoni i gospodarz stali na środku, kończąc jakąś rozpoczętą w drodze rozmowę. Korymowicz zresztą niechętnie siadał na tych drogocennych krzesłach i z wrodzonym mu humorem zawsze wypraszał się od tego, mówiąc, że się boi, aby te cacka

nie potaniały się pod ciężarem jego olbrzymiej figury. Co prawda, że i pan Uniski nie był ani mniejszy, ani cieńszy od niego, z kształtów byli zupełnie do siebie podobni, tylko różnili się cerą twarzy, rysunkiem nosa i kolorem włosów. Pan Antoni był śniady, miał duży orli nos i czarne, siwiejące wąsy i włosy. Uniski zaś był blondynem o jasnej cerze, cienkim wydłużonym i trochę w górę podniesionym nosie i jasno-błękitnych oczach.

Panie Przybyłowskie miały tę łatwość towarzyską, znamionującą ludzi najwyższego towarzystwa, która sprawia, że nie dopuszczają nigdy w towarzystwie do zapanowania kłopotliwego milczenia. Umiały zawsze poprowadzić rozmowę i zajmująco i przyjemnie. Ułatwieniem wielkim było i to, że w Alfredzie znalazły wybornego partnera, który przez swoje stosunki w wielkim świecie znał bliżej wiele osób, z którymi łączyły Uniskich pokrewieństwo lub zażyłość.

Mówiono więc o balach, zabawach, znanych elegantkach, skandalikach w lwowskim i krakowskim towarzystwie, wreszcie rozmowa zeszła na temat kariery dyplomatycznej, którą starał się zrobić jeden z synów pana Uniskiego, noszący imię protoplasty rodu — Floryana.

Pan Alfred dziwił się, że dotychczas nigdzie się z nim nie spotkał.

Pan Uniski starał się wytłómaczyć, mówiąc:

— Wychowywał się w Karlsburgu... Taniej mnie to kosztowało — wtrącił otwarcie pan Uniski. — Później był w akademii oryentalnej... Po skończeniu nauk, zaraz wstąpił do służby i bywał w jakichś zakazanych stolicach, gdzie cywilizowani ludzie nie zajeżdżają: w Bukareszcie, w Belgradzie, w Cetyunii... Teraz go przeniesi do Monachium.

Panna Jadwiga, chcąc pokazać jak jej brat wygląda, wstała i zaczęła szukać w szkatułce przepełnionej fotografiami jego podobizny. Stała w blasku słonecznym

i mógł się jej teraz pan Alfred doskonale przypatrzeć. Nie zmarnował tej sposobności.

Była niezwykle wysoka, doskonale zbudowana, dość pełna, choć nie otyła, i mogła uchodzić za wyborny typ zdrowej i silnej kobiety. Twarz dość dużą i bardzo białą krasily silne rumieńce, a zdobiły duże szafirowe podługowate oczy, ocienione długimi rzęsami i regularny cienki nos. Ubrana była w skromną suknię granatową, marynarskim krojem zrobioną, która kolorem swym wybornie odpowiadała bujnym złocistym splotom jej jasnych włosów. Cała jej postać przypominała owe dawne normandzkie dziewice, które strzegły ognisk domowych, w czasach, gdy ojcowie i bracia puszczali się na morza w celach wojny i rabunku.

Alfred patrzył na nią i był z oględzin zupełnie zadowolony, w duchu szeptał:

— Zdrowa i okazała!... Można ją zawieźć nawet na cesarski dwór, nie zrobi tam złego wrażenia.

I starał się przedstawić sobie w wyobraźni, jakby ona wyglądała w strojnej balowej tualecie, z dyademem brylantowym nad czołem i całym aparacie przepychu, którym się zazwyczaj otaczają bogate światowe damy.

Tymczasem panna Jadwiga znalazła najładniejszą fotografię Floryana w dworskim mundurze szambelana i zbliżając się nieco do Alfreda, rzekła:

— Niech pan patrzy. Nadzwyczaj podobny... Tylko mnie razi, że tak samo, jak wy wszyscy panowie, nie nosi wąsów, tylko te niezdolne faworyty.

Pan Alfred uśmiechnął się pobłaźliwie i szepnął:

— Taka moda!

Następnie zbliżył się do panny Uniskiej i z udanym trochę szacunkiem zaczął oglądać podobiznę przyszłego ambasadora.

Pan Uniski, który był z natury otwarty i nie lubił nic w bawełnę obwijać, szepnął do pana Antoniego:

— Wpadliśmy głupstwo z tą dyplomacją!

Korymowicz nie przyzwyczajony w ormiańskich domach do zbytnej otwartości i wywnętrzania się, udał, że tego nie słyszy, lecz pan Uniski, którego aż piekło, żeby się wygadać, powtórzył jeszcze głośniej:

— Powiadam panu, że ta dyplomacja, to skończone głupstwo!

— Jak pan to uważa?

— Co ja mam tu uważać albo nie uważać — wybuchnął Uniski porywczo — wiem, że wydałem po prostu fortunę szlachecką na wychowanie Floryana... Dostał miejsce, no i nie wystarcza mu pensya... Co roku muszę dodawać po parę tysięcy.

— To już ojcowski los — wygłosił sentencyonalnie pan Antoni.

— Dobrze panu mówić — przerwał mu gospodarz. — Nasamprzód Samuel i w gospodarstwie dopomóże i ma skromne wymagania.

— Nie bardzo, nie bardzo!

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi — mówił z zapamiętaniem pan Uniski. — A zresztą, co sąsiadowi znaczy kilka tysięcy... Psu mucha!... A ja muszę głową kręcić jak szewc skórą, ażeby na wszystko nastarczyć.

— Wszyscy na tym wózku jedziemy — odpowiedział pan Korymowicz.

A pani Uniska, szczupła i bardzo delikatna kobieta, odziana w skromną, zakonną prawie czarną suknię, dodała:

— Już mój mąż znowu narzeka na złe czasy.

Chciała ten wylew pesymizmu powstrzymać, bo nie lubiła, gdy się przed obcymi wywnętrzał z kłopotów finansowych. Nic to jednak nie pomogło, pan Uniski, jakby na przekór, mówił z rosnącym zapamiętaniem:

— Wolałbym dziś być żydowskim wodowozem niż szlachcicem. Podatki płąć i to płąć zaraz i Bóg nawet

nie wie ile. Wybory przyjdą, tłucz sobą tygodniami... Rada powiatowa, Rada szkolna, Rada gminna — radź... Gdzie się jaki oberwus pokaże — daj! boś szlachcic!... Ale tobie nikt nic nie da, jeszcze każdy taki skryba w urzędzie patrzy na człowieka, jak na wilka i w łyżce wody by go utopił.

— Masz sąsiad rację!... Rację najsprawiedliwszą — potakiwał, kiwając głową, pan Antoni.

Byliby panowie bajali na ten temat pewno do samej herbaty, gdyby pani Uniska nie wpadła na dobry pomysł przerwania tej rozmowy, zaproponowawszy całemu towarzystwu przechadzkę po parku.

Towarzystwo rozdzieliło się: pan Uniski ze starym Korymowiczem, zapaliwszy cygara, dalej narzekali na »psie czasy«, panna Jadwiga z obydwu młodymi ludźmi poszła karmić łabędzie na sadzawce. A pani Klementyna, skorzystawszy z nadarzającej się sposobności, wprowadziła panią Uniską do bocznej kasztanowej alei i tam bez długich wstępów, zapytała wprost, czy niema nic przeciw temu, żeby p. Alfred bywał w ich domu w celu starania się o rękę panny Jadwigi.

Pytanie to na razie zdziwiło i zmieszało panią Uniską, przez chwil kilka nie mogła się zdobyć na odpowiedź, ale wprawne oko pani Klementyny poznało odrazu, że zdziwienie to nie było nieprzyjemnem, że matka w gruncie rzeczy nic nie miałaby przeciw temu małżeństwu.

Po dość długiem milczeniu pani Uniska wreszcie odpowiedziała.

— Całkiem niespodziewanie zagadnęła mnie łaskawa pani w przedmiocie, który wymaga głębszego zastanowienia się i rozwagi.

— Ja też nie nalegam o odpowiedź natychmiastową — wtrąciła pani Korymowiczowa.

Pani Uniska mówiła, nie zatrzymując się, dalej:

— Bardzo państwu jesteśmy wdzięczni, za pamięć o losie Jadwisi. Bardzo! bardzo!... Ale muszę się porozumieć z nią samą. Pani to zrozumie jako kobieta. No i z moim mężem. I w najkrótszym czasie odpowiem łaskawej pani.

— Żeby Bóg dał, by ta odpowiedź była pomyślną dla Alfreda — zdecydowała uroczyście pani Klementyna. Na tem skończono rozmowę. Dalszą gawędę przerwał dźwięk dzwonka, zwołujący towarzystwo do herbaty.

Wkrótce zebrali się domowi i goście w wspaniałej sali jadalnej. Zastawa była przepyszna, porcelana z herbami, kryształ, srebrne klosze na owoce, jednym słowem na każdym punkcie widniała stara zamożność domu, tylko pani Klementyna swem gospodarskiem okiem dojrzała, że chleb miał »zakalec«, obwarzaneczki były przepalone, a bułka niewyrośnięta i »zagnieciona«, ale zato owoce były bez zarzutu. Herbata, którą pan Alfred pijał nałogowo, była również wyborna. Usposobienie wszystkich było wesołe i swobodne i Korymowicz poznał odrazu, że Alfredowi wszystko, co tu zastał przypało bardzo do gustu.

Rozmowa przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, była ożywiona i nie czuć było żadnego przymusu. Daleki gość w zdumienie wprost wprowadzał swych najbliższych. Nigdy go jeszcze takim nie widzieli, zazwyczaj milczący i znudzony, teraz przesadzał się w uprzejmości i sypał dowcipami jak z rogu obfitości.

Co mu się stało? — zapytywał w duchu sam siebie pan Antoni i w ten sam sposób odpowiadał — pewno mu się tak panna podobała. — I rad był z tego, bo miał bardzo dobre serce i pragnął bardzo, by Jadwisia Uniska wyszła za Alfreda i w ten sposób uniknęła grożącego jej niechybnie w przyszłości niedostatku.

Pan Uniski zaś, któremu żona już miała czas szepnąć o celu uroczystej wizyty Korymowiczów, rozmy-

ślał nad tem, co właściwie ma zrobić... W głębi serca nie lubił Ormian i nawet zazdrościł im bogactwa i powodzenia w interesach. Nazwisko więc pana Alfreda nie pociągało go wcale. Gdy jednak przypomniał sobie cały nawał niezależnych interesów, te czekające go ciągle terminy wekslowe, gdy uprzytomnił sobie całe swe życie od lat kilkunastu wiecznej walki i przypuścił, że jego córka mogła takie same, a może jeszcze cięższe życie pędzić, to na małżeństwo to zapatrywał się mniej krytycznie.

— Oni mogą być w rzeczy samej starszą szlachtą niż my — monologował w myśli — tylko polityczne stosunki pozbawiły ich stanowiska. Niby to ja w Dreźnie nie widziałem Radziwiłła, który kulczyki sprzedawał i Czetwertyńską, robiącą w Paryżu czepeczki.

Po tem przypomnieniu Korymowicz jeszcze mniej mu się strasznym wydawał.

— Pradziad ich, prawda, miał sklep w Stanisławowie, ale dziś to już nie hańba, przecież hrabia Tysskiewicz ma piekarnie i sklepy w Wilnie.

Nie zdecydował się jeszcze, ale myśl sama straszną mu się wcale nie wydawała. Kochał swą córkę prawdziwie i chciał jej życie uczynić wygodniejszym, niż to, które pędziła przy rodzicach.

To też, gdy goście po herbatce chcieli natychmiast wyjeżdżać, zatrzymywali ich z całą wrodzoną mu gościnnością. Pan Antoni, biorąc to za dobry znak, został i dopiero po bardzo skromnej i niedbale przyrządzonej wieczerzy, przy świetle dwóch pochodni, wiezionych przez konnych kozaków przybyłowskich, goście opuścili dwór państwa Uniskich.

Alfred znalazłszy się za bramą dworską, szepnął do Samuela:

— Wszystko dobre, ale jeżeli panna Jadwiga pójdzie za mnie, to musi wymagać od kucharza, żeby ko-

tlety nie były takie twarde, a kurczęta spalone... Ma trochę stryj racyi, że nie dowierza polskim gospodyniom.

W Przybyłowie po odjeździe gości była generalna debata pomiędzy małżeństwem w nieobecności córki.

— Coż ty mówisz na to? — pytała pani.

— Jeszczem się nie zastanowił — odparł mąż, podkręcając wąsy. — Dyabło im musi być spieszo Uniską dostać, kiedy tak z kopyta wyjechała z zapytaniem i farbę pokazała.

— To mnie znowu nie tak bardzo dziwi... Ormia- nie praktyczni ludzie, czasu tracić nie lubią na długie, sentymentalne konkury... Zresztą, to nietylko u nich jest w zwyczaju zapytać, czy może młody człowiek być... To ostatecznie do niczego nie obowiązuje.

— Rozmów się z Jadwisią — rzekł, budząc się z zadumy pan Uniski — ona jest rozumna dziewczyna.

— Tak nagle nie mogę, gotowa się przestraszyć.

Na chwilę umilkli oboje, a później pani Uniska szeptem prawie zaczęła się wywnętrzać:

— Mnie się zdaje, że lekceważyć tego nie można... Choć on Korymowicz, ale kolosalnie bogaty i przez matkę ma stosunki w najlepszym świecie... Z drugiej strony nam się nie wiedzie... Jadwisia dobra i ładna dziewczyna, ale nie do dzisiejszego towarzystwa, takiego przerafinowanego, przeczulonego. Ona całkiem do ciebie podobna, ma twoją otwartość i twój humor.

— To mnie cieszy! — przerwał, śmiejąc się mąż.

— Zapewne — mówiła pani, nie zważając na żartobliwy ton męża — ale przez to robi złe wrażenie pomiędzy terazniejszymi egzotycznymi pannami, podobnemi raczej do kwiatów cieplarnianych, sztucznie wyhodowanych, niż do zdrowych kobiet... Cóż, że z największymi wysiłkami udało się nam pojechać na karnawał raz do Krakowa, a drugi raz do Lwowa, na nic się to nie zdało, nikt się nie spytał nawet. A Jadwisia ma już 23 lata.

Nagle pan Uniski aż podskoczył na fotelu, uderzył się szeroką dłońią po białem czole i zawołał:

— No, i wilk będzie syty i koza cała... Wymyśliłem!

— Co? Coś wymyślił?

— A no, wymyśliłem. Mam pretekst... Jutro jadę do Kołomierza.

— Jakto, zaraz jutro?

— Tak! jutro.

— Ależ w jakim celu? To zawczasie... Gotowi pomyśleć, że tak gwałtownie go pragniemy.

Mąż śmiał się całym sercem z zakłopotania żony i zupełnie już swobodnym i wesołym głosem odrzekł:

— Ani nawet na myśl im to wpadnie.

— Ależ co to za pretekst?

— Widzisz — rzekł całkiem poważnie. — Samuel powiedział mi, że Schuster odkopał tam jakieś nadzwyczajne rzeczy, pojedę więc do niego na Uroczysko — a później do dworu na obiad... Rozumie pani żona? Co?

— Niezły pretekst... ale tylko do niczego się nie zobowiązuj, z niczem się nie wygadaj.

Więcej nie mówiono o tej sprawie.

Tylko pani Uniska nie wytrzymała, i pod sekretem opowiedziała na »dobranoc« wszystko córce. Skutek był taki, że Jadwiga spać nie mogła, a po bezsennej nocy sama przed sobą przyznała się, że choć pana Alfreda jeszcze nie kocha, ale postara się go pokochać, bo powinna bogato wyjść za mąż dla zapewnienia spokojnej starości rodzicom i dopomożenia braciom.

W zasadzie ofiara spełnioną została bez niczyjej krzywdy.



IX.

Isan Alfred miał niektóre zwyczaje w okolicy Kołomierza zupełnie nieznanne. I tak powróciwszy o godzinie dziesiątej w nocy z Przybyłowa, zapowiedział Samuelowi, że jutro rano o piątej zamyśla przejechać się konno i prosi go, żeby mu towarzyszył.

— Posadzę cię na »Rolanda« — dodał, śmiejąc się. — Sprobujesz jak to się jeździ na angielskim koniu.

Pan Samuel, chociaż mu się serdecznie nie chciało po wczorajszej przejażdżce zrywać dodnia, jednak bojąc się żartów kuzyna, stawiał się na termin.

Lorenz przeprowadzał już dwa konie, osiodłane podług najwybredniejszych sportowych wymagań. Chłopak ze stajni kołomierskiej na boku trzymał osiodłanego ogiera arabskiego »Wajdelotę«, który był utrzymywany tu dla honoru stajni, ale nic prawie nie robił... Teraz ujrawszy nieznanne mu konie, wspinał się, rzał zajadle, i tak się tym niepokojem zmęczył, że aż spocił się cały, i biała jego jak śnieg koszulka, stopniowo zmieniała się w jasno-błękitną.

— Po co tego kwikuna wyprowadzili? — spytał pan Alfred, wskazując »Wajdelotę«.

— To ja na nim pojedę, proszę jaśnie pana — odpowiedział Lorenz.

— Uważaj, żebyś nie zleciał — przestrzegął go pan — byłby wielki wstyd!

— Chybaby się bestya ze mną przewróciła.

Na to Samuel rzekł uspakajająco:

— Niech się Lorenz nie boi, nigdy on nie utyka.

— Cobym się miał bać takiej białej gęsi — mruknął Ślżak pogardliwie — nie na takich smokach ja jeździł... A jak zechce »rulować«, to mam jeszcze tyle siły w garści, że go zatrzymam.

— Zobaczmy! — rzekł pan Alfred i lekko wskoczył na siodło.

Klacz jego doskonale wyjeżdżona, lekko skanaszowała się i czekała spokojnie, aż inni jeźdźcy dosiądą koni. Samuel z pewnym trudem wydrapał się na ogromnego »Rolanda«. A »Wajdelota« takie harce wyprawiał, że rozżłoszczony Lorenz musiał nań skoczyć, bez opierania nogi o strzemię.

— Poczekaj, psia krew, arabski kundlu... — mruczał rozgniewany Lorenz — za godzinę, w polu inaczej mi będziesz gadał.

Przez miasteczko jechali wolno. »Frou-frou« szła jak dziecko, ogier zaś pod masztalerzem nie robił ani jednego regularnego kroku, wspinał się, rżał i skakał jak kozioł wszystkimi czterema nogami w górę, dzielny jeździec nic sobie jednak z tego nie robił. Niesforne to zachowanie srebrno-grzywego araba, źle widać wpływało na nerwy i humor flegmatycznego zazwyczaj »Rolanda«, bo kładł uszy po sobie i co chwila wyciągał szyję w ten sposób, że wprost podnosił Samuela na siodle i ściągał go prawie na swój kark.

Pan Alfred z uśmiechem pobłażliwym na to spoglądał i pocieszał kuzyna, mówiąc:

— Niech cię to nie drażni... Kto pierwszy raz siada na angielskiego konia, to musi być na to przygotowany... Pamiętam, jak mnie był pierwszy raz wsadził Prądzic na swego »Puhacza«, tom mu ciągle po szyi jeździł i ledwie na uszach zatrzymać się mogłem, ale zato, »Puhacz« nauczył mnie jeździć na koniu.

Samuel nie wiele słyszał z tej przemowy; doznawał dziwnego uczucia: zawsze przedtem, gdy jeździł na orientalnych koniach, to mimo najdzikszych skoków wierzchowca, czuł że panuje nad nim zupełnie, teraz miał wrażenie niemitej bezsilności, zdawało mu się, że jest drobną muszką, którą porusza jakaś nieokiełzdana a potężna siła. Doznawał uczucia strachu, choć starał się je kryć, wstydząc się Alfreda.

Za miasteczkiem ruszyli kłusem. Z tyłu »Wajdelota« ciągle wycinał hołubce pod Lorenzem, lecz zręczny Ślązak potrafił go w karbach utrzymać i jechał w pewnej odległości. »Frou-frou« kłusowała jak baletnica... »Roland« rozpuścił nogi, poruszył grzbietem, a w takt tego ruchu jeździec zaczął na siodle podskakiwać jak piłka.

— Trzymaj się kolanami! — zawołał mu w ucho Alfred — cugle popuść, bo im go będziesz silniej trzymać, tem będzie twardziej kładł się w wędzidło.

Samuel nie słyszał słów kuzyna, a choćby i słyszał, to nie byłby w stanie wykonać instrukcyi; wyrzucany raz po raz z siodła silnymi ruchami potężnego »huntera«, zachwiał się i zaledwie udało mu się zatrzymać na siodle, za pomocą cugli. W tejże samej chwili szarpnięty koń wspiął się i ruszył odrazu cwałem.

— Puszczaj cugle i trzymaj się kolanami! — zakomenderował głośno pan Alfred i śmiejąc się galopował o dwie długości konia za nim z tyłu.

Na szczęście droga była równa, jak po stole, zarosnięta murawą, więc nic nie groziło ani jeźdźcowi ani koniowi.

— Za chwilę Alfred, pocisnął klacz i zajeżdżając z prawej strony zrównał się z Samuelem.

— Widzę, że muszę cię pilnować jak hrabinę Runię na polowaniach w Kozłowie — wołał, uśmiechając się pobłaźliwie.

Samuel nic nie odpowiadał, ale widocznem było, że przyszedł już do siebie i potrafił wygodniej ulokować się w siodle.

Dobrze — pomyślał Alfred i głośno dodał:

— Staraj się powoli zbierać cugle, boś tak rozpuścił, że na pierwszym lepszym rowku koń może leżeć jak długi.

Ku wielkiej uciesze nauczyciela uczeń zrozumiał teraz instrukcyę i za chwilę zdołał tak przyciągnąć cugle, że koń zrównoważył się i zaczął iść równym myśliwskim galopem.

— Teraz zbierz go całkiem w kupę, dotknij rajtpajczem i ciśnij naprzód co możesz... Już ty teraz jego panem, nie on twoim!

Głuchy tentent równego galopu z echem rozlegał się po równych polach i obaj jeźdźcy mknęli, głowa końska w głowę, równo i swobodnie jak za zajacem. Konie forkały i prychały z zadowolenia.

Po trzech kilometrach takiej jazdy A... widząc, że Samuel zaczyna za szybko oddychać, do...:

— Próbój zwolna hamować.

Sztuka się udała. Z szybkiego myśliwskiego galopu wpadli w wolniejszy, wreszcie konie zaczęły iść stępem.

— A niechże go kule biją! — zawołał sapiąc Samuel — myślałem, że mnie bestya rozniesie. Rwał tak, że mi się z razu zdawało, iż mi ręce z ramion powyciąga... A na siodle tak trudno się utrzymać.

— Bo ślizgie.

— Ot, nie kpj!

— Ależ zupełnie nie kpję, sam taką samą naukę przechodziłem, gdy mnie Prawdzic pierwszy raz na angielskiego konia był wsadził... Każdy musi to przejść, ale zato w tym ostatnim kwadransie nauczyłeś się więcej niż byś się mógł nauczyć za rok jeżdząc na zwy-

kłych podjezdkach lub naszych arabczykach... Ale ba gdzie podział się Lorenz i twój sławetny »Wajdelota«?

Stanęli, zaczęli się rozglądać, ani śladu.

— Pewno go ogier zrzucił — szepnął z obawą Samuel — gdzieś sam musi biegać. Żeby się choć nie pokaleczył, bo ojciec by się bardzo gniewał, ogromnie lubi tego konia.

— Ręczę ci, że Lorenz ani nawet myślał zlecieć — odrzekł Podolak z lekceważeniem — prawdopodobniejsze, że jechaliśmy zanadto szybkim galopem i nietrenowany ogier mu ustał... Zobaczysz, że wkrótce nadjedzie.

Instęli dalej. W tym momencie, konie parsknęły i wesoło wyrwały głowy. Samuel, przyzwyczajony już do tego, nie denerwował się i coraz swobodniej obracał się w swoim siodle. Zaczęli rozmawiać o koniach, o ich hodowli.

Samuel słuchał teraz stryjczonego brata jak wyroczni; doświadczenie nauczyło go tym kunsztu, w którym obe-

cał uszu miarowy tentent wolkonko i zwróciwszy się w tył, stał na ziajanym, okrytym potem i ciężko dyszącym »Wajdelocie«.

— A gdzieżeś się zgubił? — zapytał go jego pan.

— A niech piorun spali takiego araba!

— Cóż się stało?

— Zrazu rwał się, że myślałem: nie dotrzymam... Jak panowie ruszyli galopem, zebrałem cugle i powiadam mu: no, ruszaj, zobaczymy, co umiesz? Ruszył, prawda, z miejsca, jak piorun poszedł ze trzysta sążni... folguje, ja kijem i gadam: — marsz! Poszedł jeszcze ze trzysta sążni, alem już pchał. Nagle się zaczyna rozpieraćć i ogonem fajt! fajt! To na prawo, to na lewo! Myśle: źle!... Cudzy koń jeszcze kłapnie. Zatrzymałem, widzę, dziecko z ochronki. Jechałem noga za nogą z kwa-

drans. A teraz drobnym truchcikiem, ot jak nasza klucznica, z przeproszeniem, biegnie przez gazon, jak ją do jaśnie pana zawołają.

— Jedźże sobie wolno za nami — przerwał mu pan Alfred i ruszyli znowu naprzód.

Wkrótce skręcili z drogi na ściernie, później na wyschnięte łąki. Konie szły spokojnie, panowie gawędzili. Rozmowa przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, wreszcie pan Alfred zapytał niespodzianie:

— Samuś, powiedz mi prawdę, czy ty nie kochasz się czasem w waszej guwernantce.

Samuel splonął nagle, co nie uszło bacznej uwagi kuzyna i odpowiedział niechętnym tonem:

— Skąd ci ta myśl przyszła?

— Skąd? To moja rzecz... A tobie radzę i proszę cię, nie rób przedemną tajemnic, bo w takich sprawach można wleźć w kabałę... A i można czasem wiele narobić... po prostu — świństw.

— Ja świństwa nie zrobię! — odparł z oburzeniem Samuel.

— Ale możesz zrobić głupstwo, albo ostatecznie świństwo bez wiedzy i woli... Proszę cię, pomów ze mną otwarcie.

● — Cóż ci powiem! Sam nic nie wiem.

— To najgorzej! — szepnął Alfred i głową pokiwał w ten sam sposób, jak to czynił zwykle pan Antoni.

— Nie wiem doprawdy, co ci na tem może zależeć — odpowiedział na to Samuel.

— Posłuchaj! Wiesz, że jestem doświadczony człowiek, a choć tylko o kilka lat od ciebie starszy, to jednak ludzi i świat znam daleko lepiej. Po prostu, moją namiętnością jest obserwacja ludzi, badanie ich natury i usposobień... Otóż powiem ci, że pannę Wandę pierwszy raz tu zobaczyłem i odrazu poznałem, że jest bardzo tobą zajęta.

— Czyż być może?

— A terez widzę już na pewno, że i ty w niej po uszy jesteś zakochany, tylko się z tem kryjesz sam przed sobą...

— Nie zastanawiałem się nawet nad tem — szepnął Samuel zawstydzony, że się tak po dziecinnemu zdradził.

— I to sam przed sobą zmyślasz... Zastanawiałeś się i zastanawiasz się ciągle, ale boisz się stanąć oko w oko z tą myślą. Boisz się jasno postawić kwestyę. Więc ja jako doświadczony powiadam, iż, jeżeli chcesz uczciwie postąpić, to albo się o nią oświadczyć, albo jechać do mnie, gdziekolwiek bądź, w świat, za granicę, albo rozmów się o tej sprawie z ojcem i proś, niech ona wyjedzie... Najgorsze są te skryte miłości... Tli to jak iskra biegnąca po loncie, aż dojdzie do prochów i musi nastąpić wybuch.

Samuel zamyślił się głęboko, głowę na piersi spuścił i ani słowem nie odpowiadał na mądre słowa stryjcznego brata. Ten, korzystając z tego, mówił dalej:

— Twój ojciec jest jednym z najuczciwszych, najlepszych ludzi, jakich znam na świecie. Rozmów się z nim, on ci najlepiej poradzi... Ja bym sam to zrobił, ale nie chcę wchodzić pomiędzy ojca i syna; może to byłoby mu przykrem. Byłby to brak zaufania z twojej strony.

— Nic nie mów! — zawołał Samuel z obawą — ja już sam pomówię, ale muszę myśli zebrać.

— Zbieraj, zbieraj! tylko nie przewlekaj zadługo.

Zdała widniały już olbrzymie świerki parku kołomierskiego i przejryste zwierciadło stawu. Z miasteczka dochodził dźwięk sygnaturki, zwołujący wiernych na mszę świętą. Wjechali znowu na bitą drogę i już milcząc dojeżdżali do dworu. Dalsza rozmowa już się nie kleiła dwom młodym ludziom zupełnie.



San Alfred po przejażdżce wziął kąpiel i przy pomocy troskliwego Ignacego przystroił się w jedwabny ciemnogramatowy negliz, zasiadł do śniadania, które mu podano w jego pokoju.

Stryj przyszedł na chwilę z fajką w ręku dowiedzieć się, jak mu się spało, i zdziwił się niepomiernie, usłyszawszy, że bratanek już wrócił z dalekiej konnej przejażdżki.

— Czy wy macie zdrowie na jeden rok? — zapytał zgorzony.

— Właśnie stryju, taki sposób życia najlepiej konserwuje zdrowie... Proszę spojrzeć tylko, jak doskonale zmiatam wędliny i tego wysmienitego kapłona na zimno. Gdybym był spał dotychczas, to zaledwie przełknąłbym szklanekę kawy.

— Nowe mody! Nowe mody! — szepnął pan Antoni i puściwszy wonny kłąb dymu, pożegnał bratańca, bo mniemał, że on wkrótce zacznie się ubierać i wyjdzie do towarzystwa, ale Alfred nawet nie myślał o tem, pił powoli herbatę, palił egipskie papierosy. Wfeszcie kazał Ignacemu wydostać przybory do pisania i zasiadł do korespondencyi. To trwało około trzech kwadransów. Skończywszy korespondencyę, wziął do ręki tom angielskiego dzieła o rasie koni wyścigowych i zatopił się w czytaniu.

Około godziny jedenastej pan Alfred usłyszał turkot jakiś przed gankiem, spojrzął przez okno i poznał pana Uniskiego, jak odziany w długi, szary puderman-
tel gramolił się z wózka.

— Coś djablo mu spieszno — szepnął do siebie — pewno szlachcic ma długów po uszy. Ale to i lepiej; nie będą mi później fanaberyi pokazywać.

Zadzwonił i kazał Ignacemu podawać ubranie.

Pan Uniski tymczasem witał się kordyalnie z panem Antonim, później zawołał rubasznym tonem:

— Wie sąsiad, że z tymi naszymi archeologami zwaryować przyjdzie... Niech pan sobie wyobrazi, że dr Schuster dziś prosił mnie, żebym się w jego imieniu oświadczył o rękę panny Wandy.

— Kto? co? jak? — pytał zdziwiony pan Korymowicz. — Gdzież sąsiad widział doktora?

— A no, przypomniałem sobie rano, co mi Samuel wczoraj mówił o odkryciu: myślę sobie — pojedę zobaczyć. Kazałem założyć do wózka, jadę po tych drogach leśnych pewno ze dwie godziny. Przyjeżdżam, Niemiec chodzi po przekopie jak zwaryowany. Zaczyna mi pokazywać swoje skarby.

— Czy w rzeczy samej takie ważne odkrycie? — wtrącił gospodarz — bo ja się na tem nic a nic nie znam.

— Ładne rzeczy, ale jeszcze nie koniec świata... Choć w rzeczy samej starsze, niż te, co Grabiec znalazł, ale tamtych było dużo więcej i może były charakterystyczniejsze... Ale nie o to chodzi.

— A o cóż?

— Niech sąsiad posłucha, gada mi pół godziny o drogocенności tych krzemienych toporów, a później ni stąd ni z owąd powiada, że mu się nagroda należy, że pannę Ordonównę kocha nad życie, że u jej stóp złoży wszystkie wykopaliska, jakie mu się udało odgrzebać, że wreszcie ma po matce, po ciotce, po babce ze sto ty-

sięcy reńskich gotówki w praskiej kasie oszczędności... Chciał mi zaraz na dowód książeczkę pokazywać, bo ją ma ponoś gdzieś tu w kuferku... Tej książeczki tom mu więcej zazdrościł, niż tego animuszu, choć i to do pozazdroszczenia w tak późnym wieku... Prawda, panie Antoni?!

— Dyabli nadali tych profesorów z ich amatorami — szepnął Korymowicz — jeszcze mi dziewczynę wystraszą, a drugiej takiej łagodnej, mądrej i dobrej nie znajdę... Nic nie powiedzieć, niesumienna rzecz.

— Chodźmy z tym interesem do pańskiej żony; kobiety to zaraz sobie z takim sukcesem dadzą radę.

Weszli w głąb domu, a po drodze pan Uniski miał czas spytać:

— Cóż pan Alfred, czy spi jeszcze?... Teraz młodzi ludzie strasznie się rozdelikacają.

— Eh! gdzie tam, to ze stali człowiek... Dodnia zbudził mego Samuela, wsadził go na jakiegoś dyabła angielskiego i tak go przetrząsł, że Samuś chodzi jak pijany, a mój biedny »Wajdelota«, na którym za nim galopował Alfredów szwab, tylko głowę zwiesił i jeszcze sapie... Później Alfred się wykapał i siedzi teraz nad jakąś angielską książką.

Pani Klementyna zajęta była w małym saloniku jakąś robótką i ze zdziwieniem spojrzała na wchodzącego gościa o tak wczesnej porze; patrząc nań, pomyślała to samo, co pan Alfred. Lecz zdziwienie jej, a nawet oburzenie, przeszło zwykłą miarę, gdy dowiedziała się o misyi, z jaką przyjeżdżał.

— Zupełna fiksacya! — zawołała porywczo — przecież to całkiem stary człowiek, a Wanda młoda dziewczyna i piękna jak róża.

— Prosił mnie, więc powiedzieć muszę, choć mnie samemu dziwną się wydaje ta propozycja — odpowiedział potulnie pan Uniski.

— To muszę jej zwiastować tę pocieszłą nowinę — rzekła pani, odchodząc w stronę domu, zajęłą przez dzieci i ich nauczycielkę.

W pokoju panny Wandy odegrała się podobna scena, jak ta, która odbyła się po oświadczeniach profesora Grabca, z tą tylko różnicą, że nie było przy niej starej Mirkiewiczowej, a panna Wanda była teraz daleko więcej zdenerwowana, niż przedtem. Przez łzy tłumione, zdławionym głosem odpowiedziała piękna dziewczyna znowu, że nie czuje się wcale na siłach uszczęśliwić pana Schustra i prosi, by zapomniał o tej dziwacznej propozycji.

Po chwili spokojniejszym już głosem dodała:

— Przepraszam panią najmocniej za te historye, które się z mego powodu tu dzieją, ale ja temu nie winna i żadnemu z tych panów nie dałam najmniejszego powodu do takiego postępowania.

— Ależ kochana panno Wando, niechże się pani uspokoi! Mnie tylko śmieszy ten zapał młodzieńczy u takich starych ludzi.

— Jeszcze mam jedną prośbę do pani.

— Jaką?

Panna Wanda zawahała się chwilę, ale widząc przyjaźnie usposobioną panią Korymowiczową, rzekła:

— Chociaż wedle naszej umowy powinnam cały rok czuwać nad dziećmi, to jednak poproszę o zwolnienie mnie od obowiązków na pewien czas... Chcę na kilka tygodni pojechać do klasztoru i tam się uspokoić i przyjść do równowagi... Pragnęłabym to zrobić teraz... Za tydzień kończą się lekcye tańca, więc byłaby najstosowniejsza pora.

— Nic nie mam przeciw temu — odpowiedziała pani — mamy zresztą czas o tem pomówić jeszcze później. Teraz muszę spieszyć i zanieść smutną odpowiedź panu Uniskiemu.

Po wyjściu pani domu młoda dziewczyna wybuchła spazmatycznym płaczem.

W czasie nieobecności pani zebrali się w saloniku i obaj młodzi panowie. Alfred, wyświeżony i wyelegantowany »na ostatni guzik«, zanosił się serdecznym śmiechem, słuchając jak w komiczny sposób opowiadał pan Uniski o oświadczeniach uczzonego szperacza.

Samuel siedział zadumany i ze złości szarpał swe ładne, czarne wąsiki. Najgorzej go to gniewało, że Alfred ciągle nań spoglądał znacząco i lekko się przytem uśmiechał.

Gdy pani Klementyna ukazała się w drzwiach saloniku, Uniski zerwał się i podbiegając do niej z udanym zainteresowaniem zapytał:

— Jakaż rezolucya, łaskawa pani?

— Ależ naturalnie nie chce słyszeć i sędzę, że i pana to nie dziwi zupełnie.

Na to Uniski, przybierając melodramatycznie zrezygnowaną minę, odpowiedział sentencyonalnie.

— *Chacun s'achemine au bonheur par la route qu'il choisit.* To mądre zdanie napisał mój najwierniejszy przyjaciel, stary Dumas.

Pani Klementyna uśmiechnęła się jakoś smutno i odrzekła:

— Tak, ale jako odpowiedź zacytuję panu słowa tegoż samego autora:

— *Le coeur a ses raisons, que la raison ne connaît pas.*

— I to racya! — zakonkludował pan Uniski — ale co ja z Niemcem zrobię?

— Cóż! musi się ze swym losem pogodzić — rzekł na to stary Korymowicz.

— Naturalnie! Ale nie oto chodzi, kochany sąsiedzie, żal mi smacznego obiadku u państwa, a muszę zaraz z tą smutną wieścią wracać do Schustera.

— Oh! co to, to stanowczo protestuję, bez obiadu pana nie puścimy — zawołali gospodarz i gospodyni równocześnie.

A pan Alfred dodał:

— Nie potrzebuje się pan z tą wiadomością tak bardzo spieszyć... Im później się dowie, tem dla niego lepiej będzie.

— Kiedy, bo widzicie państwo — mówił Uniski — obligował mnie na wszystko, żebym mu zaraz dał znać a jak zła wiadomość, żebym zabrał jego rzeczy i razem ze szkatułkami i tą drogocenną książeczką do lasu przyjeżdżał... W razie stanowczej odmowy nie chce się już tu pokazywać.

— A to dziwadło wieczne! — zawołał pan Antoni — więc się nawet z nami nie pożegna.

— Ma zamiar napisać z Przybyłowa.

— Kto by tam jego gryzmoły jeszcze decyfrował.

— Jest i na to sposób — wtrącił śmiejąc się pan Alfred — posłać mu obiad i przez posłańca pan napisze, że niepodobna było dotychczas znaleźć chwili czasu na stanowczą rozmowę.

— Doprawdy, że tam u was na Podolu mądry dyplomaci wyrastają — rzekł pan Uniski — doskonały koncept! Wierzcie mi państwo, że nie miałem najmniejszej ochoty z próżnym żołądkiem tłuc się znowu po lesie i tam razem z Niemcem, »gorzkie żale« śpiewać.

Wojciech w tej chwili zaanonsował, że przekąski i wódkę podano. Pan Uniski poprowadził panią Klementynę do sali jadalnej. Pan Antoni strapiiony poszedł tuż za nimi. A z tyłu idący Alfred miał czas szepnąć do ucha Samuelowi:

— Ciesz się chłopcze, już drugi rywal puszczoney z kwitkiem.

Na to Samuel nic nie odpowiedział, tylko jeszcze bardziej się zadumał.

Do obiadu panna Wanda nie przyszła, tylko kazała małej Oli przeprosić rodziców i powiedzieć, że ją głowa bardzo boli i zupełnie niema apetytu.

Po obiedzie pan Uniski poszedł z młodymi panami do oficyny i z największą starannością pozbierali wszystkie przedmioty, należące do doktora. Wiktor Piechota składał je na obszerny wóz i usiadłszy na wierzchu, z tryumfalną miną ruszył za bramę.

Pani Mirkiewiczowa, która z okna spiżarni widziała ten wyjazd, zrobiła w powietrzu lewą ręką jakiś kabalistyczny znak i szeptała cicho:

— Krzyżyk na drogę! Krzyżyk na drogę... *Pec ta cur* na nich. Na lasy, na rzeki, na puste miejsca!... Żeby się ta zaraza do nas nie wracała.

W kilka minut później i pan Uniski pożegnał się i spieszył do lasu, choć wolałby jeszcze gawędzić. Panowie wyprowadzili go na ganek.

Gdy już miał wsiadać na wózek, rzekł, zwracając się do Alfreda i Samuela:

— A może panowie przyjadą jutro do nas na herbatkę... Ciekawa rzecz zobaczyć, jak wygląda Niemiec objuczony koszem... Ha! ha! ha! Niby wielbłąd biblijny.

Gdy wózek pana Uniskiego zniknął za bramą, pan Antoni zawołał:

— Słowo daję, sprytny szlachcic... Ten jego Florek będzie doskonałym dyplomatą, jeżeli wdał się w ojca.

— Jak to stryj rozumie? — spytał z pewnym niepokojem Alfred.

— No całkiem jasna sprawa. Był, zrobił swoje, ciebie zaprosił, a farby nie pokazał.

— Prawda! — rzekł młody człowiek, zamyślając się głęboko.

— Widzisz! Gdym go zobaczył, pomyślałem: fu-szer Uniski!.. Widać bardzo go przypiektło, ale teraz wracam honor, przyznaję, że zawsze to wielki gracz.

— Ale pojechać potrzeba?

— Naturalnie! Możecie obaj jutro po obiedzie tam się wybrać.

— Niech Alfred sam jedzie — przerwał porywczo Samuel — ja nie mam najmniejszej ochoty co drugi dzień narzucać się państwu Uniskim.

— Pojedziesz pocieszać archeologa! — rzekł, śmiejąc się Alfred. — Już ja cię uproszę... Musisz to dla mnie zrobić... Zauważyłem, że jesteś w przyjaźni z panną Jadwigą, a w łaskach u pani.

Samuel tylko machnął niechętnie ręką i poszedł do oficyny.

— Co mu się stało? — zapytał zdziwiony ojciec.

— Widać ta ranna jazda na moim »Rolandzie« tak go zdenerwowała — odpowiedział Alfred. — Nie przyzwyczajony do tego... Cały dzień jest w złym humorze.



XI.

W godzinę może po wyjeździe Uniskiego przybył ksiądz Kałuski z żoną, córką i przyszłym zięciem prosić o błogosławieństwo dla młodej pary.

Naprzód zajęła resorowa bryczka, zaprzężona w parę gniadych, ciężkich, opasionych klaczy. Na niej siedziała, dość dobrze wyglądająca księżzowa i przystojna, rumiana Fruzia, przysłała panna młoda. Proboszcz i narzeczony mieścili się na drugim wózku, który ciągnęły z wysiłkiem dwie chłopskie szkapki.

Wojciech z rozporządzenia pani wprowadził gości do salonu.

Podano wino, konfitury, ciastka i sorbety.

Przybyłe panie i młody kandydat do sakramentu małżeństwa, mogli uchodzić za niemych, bo nic prawie nie mówili, a wyřęczał ich w tem trudnem zadaniu ksiądz proboszcz.

Pan Alfred z ciekawością przypatrywał się tym ludziom i całemu przyjęciu.

— Proszę stryjenki — spytał szeptem — pocóż to wszystko podawać... Przecież po obiedzie ani wina pić nie będą, ani nie skonsumują tych słodczy.

— Taki już u nas miejscowy zwyczaj.

Ksiądz proboszcz nie tracąc czasu daremnie, doprowadził młodą parę do pana Antoniego i rzewnie przemówił:

— Wielmożny panie kolatorze dobrodzieju! Moje dzieci przysły prosić pana kolatora o błogostawieństwo.

— Tak jak ja od samego pana, jak mój ojciec od waszego ś. p. rodzica doznawaliśmy łaski i opieki, tak racz wielmożny panie zachować w swej pamięci i łasce moją córkę, a jak mnie już tu nie stanie, to proszę o nich nie zapominać. Mam nadzieję i ufam łaskawości waszej, że mój zięć zajmie kiedyś moje tu miejsce. Syna nie mam, więc niech on podtrzymuje te stare tradycje wiernej służby i życzliwości dla waszej szlacheckiej rodziny.

Przerwał, bo łzy miał w oczach.

Pan Antoni także się rozczulił i coś niewyraźnie szeptał:

— Daj Wam Boże, księżę proboszczu najdłuższego życia... Bóg to wie, kto z brzegu!

Tymczasem narzeczeni ruskim obyczajem uklękli przed dziedzicem i obejmowali go za kolana. On podniósł pannę młodą, a gdy go w rękę całowała, pogłaskał ją po twarzy i na czoło złożył ojcowski pocałunek.

Ten sam ceremoniał odbył się i przed panią Klementyną... Poczem pani zapraszała gości na wino i konfitury, a sama znikła w dalszych pokojach. Po chwili wróciła, niosąc w ręku szafirowe pudełeczko, a gdy je otworzyła, to na widok tego, co się w niem mieściło, zaświeciły oczy Fruzi radością... Były to grube, złote kolczyki i brosza z dość dużymi turkusami.

Wręczając ten dar księżdzównie rzekła:

— Niechaj Fruzia przyjmie ten drobiazg odemnie na pamiątkę, z życzeniami jak najlepszego powodzenia w życiu i szczęścia w małżeństwie.

— Nie godzi się, pani kolatorco — szepnął ksiądz zawstydzony — dalibóg, nie godzi się dawać popadiance takich klejnotów! Co jej po tem? Jak ubierze się w to na prąznik, to w ścisku jeszcze zgubi.

— Niech już ksiądz nie dziwaczy! — przerwał mu pan Antoni, klepiąc go w przyjacielski sposób po ramieniu.

— Ale bo doprawdy to zbytki!..

— Powiadam, nie wydziwiajcie proboszczu.

Dyskusya była zamknięta.

Goście chcąc być eleganckimi nabierali po drobince konfitur na koniec łyżeczki i maczali zaledwie wargi w kieliszkach, napełnionych starem węgierskiem winem. Tylko proboszcz sam i pił i jadł jak zazwyczaj. Korzystając ze sposobności, wychylił kielich »za zdrowie wielmożnych państwa kolatorstwa«, później znowu uczcił takim samym toastem, »jaśnie wielmożnego pana Alfreda, dobrodzieja«. Wreszcie zagadnął:

— Dziś ku chwale Bożej mamy czwartek, a w niedzielę, jak Bóg da doczekać, ślub moich dzieci... Poniawiamy więc prośbę do wielmożnych państwa kolatorstwa, żeby raczyli naszą chatę zaszczycić swą łaskawą obecnością.

— Naturalnie! Naturalnie! — odpowiadał za wszystkich pan domu.

Ksiądz się zwrócił do pana Alfreda i znowu prosił:

— Mam nadzieję, że i pan Alfred dobrodziej nie pogardzi naszą gościnnością... Ś. p. pan Kajetan, ojciec jaśnie wielmożnego pana, raczył być na mojem weselu. Już się i tu tak złożyło, że pan dobrodziej teraz do Kłomierza szczęśliwie przybył, to proszę, bardzo proszę.

Alfred, ku zdumieniu wszystkich, odpowiedział, że z największą chęcią przyjdzie wraz ze stryjostwem.

— Prócz państwa kolatorstwa, będzie jeszcze kilka osób z obywatelstwa — wtrąciła ośmielona kilku haustami wina, księżzowa.

— A kto będzie! — pytała pani.

— Niema o czem mówić — przerwał niecierpliwie Proboszcz.

— Dlaczego niema? Będzie obywatelska młodzież, będzie młody pan Hojtyński, Szafirowicz i pan Horbowicz.

— To sobie pani kwiat hultajów sprosiła — rzekł śmiejąc się pan Korymowicz.

Księżdowa z osłupieniem spojrzała na kolatora, nie mogła wprost zrozumieć z jakiego powodu on gości, których uważała za największą ozdobę przyszłego zebrania, mianuje wprost »hultajami«. Pod wrażeniem tego niepomiernego zdziwienia szepnęła bezmyślnie:

— Dlaczego pan kolator ich tak nazywa?

— Bo to skończeni hultaje, zawalidrogi i nicponie.

— A ja ci to już, żono, nie mówiłem? — wtrącił proboszcz.

— Ale zawsze obywatelska młodzież — broniła się zmieszana księżdowa.

Na to pan Antoni schmurzył swą wesołą twarz, i porywczo zawołał:

— Wolę parobka od wołów niż taką obywatelską młodzież... Horbowicz stary libertyn, hultaj, mahomekańskie życie w swojej Stawnie pędzi i wieś całą demoralizuje.

— Święte słowa pana kolatora — wtrącił proboszcz — ja zawsze to samo mówię.

Lecz pan Antoni w zapale uwagi nawet nie zwracał, że przerwano, tylko mówił dalej z rosnącym oburzeniem...

— Ten Horbowicz to istna zaraza... Psuje młodych chłopaków i na najgorszą ich drogę sprowadza... Choćby tego Hojtyńskiego... Tylko ojca zrozumieć nie mogę, trzyma tego dyląga, wysokiego pod sufit, w domu, pozwala mu od rana do nocy próżnować albo po wizytach jeździć, po balikach się włóczyć; skutek jest, uczciwego ojca syn, gra już w karty, hultaj się po knajpach i pozycza od żydów na lichwę pieniądze.

— A Szafirowicz? Co temu pan kolator ma do zarzucenia? — broniła się przestraszona jejność.

— Szafirowicz najgorszy... To szczwany lis; on z takimi durniami — z przeproszeniem — za panie bracie, ogrywa ich w karty, okpiwa na koniach, Horbowiczowi się przypodchlebia, i smarkaczom, na zastaw pieniędzy pożyczają... To jest poprostu wyrzutek społeczeństwa i wieczny wstyd, że takie indywidua do obywatelstwa i do ormiańskiej nacyi się zaliczają — za dawnych czasów takich pomiędzy Ormianami nie bywało.

Żona księdza proboszcza słuchała w milczeniu słów rozniewanego kolatora, wreszcie gdy skończył, rzekła z pokorą:

— A ja myślałam, że to dla nas honor będzie.

Słyszając to proboszcz roześmiał się wesoło i rzekł:

— Indyk myślał i zdechł! Teraz, gdy ci pan kolator rzecz wytłumaczył, to już inaczej śpiewasz, a jak mąż prosił i mówił, że to hultajstwo, to jak mu oponowałaś?... Co?

— Stało się — odparła smutnym tonem — na drugi raz nie będę się woli męża sprzeciwiać... Ale teraz już przepadło, odpraszać ich nie można.

— A niech tam sobie będą, żeby tylko Szafirowicz nie obszachrował wam księży w karty, bo on ponoś i to umie — zakonkludował pan Antoni.

Proboszcz, chcąc zmienić przedmiot rozmowy tak bardzo irytujący kolatora, zapytał:

— A gdzie są nasze kochane małe panienki? Chciałbym żeby i one także pobłogostawiły moją Fruzię i obiecały być na weselu.

— Muszą się znajdować u panny Wandy na lekcji — odrzekła pani Klementyna i wstała, ażeby zawołać do salonu dziewczątka.

Nie było jej kilka chwil, aż nagle doleciał uszu zebranych krzyk rozpacz i przerażenia. Wnet potem

pani Klementyna blada z przestachu wpadła do salonu, wołając:

— Taniu! Alfredzie! Samuelu! Ratujcie!

— Co się stało? — zapytali wszyscy razem.

— Ratujcie! Dzieci na stawie!

Panu Antoniemu cybuch z rąk wypadł. Proboszcz wypuścił kryształową miseczkę z konfiturami, rozbijając ją w ten sposób na drobne kawałki. Wszyscy potracili głowy. Jeden tylko Alfred z zimną krwią zwrócił się do pani Klementyny, pytając:

— Cóż dzieci tam robią? W jaki sposób się tam dostały?

— Panna Wanda chora, została w swoim pokoju — mówiła drżącym głosem pani Klementyna — one poleciały do parku, Ola z Zulą odczepiły czółno i we dwie popłynęły. Teraz są koło grobli, czółnem kierować nie umieją, pewno się potopią. Tereska, która z niemi była, przyleciała z tą wieścią. Ratujcie! Ratujcie!

Alfred wiedział już wszystko. Nie tracąc chwili czasu, popędził w stronę grobli. Zdaleka już dostrzegł dwie małe kuzynki, siedzące na nieruchomej łodzi. Pędził naprzód co tchu mu starczyło, za nim, o jakie sto kroków, biegło całe przestraszone towarzystwo... Księżdzowa sapała jak miech kowalski... Gdzieś wyrosli z pod ziemi i Donné i Łuczyk; Wojciech, nawet pani Mirkiewiczowa, w towarzystwie »pana« Ignacego, starali się zdążyć za szybkonogim sportowcem.

Gdy Alfred, wyprzedzając znacznie całe towarzystwo, minął budynki, należące do gorzelnii, i znalazł się na grobli, przedstawił mu się zabawny widok: łódka z dwiema małymi psotnicami ugrzęzła na mieliznie o jakie trzydzieści kroków od brzegu, przestraszone dziewczynki w obryzanych różowych sukienkach siedziały zrezygnowane i z cicha popłakiwały, na grobli stała gromadka bab i dzieci, radząc co robić.

Gdy mała Ola zobaczyła Alfreda wpadającego na grobę, szepnęła do Zuli:

— Żle będzie z nami! Fred leci, pewno już i mamie dali znać.

Zula odpowiedziała z rezygnacją:

— Pewno, że mama już wie, mówiłam, że z tego będzie nieszczęście.

— Teraz mówisz: »mówiłam, że będzie nieszczęście«, a czemuś pierwiej chciała koniecznie próbować jak Robinson pływał naokoło wyspy — odpowiedziała Ola gniewnym głosem, i ujrawszy, że Alfred zbliżył się tak, że mógł jej głos słyszeć, zwróciła się doń z prośbą:

— Kuzynku Fredzie, proszę kazać nas przyciągnąć do grobli, bo czółna popchnąć nie możemy... Czy mama już wie o tem?

— Siedzicie piskłeta cicho! — zawołał, śmiejąc się Alfred — bądźcie spokojne, zaraz was wyratuję.

Powiedzieć było łatwo, ale wykonać o wiele trudniej; w ubraniu skakać do wody nie chciał, rozbierać się na grobli wśród zbiegowiska bab, i spodziewając się że lada chwila całe dworskie towarzystwo nadciągnie, nie miał żadnej ochoty.

Gdy rozmyślał nad wybrnięciem z tego położenia, wpadł prawie galopem na grobę wóz, a na nim nicpoń Wiktor Piechota, uraczony za pieniądze otrzymane od doktora Schustera, któremu odwoził kufarki do Przybyłowa... Spostrzegłszy grupę bab i pana z Górnostawu, a małe panienki na łódce, odrazu się zorientował, zatrzymał konie i zeskakując z wozu, zawołał do pana Alfreda:

— Niech się jaśnie pan nie turbuje, ja to zaraz spraktykuję.

I nie namyślając się długo, zrzucił buty, wierzchnie odzienie i tylko w bieliznie buchnął do wody. Nim jednak wskoczył, miał czas powiedzieć do Alfreda:

— To nie przez te baby, proszę jaśnie pana, ja w koszuli idę do wody; przy nich można jak do chrztu świętego, ale przez to, że panienek się wstydę.

Widocznie nie pierwszy raz miał Wiktor »nicpoń« — jak go Mirkiewiczowa tytułowała — do czynienia z wodą, bo sprawiał się zwinnie i zanim całe towarzystwo doszło do grobli, małe »robinzonki«, przyciągnięte z łódką do brzegu, wyskoczyły na groblę i z zapalem jedna przed drugą opowiadały Alfredowi o przyczynach owej niebezpiecznej wyprawy.

— Bo widzi Fred — mówiła Ola — każdy odkrywa coś ciekawego. Profesor Grabiec odkrył bronzowych ludzi, doktor Schuster odkrył kamiennych, więc i my chcieliśmy coś nowego odkryć.

— Cóżbyście mogli odkryć nowego?

— Może jaką nową część świata.

— A ja nie chciałam nic odkrywać — szepnęła Zula — tylko chciałam spróbować, jak Robinson opływał swoją wyspę. Ja wolę być Robinsonem, niż Pizarem lub Kortezem.

— A co mama powie? — szepnęła Ola.

— Będzie źle! — odpowiedział Alfred i ze śmiechem zaczął się przypatrywać zaambarasowanym minom dwóch niefortunnych podróżniczek.

— Niech nas Fred broni — błagała Zula.

A Ola ucieszona dobrym pomysłem swej siostrzyczki, dodała:

— Fred nas najlepiej obroni, bo mama kuzynka Freda najlepiej szanuje. †

Nie mogły jednak dłużej prosić o pośrednictwo, bo w tej chwili z poza białej ściany gorzelni ukazało się całe towarzystwo. Przodem spieszyli rodzice, a przestraszony Samuel, który dowiedziawszy się najpóźniej, pędził z oficyny co mu sił starczyło, dopiero na grobli zrównał się z rodzicami.

Widok dziewczynek, rozmawiających z Alfredem spokojnie, uspokoił trochę nerwy pani Klementyny i posępny wyraz twarzy pana Antoniego rozjaśnił.

— Niegodziwe psotnice! — wołała matka.

A pan Antoni obejmując przestraszone córeczki najczulszym wzrokiem wtórował żonie:

— Zobaczycie, że różeczka będzie w robocie!

— Czy się godziło tak nas przestraszyć?

— Oh! będzie *ficum basum!* — wołał pan Antoni, przerywając żonie, i groził palcem małym delikwentkom, starając się ukryć przed żoną uśmiech radości, który igrał mu wkoło ust na widok zdrowych i całych dziewczynek.

One wiedząc, gdzie znajdą obronę poskoczyły do ojca i chwytając go za ręce, wołały równocześnie:

— Już, tatuńciu, tego nie zrobimy więcej.

— To już ostatni raz.

— Dobrze Nela zrobiła, że nie chciała płynąć.

Pan Antoni podnosił je w górę, całował i przyciskał do piersi.

— Co Tonio najlepszego robi! — wybuchnęła rozgniewana matka. — Takich niegrzecznych dziewczynek nie warto całować, muszą zasłużoną karę otrzymać... Niepodobna ich w domu dłużej trzymać, bo się kiedyś potopią... O już teraz pójdą do klasztoru na pewno.

A następnie zwracając się do dzieci, spytała surowym głosem:

— Skąd znowu wam taka myśl niegodziwa przyszła?... Przecież słyszałyście, że do stawu nawet zbliżyć się nie wolno.

Na dźwięk surowego głosu matki obie delikwentki, popłakując z cicha, zaczęły opowiadać znowu o ważnych przyczynach występku, więc powtórzyły poważną historię o pragnieniu zrobienia odkryć geograficznych, o Pizarze, o Kortezie i o Robinsonie.

Matka, słuchając tych słów, nie rozjaśniła oblicza, jednak odrzekła poważnie :

— Złe nauki wyciągacie z przeczytanych ksiązek... Pierwszy obowiązek dobrych dzieci słuchać starszych... Muszę zaraz posłać na łacińskie probostwo i prosić, by przyszedł ksiądz wikary pouczyć was o obowiązkach dzieci i pokutę wam naznaczył.

Podczas gdy pani Klementyna strofowała panienki, stary Wojciech miał bardzo stanowczą rozmowę z Wiktorem, który wyglądał na potępieńca, bo twarz i włosy miał 'oblepione zielonymi wodorostami, a z bielizny ciekła woda strumieniami; mimo to, spoglądał na otaczających dumnie i zuchowato.

— Czego ty się darmo cieszysz? — wołał z ironią stary lokaj.

— Bo order dostanę.

— Ty order?! Patrzcie go. Dał mu szwab pewno parę groszy, to się zalał, że o świecie zapomniał... Spoglądaj do wody, to się zobaczysz, jak w lustrze. Także mu do orderu! Z nogawic ciecie woda, a z pyska bucha wódka.

Oburzony tym tonem, a przekonany o swem bohaterstwie, Wiktor zawołał zuchwale :

— Niech no se Wojciech nie rozbiera, bo ja tego nie ścierpię.

— Co ty hultaju pleciesz?

— Niema hultaja... Dekorowanym nie wolno gadać hultaju!.. Pan żandarm mówił, że kto nawet chłopca z wody wyciągnie, to mu się order należy, a ja wyrzuciłem dwie panienki.

Wojciech zacisnął zęby i szeptał półgłosem :

— Rozpuszczaj pysk, rozpuszczaj! Ja z tobą w kre-densie pogadam.

— Niema dawnego już gadania — burczał roz-zuchwalony chłopak — jak mnie bić będziecie, to zaraz

idę do Przybyłowa... Owa! Dostanę galon i hrabską »korunę« na kaszkiet.

Tego już nie był wstanie Wojciech wytrzymać, więc wybuchnął głośno:

— I kaszę jęczmienną z karaluchami... Marsz! marsz! Zabieraj się, bo nie wart jesteś lepszej stawy w pysk brać.

Na szczęście pani Klementyna, zajęta strofowaniem dzieci, nie słyszała całej tej utarczki na słowa.

Stary Wojciech zaciskał tylko pięści, narzekał na »obrzydliwe czasy«, na »nowomodną rozpustę« i szeptał półgłosem:

— Ależ mu skórę zerznę. Popamięta ruski miesiąc.



XII.

Proboszcz z rodziną pojechał prosto z grobli do domu, a pani Klementyna, zabrawszy małe winowajczynie pod swoją opiekę i ściągnawszy jeszcze Nelę i Derkałowiczówny z parku, rozpoczęła na seryo moralizować dzieci, w czem jej dzielnie dopomagał sprawadzony ksiądz wikary.

Po godzinnej reprimendzie stanęło na tem, że Ola i Zula przez dziewięć dni co wieczora, klęcząc przed domowym ołtarzykiem, miały odmawiać głośno litanie do anioła stróża, że je ochronił od pewnej śmierci.

Wiktor, za swój czyn »bohaterski« i za ochronienie pana Alfreda od doszczętnego zamoczenia się, dostał od tegoż dwa guldeny srebrne. Jaki jednak był końcowy obrachunek »bohatera« z jego bezpośrednim zwierzchnikiem, tego na pewno nikt nie wiedział; najsmutniejsze już przypuszczenia robiono w kuchni i piekarni, (wnioskując z kwaśnej miny dzielnego Wiktora). A Hanka »od kur« słyszała, jak Wiktor skarżył się powiernikowi swych boleści, panu Łuczykowi, na Wojciecha, »że nic nie pyta, tylko wali, gdzie dopadnie«.

Wypadek z dziewczátkami najdotkliwiej odczuła biedna panna Wanda. Z przerażenia naprawdę dostała silnego bólu głowy i lekkiej gorączki i nie wychodziła do samego wieczora ze swego pokoju. Gdy zapalono światła, przypuszczając, że wkrótce się zgromadzi całe

towarzystwo przy herbacie i z nikim się nie spotka, wysła do parku, aby odetchnąć świeżem powietrzem.

Noc była przepyszna — cicha, spokojna, pełna dziwnego uroku. Żaden listek nie drgnął na olbrzymich drzewach. Białe mgły, idące od stawu, unosiły się ponad drzewami i ginęły w przestworach szafirowej kopuły nieba. Z poza tych białych, jak puch lekkich obłoczków przzeriały na zachodzie migocące gwiazdy; na wschodzie zaś z różowego ciepłego łoża wstawał zaczerwieniony księżyc, niby nasycony jeszcze promieniami jarkiego słońca.

Ciszę tę przerywały tylko odgłosy zabich koncertów i jakieś ptasie rozhowory, dochodzące z lasu, trzcin i szuwarów.

Młoda nauczycielka, rozgoryczona brakiem delikatności podstarzałego archeologa, zropaczona wprost eskapadą dwóch uczenniczek, która mogła skończyć się wprost tragicznie, a spowodowaną była zaniedbaniem jej obowiązków, przechadzała się po cienistej grabowej alei tak pogrążona w smutnych rozmyśleniach, że nie zwracała nawet uwagi na te cuda przyrody, jakie ją ze wszzech stron otaczały.

Marzyła.

I lecz marzenia te dzisiejsze były smutne, żałobne. Najbardziej gorzkie wspomnienia zmartwychpowstawały, odnawiały się na czułej płycie jej dziewiczej pamięci. Więc dzieciństwo przepędzone na tułaczce po domach dalekich krewnych, prawie obcych ludzi, a tak często niedelikatnych, prawie brutalnych; niby węgliki jarzące i boleśnie piekące odradzały się wspomnienia upokorzeń doznanych, przycinków ciernistych, którymi ją często karmiono w czasie jej dziecięcej tułaczki... Później inne, miłsze wspomnienia zagościły w jej zbolałym mózgu: przesunęły się w pamięci białe fantastyczne postaci, z łagodnym uśmiechem na ustach i z czułem, do-

brotliwym spojrzeniem w rozumnych oczach, postaci do aniołów podobne. A pośród nich najdoskonalsza, najświetlejsza, a cała jasnością niepospolitego rozumu i urokiem świętości owiana postać matki duchowej tych wszystkich białych istot, opiekunki serdecznej setek uczenic rozsianych po szerokiej, ubogiej i płaskiej krainie, mistrzyni umysłów, lekarki dusz i serc zwątpiałych w bólach i cierpieniach życia.

Uczuwała w tej chwili konieczną potrzebę otworzyć duszę przed tą świętą, przed tą nadziemską istotą. Zdawała sobie sprawę, że stoi na rozstajnych drogach życia i nie miała odwagi ruszyć z miejsca, nie wiedziała, którą ścieżynę wybrać. Czuła doskonale, że Samuel ją kocha, że padłby przed nią na kolana i ubóstwiał ją przez całe życie, choćby miał z tej przyczyny zerwać z rodzicami... z całym światem. Lecz ją białe siostry wychowały w zasadach wzniosłej szlachetności, uczucia jej były czyste i prawe, brzydziła się wszelkim podstępem i podłością, a za podłość uważała wkraść się do jakiejś rodziny wbrew jej woli i ludziom tym zacnym i tak dla niej dobrym odebrać syna.

Myśli i wrażenia przesuwają się w jej duszy z błyskawiczną szybkością. Krew jej biła do głowy i serce uderzało ze zdwojoną gwałtownością. Przesuwała się w swej jasnej, batystowej sukience na tle sędziwych milczących grabów jak jakieś niezemskie zjawisko, cicho, bez szelestu prawie.

Samuel, który od godziny już siedział zadumany, wpatrzony w spokojne zwierciadło wody, spostrzegł ją, gdy tylko się ukazała, patrzył na nią w zachwycie i najdrobniejszym ruchem nie zdradzał swej obecności, bojąc się spłoszyć ukochane dziewczę.

Nagle w tej bolesnej swej wędrówce zbliżyła się Wanda aż do ławki, na której siedział młody człowiek; on się podniósł i złożył przed nią pełen szacunku ukłon.

Dziewczyna przestraszona tem nagłym zjawieniem się pana Samuela zawołała:

— Ach, pan tu?

— Od godziny — rzekł zawstydzony Samuel. — Nie chciałem przerywać marzenia pani, chociaż panią widziałem od pierwszej chwili... Pani dziś cierpiąca?

— Chora nie jestem, ale bardzo zmartwiona.

— Cóż panią martwi.

— Ach, Boże! czyż nie mam się czem martwić... Omal nie stałam się przez me niedbalstwo przyczyną nieszczęścia... Co pani Korymowiczowa musi o mnie myśleć...

— Eh! nic małym swawolnicom nie groziło.

— Niech mnie pan nie pociesza... Czuję, że nie umiem jak należy spełniać swoich obowiązków. Widzę, że jestem na świecie do niczego... Muszę opuścić dom państwa.

Słuchał tych słów z przerażeniem, serce w piersi bić mu przestawało, a w oczach mrok zapanował, zdawało mu się, że traci przytomność. Chciał paść przed nią na kolana i błagać, by na zawsze tu została, by nie oddawała go na pastwę zwątpienia i rozpaczy.

Nie potrafił jednak znaleźć słów na ubranie w nieswych myśli i pragnień, zdobył się zaledwie na płaskie i niezgrabne pytanie?

— A dokąd pani zamyśla odjechać.

— Do klasztoru!

— Cóż tam pani będzie robiła? — pytał bezmyślnie Samuel.

— Poproszę matczkę o rekolecye... A po nich może wymodłę dla siebie łaskę powołania, — odpowiedziała Wanda cichym głosem.

Na to on wstrząsł się cały, mimowolnie zacisnął pięści i zawołał donośnym głosem:

— Nigdy! nigdy!

Lecz na więcej słów nie mógł się zdobyć, a ona uśmiechnęła się smutnie i rzekła:

— Niech pan wraca do dworu, herbata na stole i pewno dziwi wszystkich nieobecność pana.

Mówiąc to odwróciła się odeń i jak cień znikła w mrocznej głębi grabowej alei.

Samuel zły na siebie i na świat cały, zerwał się i, brnąc przez zarośla, nie szukając ścieżki, skierował swe kroki do ganku. W pochodzie tym pospiesznym i gwałtownym spłoszył jakąś istotę ludzką, kryjącą się nieopodal za krzakiem. O ile w półcieniu wieczornym mógł rozpoznać, zdawało mu się, że to był pan Łuczyk, ale pewnym tego nie był. Utrwaliła go w tem przypuszczeniu okoliczność, że Łuczyka przy herbacie nie zastał.

Wypadek ten dał mu dużo do myślenia.

W jadalnej sali panowało zamieszanie i jakiś ogólny rozstrój. Bardzo mało osób zgromadziło się dziś przy stole. Pani Klementyna wezwana przez Mirkiewiczową, poszła do oficyny oglądać strucle i torty, które wypiekała troskliwa o honor dworu stara rządczyni na wesele u proboszcza. I kucharz, przygotowujący na tę samą uroczystość pasztety i ryby na zimno zajął jej swemi pytaniami dużo czasu.

Ola i Zula nie należały dziś do gromadki dziecięcej — tylko odmawiały po raz pierwszy naznaczoną pokutę w swoim pokoiku.

Pan Antoni naradzał się z Polkiewiczem, kiedy rozpoczynać siejbę... Samuel milczał jak zakłęty. Alfred pragnął rozruszać towarzystwo, więc zaczął zrazu bawić się naiwnością małych Derkałowiczówien, ale usłyszawszy w ciągu minuty z dziesięć razy »pan dobrodziej«, »pana dobrodzieja«, zaprzestał niefortunnych prób konwersacyi i zwrócił się do popijającego w milczeniu herbatę księdza wikarego. Ten go namawiał, by w każdej ze swoich wsi wystawił łaćnińską kaplicę i ufundował

parafię, a tem samem przyczynił się do podniesienia moralności ludu. Obiecał mu więc, że w najodleglejszej od Górnostawu nadgranicznej wiosce zbuduje kościółek i jemu nada prezentę...

Miał jednak do syta tej rozmowy, więc zwrócił się do pana Donné, który w tej chwili kończył już czwartą filiżankę herbaty, zaprawioną pół na pół rumem, i rozpoczął z nim wesoły francuski dyskurs.

Stary Francuz był uszczęśliwiony tą grzecznością »wielkiego« pana i z ożywieniem opowiadał mu o sławnym warszawskim balecie »Wesele w Ojcowie«, w którym brał udział wraz ze swą nieboszczką żoną, a odtańczonym przed cesarzem Mikołajem I w Petersburgu.

Zmieszał się tylko ogromnie, gdy mu z uśmiechem wyrachował pan Alfred, że to musiało być bardzo dawno, co najmniej jeszcze przed trzydziestu kilku laty.

— Pan nad swój wiek młodo wygląda — pocieszał go Alfred.

— *J'étais alors très jeune, monsieur* — odpowiedział zakłopotany Francuz.

Nazajutrz rano, pan Alfred już tylko w towarzystwie swego Lorenza odbył ranną przejażdżkę. Powróciwszy zsiadł z konia przed oficyną i wszedł wprost do pokoju zajmowanego przez Samuela.

Młody człowiek, po bezsennej, na marzeniach spędzonej nocy, spał teraz w najlepsze.

Alfred obudził go bez ceremonii, wołając:

— Południe dochodzi, a ty śpisz jeszcze.

Samuel podniósł się, przetarł oczy i patrząc na kuzyna, szepnął ze wstydem:

— Jakoś w nocy spać nie mogłem... Czytałem.

— Wiem coś o tej lekturze — odparł sportsmen — ale nie o tem chciałem mówić... Powiedz mi, o której godzinie obiad w Przybyłowie?

— O trzeciej.

— To się zbieraj... Zejdzie dużo czasu, nim ty się wyguzdrzesz.

— Ja nie pojadę.

— Dlaczego?

— Nie mam zupełnie ochoty.

— Dla mnie to zrobisz.

Zdaniem tem zabił Alfred klin w zaspaną głowę Samuela, nie wiedział jak z tego wybrnąć, więc zaczął się tłumaczyć:

— Widzisz, nie mam jakoś dziś usposobienia do wizyt... Jestem złamany, przybity.

Słyszając to Alfred, wpatrzył się badawczo w twarz młodego człowieka i poważnie zapytał:

— Czyś może co mówił z panną Wandą?

Ten nie odpowiedział wprost, tylko chwytając się za głowę, zawołał:

— Jestem głupiec i podlec.

— Cóż się stało?

— A nic strasznego. Nic, tylko powiedziała mi, że musi opuścić nasz dom, a ja milczałem jak dureń.

— Cóż ci więcej powiedziała?

— Że pojedzie do klasztoru, a jak uczuje powołanie, to może zostanie zakonnicą.

— A ty co na to?

— A ja, jak jaki bałwan, krzyknąłem »nigdy, nigdy« i poszedłem na herbatę.

— Toś mało powiedział, choć może być i dosyć, zależy od akcentu — odpowiedział, śmiejąc się Alfred.

— Tobie żarty w głowie, a ja obłądu dostaję — wybuchnął porywczo Samuel. — W dodatku całą naszą rozmowę musiał słyszeć Łuczyk, spłoszyłem go, gdym szedł na herbatę, siedział o piętnaście kroków od nas w krzaku.

— Jeżeliście więcej nic nie mówili, to mogło służyć tej konwersacyi i stu Łuczyków.

Samuel tymczasem usiadł na łóżku i począł dzwonić na Wiktora, żeby mu przyniósł ubranie. W ciągu tego mówił:

— Zrozumiesz, że po takich przejściach, nie chce mi się jechać do Przybyłowa.

— Właśnie najlepiej jechać.

— Dlaczegoż?

— Widzisz, najprzód się rozerwiesz...

— Kpię z rozrywek!

— A później może ci co mądrego poradzę.

Słowa te zastanowiły Samuela, słuchał ich z natężoną uwagą, a gdy Alfred skończył, zwrócił się doń błagalnym tonem:

— Proszę cię, nie męcz mnie, poradź mi tu zaraz.

— Niema głupich... Pojedziesz do Przybyłowa, to dam ci taką radę, że się zupełnie uspokoisz.

— Daj tu, a słowo honoru ci daję, że pojedę.

— Jeżeli tak, to dobrze... Każ tu podać herbatę i niech mój Ignacy przyniesie mi paczkę z egipskimi papierosami.

W parę minut Wojciech z Ignacym wnieśli obfite śniadanie, złożone z najrozmaitszych przysmaków na dwu tacach, za nimi dźwigał Wiktor ogromny rosyjski samowar. Nakryto stół wzorzystą kolorową serwetą; panowie zasiedli do jedzenia.

Gdy zostali sami, Alfred, zmuszając się do poważnego wyrazu twarzy, przemówił:

— Mój drogi, bawisz mnie po prostu swojemi nie-szczęściami, które sobie sam wynajdujesz... Cóż prostszego, jak ożenić się, ale do tego przedewszystkiem potrzeba się raz na to zdecydować.

— Wiesz... ojciec — bąknął Samuel.

— Co ojciec?!... — przerwał mu kuzyn. — Ręczę, że ojciec by ci w tem zupełnie nie przeszkadzał, tylko nic o tem nie wie, a ty chcesz, żeby się sam domyślił.

W ogóle ty od wszystkich żadasz jakiejś nadzwyczajnej intuicyi, chcesz, żeby się ojciec domyślił, że się chcesz zenić z nauczycielką, dalej chcesz, żeby panna się domyśliła, że ją kochasz. Tak to nie pójdzie.

— Cóż mam zrobić?

— Zostaw tę sprawę naturalnemu przebiegowi... Niech panna jedzie do klasztoru, a ty później dostań ataku rozpaczyny... Ojciec się dowie, zaczną się narady, później z ojcem pojedziecie za panną i nastąpią wyjaśnienia i pobierzecie się.

— A jak ona wstąpi do klasztoru?

Alfred zaczął się śmiać całym sercem i pomiędzy wybuchami śmiechu wołał:

— A niechże cię, cha, cha, cha! Cóż zrobisz jak się ten sufit zawali, lub ziemia zapadnie? Czysty waryat... Któż za tydzień do klasztoru wstępuje. Zresztą one tam nie takie łakome. Matka przełożona woli zawsze, żeby wychowanice klasztoru szły dobrze zamąż, niż mają do zakonu wstępować... Powiada, że na świecie rozumna kobieta potrafi więcej dobrego zdziałać, niż w klasztorze. Zresztą one podobno twierdzą, że do tego potrzeba specjalnego powołania.

Samuel słuchał z uwagą i widocznie dowodzenia stryjecznego brata trafiały mu do przekonania, bo uspokajał się powoli i tylko od czasu do czasu powtarzał:

— A jak ona naprawdę zostanie zakonnica?

Stanęło na tem, że o pierwszej mieli obaj młodzi panowie jechać na obiad do Przybyłowa. Alfred po śniadaniu poszedł się elegantować, a pani Klementyna rada była tej nowince, ba dla pozostałych w domu i kuchta mógł przyrządzić obiad, kucharz zaś miał wolne ręce do zajęcia się przygotowaniem zapasów na jutrzejszą ucztę weselną na plebanii.



XIII.

Dzień wesela panny Fruzi nadzwyczaj uroczyście się obchodził w Kołomierzu.

W cerkwi kilku księży, z dalekich stron na tę uroczystość przybyłych, odprawiało solenne nabożeństwo na intencję państwa młodych. Nawet proboszcz łaciński, który od czasu do czasu miewał sąsiedzkie spory ze swym unickim kolegą, celebrował sumę z większą okazałością na tę samą intencję.

We dworze od rana była debata pomiędzy państwem Korymowiczami i panną Wandą na temat, czy małe »żeglarki« mają uczestniczyć w weselu, czy nie. Pan Antoni nalegał, żeby winę przebaczyć i zrobić tę przyjemność dziewczątkom. Pani Klementyna dowodziła, że po pierwsze nie zasłużyły na żadne przyjemności, a powtóre, wesele na probostwie nie jest zupełnie stosownem miejscem zabawy dla małych dziewczątek.

— Czego się one tam nauczą? — powtarzała uparcie. — Na co napatrzą!

Panna Wanda była zdania pani domu.

Szałę losu na korzyść małych kuzynek przeważył Alfred, który wróciwszy dopiero po północy z Przybyłowa, zasnął dziś trochę i dopiero koło dziewiątej zjawił się na śniadanie w jadalnym pokoju.

Przysłuchawszy się jakiś czas tej ważnej debacie, wtrącił swoje zdanie:

— Nie sędzę, żeby stryjenka miała tu rację... Teraz takie czasy przychodzą, że źle jest zasklepić się wyłącznie w jednej warstwie społecznej i wśród niej mieć stosunki... dziś trzeba znać cały świat i wszystkie stany... To ułatwia później życie.

Miała słuszność Ola, twierdząc, że »mama szanuje Freda«, bo zdanie jego przekonało panią Klementynę i zdecydowało o bytności pańienek na weselu.

Sprawa została zdecydowaną, w zasadzie chodziło teraz o postanowienie, w jakie sukienki mają się małe ustroić. Narada trwała pewno całą godzinę, ostatecznie stanęło na tem, że włożą nowe krakowskie kostiumy.

Panna Wanda zajęta tak ważną kwestyą jak sukienki jej uczenic, na razie zapomniała o swoich osobistych zmartwieniach, a może tylko, widząc, jak pani Klementyna była tem wszystkim zajęta, nie chciała jej jeszcze bardziej zaprzętać głowy swoimi projektami.

O godzinie piątej po południu miał się odbyć ślub. Państwo ze dworu obiecali być w cerkwi, więc Wiktor Piechota był wydelegowany przez Wojciecha, ażeby pilnował na probostwie i gdy tylko zaczną przypinać bukiety, żeby dał znać do dworu. Termin jak zwykle opóźnił się, więc dopiero koło szóstej przybiegł zasapany goniec donosząc:

— Już czepiają bukiety. Zaraz pojedą do cerkwi.

Konie były przygotowane i wnet całe towarzystwo siadło do powozów.

Pani Klementyna wspaniale wyglądała w ciężkiej jedwabnej sukni, koloru wypolerowanej miedzi, przybranej cienkimi czarnymi koronkami. Starożytne brylanty rodzinne i wspaniałe perły dopełniały bogatej całości. Panna Wanda ustroiła się w blado-niebieską, lekką »lustrynową« sukienkę o srebrnym połysku, ściśniętą w pasie srebrną taśmą. Za radą pani Klementyny wpięła we włosy kilka świeżych pączków kre-

mowych róż. W skromnej tej, ale gustownej tualecie wyglądała czarująco. Małe panny Ola i Zula pyszniły się krakowskimi strojami. W rzeczy samej były śliczne w białych alpakowych spodniczkach, naszywanych amarantowemi i szafirowemi wstążeczkami, w batystowych białych koszulkach, obciśniętych szafirowymi gorsecikami, naszytymi w złote blaszki i paciorki. Ich cienkie szyjki zdobiły sznurki czerwonych koralów ze złotymi medalikami z Częstochowy.

— Patrz jak się to już puszy — rzekł, śmiejąc się Alfred do Samuela, i wskazał mu małe dziewczynki... Po chwili dodał:

— Poczekaj sześć, siedem lat, to za temi makolongwami będą tak ludzie waryowali jak ty nie przymierzając za...

Turwał i coś szepnął kuzynowi do ucha, od czego ten sponsował w jednej chwili i odrzekł gniewnie:

— Tobie zawsze żarty w głowie.

Ślub odbył się wedle starego ruskiego obyczaju ze wszystkimi ceremoniami, z wkładaniem »koron« na głowę nowożeńców, z krzykrotnem oprowadzaniem ich wokoło ołtarza...

Dziwną jest rzeczą, że każda »panna młoda« wzbudza w uczestnikach poważnego tego obrzędu wielkie zainteresowanie, i zawsze piękniej wygląda niż w dzień powszedni; ma jakiś wyraz uduchowania i szczególnej powagi. I panna Fruzia, chociaż nie należała nigdy do istot nadziemskich, jednak dziś daleko lepiej wyglądała niż podczas swej bytności we dworze, tak, że to aż zastanowiło panią Klementynę.

Cała ta uroczystość kościelna jednak najsilniejsze wrażenie wywarła na pannę Wandę i Samuela. Młoda dziewczyna czuwała silniejsze bicia serca i spuszczała co chwilę oczy, mając utkwiony w siebie płomienny wzrok pana Samuela.

Cerkiew była nabita. Pan Łuczyk odziany w zwi-
sający trochę i za obszerny frak, pożyczony od »pana«
Ignacego, robił wielki hałas w koło siebie i rozpychając
cisnących się, dźwigał dwa krzesła dla pani Korymo-
wiczowej i panny Wandy. Zanim jednak zdołał doci-
snąć się, ceremonia się skończyła i obecni przy ślubie
ławą zaczęli wychodzić z świątyni.

Proboszcz, pomijając innych gości zbliżył się do
grupy przybyłej ze dworu i dziękując serdecznie za obe-
ność przy uroczystym akcie, zapraszał na plebanię.

Gody były wspaniałe. Ciasnota ogromna. W czte-
rech izbach mieściło się ze sto osób. Prezydował pan
Horbowicz, tegi, czerwony szlachcic, z wybitnym or-
miańskim typem, po którego rubaszmem obejściu po-
znać zaraz można było, że w towarzystwie nie zwykł
był przebierać, a lubił takie, które go niczem nie krę-
powало. Przywitał się kordyjalnie z panem Antonim,
paniom się z daleka tylko skłonił, szepnąwszy wnet na
ucho stojącemu obok niego młodemu Hojtyńskiemu:

— Czart naniósł jasną panią. Trzymajże teraz czło-
wiecze język za zębami, bo jak co pochwyaci, to będzie
miała o czem gadać na pół roku.

Na to mu odpowiedział młody, ogromnie wysoki
chłopak, nachylając się do towarzysza:

— Ah! psia kość słoniowa. Jakaż ona ładna.

— Kto?

— No, Korymowiczowa; nie wiedziałem, że stary
Antoni ma taką piękną i młodą żonę.

— Toś dopiero odkrył Amerykę — szepnął Horbo-
wicz — przecież nawet jest chłopskie przysłowie: »nie-
wielka sztuka, że pańska żona ładna«. Ale idźno bratku,
siądź koło niej, a niech ci się wyrwie jakie »masne«
słówko, to tak na ciebie popatrzy, że cię ciarki przejdą
od stóp do czupryny. Choć tam kucharz artysta, ale ja
do nich nie jeżdżę, bo się »jasnej pani« boję.

— A ta druga, w błękitnej sukni, co to za jedna? kuzynka?

— Djabła tam, guwernantka, ale mospanie nos nosi ponad obywatelki. To Ordonówna, córka pułkownika nieboszczyka.

Nowy napływ gości weselnych oddzielił Hojtyńskiego od jego mentora. Młodzieniec dał się pociągnąć do »bawialni«, a Horbowicz nie pozwolił się odepchnąć od stolika, na którym znajdowała się »starka« kołomyjska i przedziwne pasztety, fakrykowane przez dworskiego kuchmistrza.

Pan Alfred, wyglądający jak wyścigowiec pomiędzy bronowłokami, przecisnął się wreszcie do pana Horbowicza i, kłaniając się uprzejmie, powiedział swoje nazwisko:

— Jestem Alfred Korymowicz!

Dźwięk tych słów, ogłuszył po prostu Horbowicza, opuścił i wylał niesiony do ust kieliszek starki i kłaniając się tak nisko, jak mógł, zawołał:

— Horbowicz, do usług... Ale czyż to może być... pan dobrodziej syn pana Kajetana... z Górnostawu.

— Naturalnie! — odparł z uśmiechem Alfred.

— Najmocniej przepraszam, żem się pierwszy nie zarekomendował, ale przyznam się, żem się nie spodziewał takiego pana na »popowskiem« weselu spotkać.

— Nic to nie szkodzi panie Horbowicz, nic nie szkodzi!

Pocieszał go Alfred i cisnąc się dalej, przedstawiał się wszystkim obecnym.

Gdy zniknął za drzwiami, Horbowicz przeżegnał się lewą ręką i, zwracając się do chudego, żółtkniatego człowieka, rozmawiającego z chirurgiem i poborcą podatkowym z najbliższego miasteczka, zawołał:

— Szafirowicz! Szafirowicz!... A chodźno zawalidrogo do mnie.

— Czegoż dziadu chcesz odemnie?

— Kiedy mówię chodź, to chodź!... Coś ci powiem, że aż swojemi łykowatemi nogami podskoczysz w górę, jak cap.

Chudy pan się zbliżył, a Horbowicz mu szepnął:

— Wiesz kto tu jest?

— Kto?

— No, zgadnij!

— Mów; djabeł tu zgadnie, nalazło pół Galicyi, aż duszno.

— No, wyobraź sobie, jest ten magnat Korymowicz z Podola.

— Który? z Górnostawu?

— Ten sam.

— Możeby go tak do »krótkiego« zaciągnąć.

Horbowicz się zadumał i po chwili odrzekł:

— Eh! trudno, tacy wielcy panowie to tylko po kasynach i po »dżokiej« klubach grają. Tam to ci przernie kilkadziesiąt tysięcy, ale do porządnego człowieka, dō obywatela to i szutki nie chce przegrać... A szkoda, bo z niego byłoby co pociągnąć.

— Skądże ty wiesz, że to Korymowicz?

— Jakże nie mam wiedzieć — odparł dumnie Horbowicz. — Niosę ci kielich starki do gęby, wyśmienita powiadam ci, a tu jakiś bez wásów, z faworytami wali do mnie... Myślę, co za konfidencya, fagas pewno jakiś... A on staje przedemną, wyciąga łapę i wprost rekomenduje się: »jestem Alfred Korymowicz«... Powiadam ci aż kieliszek z wielkiego zdumienia wypuściłem. Ale co prawda, to prawda, grzeczny człowiek... Nawet stary Antoni wyżej drze nosa, a już ten Samuel...

— No Samuel, to wiadoma rzecz, że wyżej śpiewa, niż mu dziób wyrósł. Ale Bóg tam z nim.

Powiedziawszy to machnął ręką z widocznem lekceważeniem i dodał:

— Co mi tam!... Niech się Hojtyński między nich pcha; mnie żeby tak ferbelka złożyć.

W »bawialnym« pokoju, gdzie był ścisk trudny do opisania, zasiadły na kanapach pod ścianami wystrojone »imoście«. Wejście pani Korymowiczowej sprawiło widoczne wrażenie, wszystkie powstały, a gospodyni domu wiodła panią »kolatorkę«, robiąc jej miejsce swą szeroką figurą. Wreszcie doprowadziła ją do adamaszkowej kanapy, pod zwierciadłem i tam uprosiła, żeby zajęła »godne« siebie miejsce. Obok siedziała pani sędzina z miasteczka, mizerna, chorowita, ale dystyngowanie wyglądająca osoba, najwidoczniej zmęczona tym ściśkiem, zaduchą i ogłuszona gwarem. Z drugiej strony rozsiadła się pani poborczyń, gruba, czerwona dama, jaskrawo ubrana i tak głośno mówiąca, że wiele razy otwierała usta, tyle razy sędzina ze strachu oczy mrużyła, jak to czynią nerwowi ludzie, spodziewający się wystrzału nad uchem.

To też sędzina z radością powitała wejście pani Klementyny, która oddzieliła ją od głośnej sąsiadki.

Pannie Wandzie i małym panienkom pan Łuczyk zrobił miejsce na wąskiej ławeczce, ustawionej wzdłuż ściany i okrytej ręcznikami suto haftowanymi w ruskie wzory. Siedzenie to było twarde, ale ładnie wyglądało.

Rozmaici młodzieńcy, zapoceni i zmęczeni roznosili słodzoną wódkę, pierniki, ciasta i inne zakąski, uporczywie zapraszając panie i panny, żeby korzystały z tych darów Bożych. Pan Łuczyk rej wodził wśród tych paniczów, a gdy która z pań nie chciała się dać namówić do wypicia kieliszka nalanego, wtedy nakłaniał ją, mówiąc:

— Ouwa! Wielka rzecz, taki kieliszek... Trzeba uważać, żeby go nie połknąć... Ta niech się pani popatrzy jak to idzie!

I jednym haustem wypijał zawartość kieliszka.

Że prawie każda z pań dla »ceremonii« kazała się prosić, a pań było wiele, więc pan Łuczyk musiał dużo kieliszków wypróżnić, co odbiło się na jego powierzchowności: twarz mu poczerwieniała, oczy się zaiskrzyły, pot strugami spływał po obliczu, a włosy mokre lepiły do głowy lub zbijały się w kosmyki — pięknym nie był.

Ku wielkiemu utrapieniu Wandy, wziął sobie za zadanie ciągle ją bawić. Gdy tylko spostrzegł ogromną postać młodego Hojtyńskiego, z którym znał się jeszcze ze szkół a podczas wakacyi teraz po różnych prężnikach na nowo się zaprzyjaźnił, zaraz podprowadził go do panny Wandy i przedstawił, mówiąc:

— To jest pan Hojtyński, obywatel, mój przyjaciel...

Mrugał przytem jakoś tak znacząco, to do swego »przyjaciela«, to do panny Wandy, że młoda nauczycielka zaczęła się go bać, spostrzegłszy odrazu, że pan Łuczyk jest w niezwykłym usposobieniu; mówił przytem nadmiernie dużo, prawie bez sensu, i ciągle starał się przed Hojtyńskim grać rolę »kolegi« panny Ordonówny.

— Ja ucę panicza, a pani panienki, to nam jeden kłopot na głowie cięży — mówił, uśmiechając się konfidencyjalnie.

Panna Wanda uczuwała gniew wewnętrznny i mogłaby jednym słowem, jednym spojrzeniem skarcić i do porządku przywołać nieokrzesanego młodzieńca, gdyby był w zwykłym stanie; podochoconego wprost bała się, żeby jej jakiejś impertynencyi nie powiedział. Na szczęście pan Alfred, wszedłszy do »bawialnego« pokoju i rozglądnąwszy się po nim, odrazu spostrzegł jej przykre położenie, zbliżył się i zwracając się do Łuczyka, powiedział stanowczym głosem:

— Pan tu... A tam ksiądz proboszcz pana szuka, żebyś się zajął przygotowaniem do obiadu...

Zdanie to było wypowiedziane w ten sposób, że Łuczyk nie stawiał ani cienia opozycyi, tylko bąknął coś

półgłosem i wyniósł się z pokoju. Wnet i pan Hojtyński, nie czując oparcia w »przyjacielu«, ulotnił się i zaczął »emablować« pannę Anastazyę, córkę dziekana z Ołtarzowa, która we Lwowie skończyła konwikt i uchodziła za najwykształceńszą w okolicy, prócz tego słynęła z »cientości«, więc mógł się z nią pan Hojtyński bawić doskonale.

Gdy Alfred uwolnił pannę Wandę od niemiłego jej towarzystwa, młoda dziewczyna spojrzała nań z wdzięcznością i szeptem spytała:

— Co to z tego będzie?

— Za pół godziny obiad, później tańce, i całkiem naturalnie dwa razy jeszcze większe gorąco.

— I pan to z taką filozoficzną rezygnacją mówi?

— Cóż mam robić, to są obowiązki obywatelskie.

— Straszne!...

— Tak się pani zdaje.

Wkrótce przyłączył się do rozmawiających Samuel. Alfred szepnął mu, żeby panny nie odstępował i nie wydawał jej na pastwę pijanego Łuczyka, a sam wcisnął się w coraz to nowe grupy i z ciekawością obserwował nieznanne mu typy i przysłuchiwał się charakterystycznym rozmowom... Sam przed sobą przyznawał się, że się bawił doskonale.

Gorąco wzmagало się w zastraszający sposób, gwar rósł z każdą chwilą. W bawialnym pokoju przybywała jedna panna po drugiej tak, że już o miejscach do siedzenia mowy być nie mogło, pozbijawszy się w ściśnięte gromadki stały po kątach niby stadka wystraszonych kuropatw. Mężczyzn w tym pokoju prawie nie było, a przynajmniej nikt nie był zupełnie w powodzi jasnych, krzyżących sukien i kwiecistych stroików, zdobiących głowy zameżnych pań. Tylko pan Antoni bawił dziekanową, pan Samuel nie odstępował panny Wandy, a Alfred krążył po całym pokoju, zbliżając się na chwilę do ka-

zdej grupy i rozmawiając trochę z każdą z pańienek... Te się rumieniły, sznurowały usta i bez wyjątku udawały zażenowane pensyonarki.

W pierwszym pokoju huczało jak w ulu.

Horbowicz ciągle przydawał przy stole zastawionym butelkami, pilnując, by każdy z wchodzących nie opuścił tego wstępu. Nie potrzebował nawet namawiać, bo mniej więcej wszyscy z zapalem się raczyli. Najbardziej jednak przypadł do serca p. Horbowiczowi Francuz Donné, który nie odłożył na bok kieliszka, zanim nie wychylił trzech jego zawartości, jedną po drugiej. Po każdym kłaniał się Horbowiczowi i przedstawiał:

— Jestem Donné, metr od dansu i elegancyi. Jak mnie widzi pan doprodziej.

Horbowicz śmiał się całym sercem i wołał:

— Udał mi się ten Francuz... Za swoje gadanie wart kawałek chleba... A jak pije!

— To nie jest jeszcze szadne picie, pan doprodziej — odpowiadał skromnie Francuz.

— A wieleżby ty, panie tancmajster, potrafił wypić? Donné zamyślił się chwilę i rzekł:

— Tyle, pan doprodziej, wiele tylko pszuch zmieścić może.

— Wiwat Francuz! — ryknął, dusząc się ze śmiechu i radości pan Horbowicz. — Zaraz po weselu przyjeżdżaj do mnie, do Stawny, spróbujemy co wytrzymasz.

— Pięknie dziękuję... Ja nie jedzie nikdzie bez zajęcia, chyba może pan doprodziej potrzebuje kilka lekcji dansu.

— Zwaryował Francuz, ja bym jeszcze ciebie mazura nauczył, zobaczyłbyś!

— To może jest dzieciątki?

— Niema dzieciątek, chwala Bogu, ale ci każe ze wsi sprowadzić dziewcząt, to będziesz miał dopiero uczenice.

— *Mais c'est une idée excellente!* — zawołał Francuz — urządzimy *un ballet rustique!*

— Co becysz, francuski baranie? Nie rozumiem.

Nauczyciel tańca nie miał czasu odpowiedzieć, bo nagle wszczął się ogromny hałas w pokoju, wszyscy zaczęli się cisnąć do wyjścia, a pan Łuczyk potężnym głosem wołał:

— Proszę »wszystkie państwo« do obiadu! Już zupa rozdana.

Więc najprzód wypróżnił się pierwszy pokój, zajęty dotychczas szczerze mężczyznami, później zaczęły wychodzić panie z pokoju bawialnego. Goście nie szli parami, tylko osobno mężczyźni, osobno kobiety, grupami, jak się zebrały w ostatniej chwili. Ksiądz proboszcz i pani domu, idąc przodem, zapraszali serdecznie gości, wskazując drogę do obszernej stodoły, gdzie była zastawiona uczta weselna.

Pan Alfred, wszedłszy do tej improwizowanej jadalni, stanął zdziwiony, wprost olśniony niezwykłym widokiem: olbrzymie wnętrze gospodarczego budynku przeistoczono na wspaniałą salę, drewniane ściany pokryto od góry do dołu pysznymi kilimami, które lud miejscowy umiejętnie tka w różne po praojcach odziedziczone artystyczne i oryginalne wzory, ściel ułożono z gęsto zwartych zielonych gałęzi choiny, a środkiem budynku biegły stoły dla gości, ustawione w podkowy, przykryte czystymi ręcznikami i obrusami również wyrabianymi przez kołomierskie kobiety. Przybite do ścian liczne lampy jasno oświetlały tę oryginalną jadalnię.

Gospodarz stał w drzwiach i serdecznie zapraszał gości, żeby raczyli zająć miejsca.

Pan Alfred zbliżył się do niego i grzecznie zapytał:

— W jaki sposób ksiądz proboszcz potrafił urządzić coś tak prześlicznie i niezwykle wspaniałego?

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i odrzekł:

— Bardzo się cieszę, że panu się podoba, ale wi-
dać, że pan nigdy jeszcze nie był na popowskim we-
selu w naszych stronach. Zawsze się one odbywają w le-
cie, a obiad zazwyczaj podają w stodole, bo w mieszka-
niu niema miejsca.

— Ależ nie oto pytam... Zdziwiał mnie ta pyszna
dekoracja sali. Ta dziwna harmonia i bogactwo kolo-
rów... Zdaje mi się, że na weselu u jakiego słowiań-
skiego władki z przed tysiąca lat. Skąd ksiądz pro-
boszcz zebrał taką ilość kilimów?

— Chłopi mi pożyczili. W każdej chacie jest ich
u nas po kilka, i jest zwyczaj, że w razie wesela na
probostwie wszyscy parafianie znoszą kilimy, aby przy-
kryć drewniane, brzydkie ściany stodoły. To wszędzie
u nas tak. /

Panu Alfredowi nie wydawało się to ani rzeczą
zwykłą ani pospolitą, był poprostu zachwycony tą sie-
lanką przedhistoryczną. Posadzony przez księdza »przy
wielkim ołtarzu«, to jest pomiędzy panią Korymowi-
czową a panną Wandą, ciągle mówił o wspaniałej de-
koracji sali.

Obiad był nadzwyczajny; wykwił kołomijskiej
dworskiej kuchni w połączeniu z tradycyjną obfitością,
panującą na księżych weselach, złożyły się na tę ucztę,
o której później, przez lata całe, opowiadano sobie
w okolicy.

Towarzystwo przy ogromnych stołach podzieliło
się na kółka i kółeczka, nie nudząc się wcale. Nie
trzymano się zupełnie europejskiego szablonu, który
nakazuje koniecznie, żeby panowie przedzielali panie,
tam siedziało obok siebie czasem kilka kobiet mniej
więcej tego samego wieku, rozmawiając o sąsiedzkich
ploteczkach i były niemi bardzo zainteresowane; gdzie-
indziej znowu zebrała się grupa niedorośliwych panienek;
w innej zaś części stołu sami żonaci mężczyźni opo-

wiadali sobie nawzajem nowinki, zakrapiając potrawy dobrem węgierskiem winem lub ogromnemi szklanicami piwa. Wolność panowała i niepodległość, jak dowcipnie wyrażał się pan Antoni.

Na prawem skrzydle zastawionych w podkowę stołów umieściło się młode grono, w którym rej wodziła panna Anastazy, mająca w okolicy opinie »emancypantki«; z jednej strony obok niej siedział pan Hojtyński, z drugiej pan Łuczyk, obok zaś zasiedli co najzwawszi »pitomcy« i młodzi funkcyonaryusze z urzędu podatkowego. Wszyscy oni wzdychali do serca panny Anastazy, bo była jedynaczką, a o dziekanie z Ołtarzowa chodziły wieści, że jeszcze po swym ojcu przechowuje garncami talary i dukaty. Jednak emancypowana panna nikogo nie zaszczyciła swą uwagą, oprócz młodego Hojtyńskiego, który znowu nie bardzo dziś był ożywiony i na jej długie zdania odpowiadał półsłówkami.

— Co panu dziś jest? — zawołała rozgniewana panna — zapomniał pan, jak doskonale bawiliśmy się na pierwsze święto Matki Boskiej w Przybyłowie na prazniku?

— Nie każdego dnia ma człowiek jednaki kuraż — odpowiedział skromnie młodzieniec.

Tu wmiszał się do rozmowy pan Łuczyk:

— On taki sam był jeszcze w szkole.

— Alboż pan znał pana Hojtyńskiego ze szkół? — spytała panna.

— A jakże, ktoby jego nie znał! Po dwa lata w każdej klasie siedział; ze mną był w »syntaxymie«.

Hojtyńskiemu znać wspomnienia te nie były miłe, bo mruknął gniewnie:

— Chociaż po dwa lata siedziałem, ale mnie nie wyganiali, tak jak ciebie, za to, żeś książki kradł.

— Dalibóg, zem nie kradł, tylko belferska złość to wymyśliła. Każdy wie, co belfry wyrabiają, jak się

na kogo uwezmą — odpowiedział zawstydzony Łuczyk i zamilkł, nie sięgając już później do skarbnicy szkolnych wspomnień.

Panna Anastazyja, nie zwracała się więcej w stronę młodzieńca, mającego tak niehonorową przeszłość, pograżyła się w rozmowie z Hojtyńskim, to jest ona szepotała coś do niego, on słuchał jednym uchem i odpowiadał monosylabami. Oczy jego zwracały się ciągle w stronę panny Wandy, tak widocznie, że spostrzegła to nawet jego sąsiadka, która grając ciągle rolę rezolutnej »emancypantki«, rzekła:

— Już widać pan »za mnie« całkiem zapomniał a ciągle pan »zyrka« na tę guwernantkę... Wolna droga! Nie trzymam pana, proszę iść do niej.

— Ej panno Nastju, myli się pani, ani mi się śni! Ja za panią ginę.

— Bodaj pan tak z nosem był! Gadaj pan jakiejś durnej, nie mnie... Ja się we Lwowie napatrzyła na takich, co z kochania giną.

— Przysięgam Bogu!

— Idź pan jej przysięgać.

— Nie chcę.

— Pewno się pan boi tego jakiegoś Anglika, co koło niej siedzi; przesadziłby pana przez kij.

— Zdrowie państwa młodych! — zawołał, podnosząc się wolno, najstarszy wiekiem kanonik z Przybyłowa.

Wszyscy zaczęli powstawać ze swych miejsc i ciśnąć się do państwa młodych, ażeby trącić się z nimi kieliszkami. Skorzystał z tej sposobności młody pan Hojtyński, opuścił pannę Anastazyję i przerwał drażliwą rozmowę. Zbliżywszy się do »wielkiego ołtarza«, stanął w tłumie i wpatrywał się z zachwytem w pannę Wandę.

Tymczasem Łuczyk nie próżnował, skinawszy na chór śpiewaków, w dzień przedtem zorganizowany, zaintonował dźwięcznym tenorem:

Mnohaja lita, mnohaja lita,
Lita, lita, lita, lita!

Chór grzmiał, że aż światła w lampionach dygotały, pan Łuczyk wywijał zeszytem nut, w trąbkę zwiniełym, jak nieboszczyk Wołodyjowski szablą, i w takt pieśni to podskakiwał, to przysiadł prawie do ziemi. Dyrygując, poczuł zapach artystyczny, a całe zgromadzenie pochlebny szmerem potwierdzało jego niezrównany talent.

— A niechże go mać, kręci! — szepnął ekonom z Wojczy do pana poborca. — Ktoby się był spodziewał, żeby taki pański belfer tak potrafił wyciągać.

— Wino z niego ciągnie — odpowiedział półgębkiem poborca, spoglądając protekcyjonalnie na ekonomę.

— Żeby najlepsze, to nie pociągnie bez gardła, panie poborco dobrodzieju, ja się na tem znam, bom także śpiewak.

Pieśń tymczasem huczała coraz głośniej, coraz potężniej, solista brał coraz wyższe nuty:

Wo szczastyje, wo zdrowije!
Mnohaja lita, mnohaja lita,
Lita, lita, lita!

Skończyli śpiewacy, wychylili kolejno ogromne kielichy wina, a pan Łuczyk przed »młodymi« oddeklamował wyuczoną, pompatyczną oracyę. Nie skończył jeszcze, gdy go ktoś na bok odsunął. Ujrzał przed sobą pana Brodkowskiego, asesora z magistratu w pobliżkiem miasteczku, ubranego w czamare i wysokie buty. Pan asesor miał w okolicy patent na patryotyzm i zawsze godził zwaśnione narody, ale nie mniej dbał o równouprawienie. Teraz dobrze już podchmielony, odsunął na bok bez ceremonii pana Łuczyka, wołając:

— Gdzie śpiewają ruskie pieśni, tam mają śpiewać i polskie... Równy z równym, panie dobrodzieju! Pano wie, proszę o głos!

Nastała cisza. Pan asesor, wznosząc kielich w górę, zawołał:

— Zdrowie naszego przewielebnego gospodarza. Ksiądz proboszcz niech żyją!

Równocześnie rozkazującym gestem skinął na muzykantów, którzy dotychczas stali beczynnie i zawołał:

— *Musik! Grać! Ano żydy od ucha!*

I wkrótce zaintonował w takt muzyki:

Nasz ksiądz proboszcz dobry pan,
Dobry pan!
Postawił nam wina dzban,
Wina dzban, wina dzban!

Pierwszy skrzypek aż położył głowę na instrumencie i wydobywał zeń przeciągłe tony, a całe rozochoczone towarzystwo darło się w niemożliwy sposób, wtórując asesorowi:

Dobry pan, dobry pan!

Pan Alfred, słuchając tego, nachylił się do panny Wandy i szepnął półgłosem:

— Żebym był do centralnej Afryki pojechał, to bym nic ciekawszego nie zobaczył... To zupełnie nowy dla mnie świat.

Języki się rozwiązały, wino zaszumiało w głowach; w stodole zapanował gwar, przypominający huk wzburzonego morza. A co chwila wstawał któryś z mężczyzn, uderzał nożem w szklanekę i wznosił nowy toast.

Wreszcie podano lody, obiad się skończył.

Pan Antoni chciał natychmiast wracać do domu, ale gospodarstwo nie chcieli nawet o tem słyszeć.

Proboszcz zaklinał na cienie ojców, którzy tyle lat obok siebie w zgodzie żyli, żeby im tego afrontu państwo kolatorstwo nie czynili.

Gospodyni prosiła, żeby koniecznie zostali jeszcze ze dwie godzinki i popatrzyli jak sobie »młodzi poskaczą«.

A pan Łuczyk, czerwony jak upiór ze zmiętym jak sznurek kołnierzykiem i przekręconym krawatem, wołał, stojąc przed panią Klementyną i panną Wandą:

— Co nie, to nie! Na progu się położę i chyba po moim trupie panie pójdą!

— Parobczysko zwaryował! — szepnęła pani Klementyna do Ordonówny, ale ostatecznie zdecydowała się zostać jeszcze godzinę.

Pokój bawialny przygotowany do tańców; wyprzątnięto go zupełnie tylko pod ścianami pozostały wazki przykryte ławy dla spektatorów.

Panny zbiły się w jedną grupę pod oknem, młodzi ludzie w drugą około drzwi. Pomiędzy danserami najgłośniejszy był Łuczyk, wymachujący ciągle jeszcze rękoma i bełkoczący na wpół nieprzytomnym głosem:

Ja tu dziś *fortänzer* i od śpiewu i od tańcowania! Hej! chłopcy dalej za mną. Ja *fortänzer*!

Tymczasem żydzi zagrali melodyjnego walca. Pan Alfred, chcąc do końca utrzymać się w roli popularnego magnata, ruchem skończonego światowca posunął do panny młodej i zaprosił ją do tańca.

Pierwsza para ruszyła. Bal się rozpoczął.

Wkrótce wirował także Samuel z panną Wandą, stary Donné z małą Olą, Hojtyński z panną Anastazyą.

Pan Łuczyk rozochocił się do tego stopnia, że podszedł do pani Klementyny i ją »zaangażował« do walca, gdy mu jednak stanowczo odmówiła lodowatym tonem, wziął pierwszą z brzegu danserkę i jak huragan puścił się pomiędzy tańczące pary... Skutek był nagły i bardzo przykry: tak się zderzyli z Hojtyńskim, że pan Łuczyk leżał jak długi na ziemi, przygniatając swym ciężarem nieszczęśliwą danserkę.

Widząc taki odstraszący przykład, panna Wanda wycofała się z koła tańczących i usiadła pod opieką pani Korymowiczowej, zgromadziwszy przy sobie obie

małe panienki, którym groziło poważne niebezpieczeństwo rozdeptania.

Zaledwie jednak usiadła, zbliżył się do niej pan Donné i prosił, aby z nim przetańczyła jedną turę walca.

Odmówiła stanowczo, tłumacząc mu, że w takim ścisku i gorącu nie jest w stanie tańczyć. Francuz był niepokieszony i ze szczerą rozpaczą w głosie zawołał:

— Panna Wanda, najśliczniejsza dama, nie chce ze swoją sługą Donné tańcować. Ma wiedzieć śliczna dama, że ja mieć dwa serca; jedno francuskie, a drugie polskie, w francuskie serce mieszka moja nieboszczka szona, madame Donné, a w polskie serce najśliczniejsza dama, panna Wanda.

W tej chwili zbliżyli się do pań Samuel z Alfredem i słyszeli w całości strzeliste wyznanie starego Francuza.

Alfred trącił nieznacznie łokciem Samuela i szepnął doń.

— Słuchaj! Nowy rywal. Ta dziewczyna podbiła serca całego powiatu.

— Stary osioł! — odpowiedział niechętnie Samuel — spił się jak bela, i miłość go rozebrała.

Bawialny pokój aż trząśił się w swych podwalinach pod ciężarem hasających par. Łuczyk, podniósłszy się po pierwszej niefortunnej próbie, nie ustał w zapale, ale brał jedną danserkę po drugiej i wywijał niemi niemiłosiernie. Tańczył on w dziwny jakiś sposób, umiał przy walcu tak suwać nogami, że raz po raz uderzał obcasem o obcas, niby hołubce wybijał, było to tak oryginalne, że zwróciło uwagę podpitego Francuza. Ten patrząc się na niego, rzekł poważnie do pana Alfreda:

— Mój *élève*, *monsieur* Łuczyk robi miszmasz walce z mazur, polak ze szwab, koza z baran.

Wreszcie danserowie się zmordowali, wesołe tony walca umilkły. Pan Łuczyk w pół taktu zostawił swą ostatnią danserkę na środku pokoju i zawołał:

— Psia krew żydzi! Czemu grać przestali!

Nikt mu na ten dystyngowany wykrzyk nie odpowiedział, muzykanci wyszli na ganek raczyć się śledziem, pieczonemi ziemniakami i piwem. To rozgniewało pana Łuczyka do żywego, tak, że zaczął wołać:

— Dawajcie tu żydów, co to za ruskie wesele bez kołomyjki, grajcie zaraz kołomyjkę!... Hej, Hojtyński, kolego!

— Czego chcesz? — odezwał się wołany z grupy danserów.

— Kołomyjki chcę!

— Zaraz będą grać, niech żydzi podjedzą i podpiją... Prawda, ty się najadł i napił do syta.

— Moje inne prawo, a żydowskie inne... Ich psie prawo grać, kiedy państwo chce tańcować.

Zaledwie Hojtyńskiemu i innym trochę trzeźwieszym młodzieńcom udało się uspokoić zapał p. Łuczyka, lecz dopiero wówczas się udobruchał zupełnie, gdy po pięciu minutach muzykanci, kończąc pospiesznie przerwana ucztę, zaczęli grać waryacki huculski taniec. Nutą ta działała na Łuczyka jak prąd galwaniczny na nieżywą żabę, nogi drgać mu w takt zaczęły, rękoma wywijał, a głowę przekręcał to w prawo, to w lewo.

— Hej, Hojtyński! — zawołał — bierz pannę dziekanównę i hajda do tańca, we dwie pary pokażemy im jak się kołomyjkę tańczy.

Sam podszedł do jakiejś smagłej przystojnej brunetki, zaciśniętej w szeregu panien pod oknem i kiwając na nią palcem, wołał:

— Panno Sóniu, a proszę wyjść tu do mnie, za tańczymy sobie po naszymu kołomyjkę... Niech Francuz zobaczy, jak chrześcijański naród tańczy.

Posłuszna panna, na wezwanie bezceremonialnego dansera, wydosłała się ze ścisku i stanęła na środku naprzeciw pana Łuczyka. *Vis à vis* tej pary stał już

Hojtyński przy boku panny Anastazyi i zaczął się szalony taniec. Łuczyk, w którym zawrzała hajdamacka krew, rzucał się w tańcu jak wściekły, skakał w »prysudach« po podłodze jak ropucha, odrzucał nogi na bok jak wierzgający osioł. Pot się lał zeń strumieniami, a on tańczył bez wytchnienia, bez upamiętania.

Zebrani po pod ścianami pokoju widzowie bili brawa i wołali co chwila:

— *Sławno! sławno! O to tańciurysta!*

Wreszcie wyczerpawszy wszystkie figury i kombinacye, pan Łuczyk stanął i swej danserce podziękował niedokładnie wyuczonym od Francuza słowem:

— *Merçi!*

Później zwrócił się do swego partnera, wołając:

— No Hojtyński, teraz wart nam wina się napić, napracowaliśmy się dosyć.

Wino dla danserów umieszczone było w sypialnym pokoju gospodarstwa, zamienionym dziś na męski pokój, gdzie starsi panowie grali w karty. Przy najpoważniejszym stoliku zasiedli pan Antoni, pan sędzia, dziekan z Ołtarzowa i gospodarz domu, grając taniego preferansa. Przy drugim stoliku Szafirowicz przydygotał przy ferblu.

W kącie stał stolik zastawiony gęsto butelkami, a tańcząca młodzież, wpadając co chwila do tego pokoju, zaspakajała tam swe pragnienie.

Po kołomyjce z hukiem i stukiem weszli przodem Łuczyk z Hojtyńskim, a za nimi cała hurma młodych ludzi, którzy podziwiali taniec Łuczyka.

W niebardzo obszernym pokoiku zapanował straszny gwar i ścisk, młodzież cisnęła się do stolika, zastawionego butelkami, a Łuczyk nalewał i wypijał.

Przy stoliku, gdzie siedział pan Antoni, nie można było w żaden sposób grać, bo hałas nie pozwalał zebrać uwagi, toteż panowie przestali grać, a gospodarz podał

panu Antoniemu fajkę na długim cybuchu, którą dla niego umyślnie trzymał.

Puszczając więc dym pan Antoni z cybucha i gawędził po przyjacielsku ze starym swym przyjacielem proboszczem, gdy nagle obaj zamilkli i, patrząc na siebie, słuchali zaciekawieni.

Hojtyński i Łuczyk, napiwszy się do syta, pozapalali papierosy i, odsunawszy się od stolika, stali w tłumie nie dalej jak o dwa kroki od pana Korymowicza, delektując się doskonałym tytoniem proboszcza i rozmawiali po przyjacielsku.

— Łuczyk, kolego — mówił Hojtyński — powiadaj mi prawdę, nie możnaby się tam zakreślić koło tej waszej guwernantki?

— Nic z tego!

— Powiedz mi przecie, dlaczegoż tak? Cóż znowu guwernantka.

— Widzisz, ona lepszego ma kawalera, niż ty.

Na to Hojtyński wyprostował się i dumnie spojrzawszy na Łuczyka, rzekł:

— Ciekawym jakiego? może ciebie?

— Młody Korymowicz.

— Łżesz!

— Przysięgam Bogu — zawołał Łuczyk — sam na własne oczy widziałem, że schodzą się wieczorami w ogrodzie.

Reszty pan Antoni nie słyszał, bo Łuczyk nachylił się do Hojtyńskiego i dalszy ciąg swego opowiadania szeptał mu do ucha.

Pan Antoni pobladł, oczy mu dziko zaświeciły, z fajki buchnęły kłęby dymu, gniew w nim wzbierał, ale proboszcz spojrzawszy nań błagalnie, więc się trochę uspokoił.

— Słyszał proboszcz? — zapytał szeptem.

— Słyszałem.

— To dopiero łajdak.

— Dolał sobie!

— Dolałby ja mu!

— Panie kolatorze dobrodzieju — błagał półgłosem ksiądz proboszcz, chwytając dziedzica za kolana -- na miłość Boską proszę się uspokoić, nie robić z tego historii, chłopczyśka po pijanemu głupstwa gadają, jak się wytrzeźwią, to zapomną i nikt się o tem nie dowie.

— Może ksiądz proboszcz ma i rację. Ale mam już tego dość, głowa mnie boli, muszę jechać... Nie wiedzieć, poco ksiądz daje im tyle wina... No, bywajcie zdrowi!

Ksiądz nie sprzeciwiał się nawet, bo wiedział, że gdy kolator się rozgniewa, to opierać mu się, ani go niecierpliwieć nie można. Przedstawił tylko, że natychmiast wyjechać niepodobna, bo panie i dzieci zgrzane i mogłyby się przeziębić. Zgodził się na to pan Antoni i tylko przez drzwi dał znać żonie, żeby się usunęła z grona tańczących i w ten sposób przygotowała dzieci do zmienionej temperatury, sam zaś zasiadł do skończenia rozpoczętej puli preferansa. Gdy to nastąpiło, panie w narzutkach stały już na ganku gotowe; tymczasem powozy ostrożnie na ciasnem podwórzu podjeżdżały. Z otwartych okien »bawialnego« pokoju i z sieni wydobywały się tony staroświeckiego kadryla Madurowicza, »Dawne dzieje« na nutę znanych melodyi narodowych, a nad całym gwarem zabawy, dźwiękami muzyki i turkotem zajeżdżających ekwipaży, huczał potężny głos bohatera dzisiejszego wieczoru, pierwszego *fortänzera*, pana Łuczyka, powtarzającego wrzaskliwym głosem słowa przekreślonej tanecznej komendy:

— *A teper tiur de men i basta!*

W ten sposób zakończyło się dla mieszkańców kołomierskiego dworu pamiętne weselisko panny Fruzi Kałuskiej na probostwie.



XIV.

Poniedziałek, który nastąpił po weselu na plebanii, pani Rypsima zapisała w swym kalendarzu, jako dzień »feralny« najwyższego stopnia.

Pan Antoni, pomimo, że się późno spać położył, wstał, jak zwykle, przed godziną siódmą i w swej »kancelaryi« pił kawę, palił fajkę i przeglądał listy, nadeszłe wczorajszą pocztą. Ze zdziwieniem usłyszał odgłos kroków żony; zaniepokoiło go to, bo nigdy tak rano nie wychodziła ze swego pokoju; przerwał czytanie i zwrócił oczy w stronę drzwi. Za chwilę ukazała się w nich pani Klementyna, w niezwykle sposób wzburzona i rozgniewana, jej piękne oblicze pokryło się ciemnymi rumieńcami, a kształtne nozdrza rozdymały się gwałtownie, usta miała zaciśnięte, a z oczu sypały się iskry. Szła pospiesznie, w rękę niosła ćwiartkę listowego papieru w trąbkę zwiniętą.

Gdy znalazła się już pani Klementyna w pokoju, zawołała gwałtownie.

— Na to już pozwolić nie podobna!

— Co się stało?

— Ja na to pod żadnym warunkiem nie pozwolę — odpowiedziała pani domu.

Pan Antoni odrazu poznał, że musiało zajść coś niezwykłego, co żonę do głębi poruszyło, a że kochał ją głęboko, więc zbliżył się do niej i troskliwie zapytał:

— Co Klimuni złego zrobili?... Powiedz mi dziecko, ja zaraz z tem zrobię porządek.

— Najwyższy czas! — wybuchnęła — a to już ostatnie zuchwalstwo... Zuchwalstwo i bezwstyd, przechodzący wszelkie możliwe granice!... Przepowiadałam, że z tym Łuczykiem, z tym parobczykiem będziemy mieli porządne nieprzyjemności. I taki człowiek ma wychowywać mego syna... Ciągłe powiadam, że Tonio nic się nie zna na ludziach.

Pan Antoni na pozór spokojnie słuchał wezbranego potoku wymowy swej żony, ale wewnątrz kotłował już w nim ten straszny gniew, atakom którego od czasu do czasu podlegał, oczy mu pały, a na skroniach nabrzmiały żyły, jak grube sznurki.

— Takie nieokrzesane chłopczysko — mówiła pani Korymowiczowa, nie przerywając — myśli, że mu to wszystko wolno, zdaje mu się, że jest na plebanii, pomiędzy popadyankami.

— Powiedzże wreszcie, co on zrobił? — zawołał pan Antoni, wyprowadzony zupełnie z cierpliwości.

— Powiem, ale niech mi Tonio da słowo, że go przykładnie ukarze.

— Powiedz!

— Niech Tonio czyta! — podała mu ową ćwiartkę papieru, przyniesioną w rękę.

Pan Antoni zaczął czytać, lecz treść tej kartki takie nań robiła przygnębiające wrażenie, że ręce mu się trzęsły, a w oczach mu się ćmiło z gniewu ogromnego. Widząc to pani Klementyna, wzięła z rąk męża papier, mówiąc:

— Ja sama Toniovi te szkarady powtórzę, z irytacji nie przeczytasz do końca.

Zaczęła czytać, równym donośnym głosem:

»Aniele mego serca, najpiękniejszy kwiecie mojej duszy, najdroższa panno Wando!«

Pan Antoni nie mógł się utrzymać na nogach, usiadł na fotelu, pani ciągnęła dalej:

»Wiem, że Ty aniele na innego oczkiem twem przedudownem zyrkasz, a na Twego najstateczniejszego wielbiciela dotąd nie raczyłaś spojrzeć... Ale ja Ciebie kocham, kocham, kocham jak nikt inny na tym podślonecznym planecie. Wiem, że Tobie zawraca tę prześliczną główkę bogaty panicz, ale jemu nie wierz, bo to, co on mówi, to jest prosta brednia, on chce Ciebie tylko na podmowę wziąć, a potem zdradliwie porzucić. Ja znam dobrze te jaśnie pańskie romanse«.

Tu pan Antoni nie mógł dłużej wytrzymać, zerwał się gwałtownie i biegnąc pospiesznie po pokoju, wołał:

— A to łotr! a to łajdak! Zato tylko baty, baty! baty!

— Niech się Tonio uspokoi — błagała go żona — proszę słuchać końca.

I zaczęła znowu czytać.

»Ja jestem nauczyciel i Ty aniele mej duszy z tego samego fachu... Ja zapomnę to, com widział, lub com słyszał za tego przekłętą panicza. Stary jest hojny pan, jak się dowie, to tę krzywdę wynagrodzi... Najlepiej rzuć łaskawym okiem aniele na Twego najwierniejszego kochanka i wyjdź za mnie za mąż — a będziemy żyli jak dwa gołębice... Jak będę profesorem w gimnazjum, możemy pańskie dzieci na stancyi trzymać, bo ich możesz uczyć po francusku... Tyle jest najszczerzej mowy mego serca; odpowiedz aniele, póki czas. Twój sługa najniższy i najwierniejszy kochanek

Sofroniusz Łuczyk,

słuchacz trzeciego roku filozofii.▪

Pan Antoni w ciągu czytania tego listu chwycił się za głowę i biegał po pokoju, jak rozszarty lew po klatce, wołając co chwila:

— Baty! baty! baty!

— Posłuchajże do końca — mitygowała go żona, biorąc go za rękę — pewno, że i jam się zgniewała okropnie, ale to jest drażliwa historia, że trzeba ją uważnie i spokojnie załatwić.

— Ależ to jest kłamca i oszczerca! — przerwał jej mąż. — Powiadam ci, Klimuniu, na takiego baty! baty!

— Ależ posłuchaj do końca.

— No, słucham.

— Otoż wczoraj Wanda wróciła z tego ordynarnego kiermaszu — mówiła pani spokojnie — i nie zwracając na nic uwagi położyła się spać... Rano się budzi a widząc ogromny bukiet na tualecie, myślała że to małe Derkałowiczówny z Kazikiem go zrobiły, więc poszła go oglądnać... No, i zaraz ten wstrętny list spostrzegła.

— Któż ten bukiet zaniósł?

— Już zrobiłam dochodzenia. List napisał Łuczyk jeszcze wczoraj rano, a bukiet zrobili Wiktor Piechota z Jaśkiem ogrodnikiem i, gdy myśmy byli na plebanii, Wiktor zaniósł go z tą kartką do pokoju panny Wandy.

Pan Antoni znowu zaczął pospiesznie latać po pokoju, nagle stanął przed taśmą od dzwonka i pociągnął kilka razy tak silnie, że o mało jej nie urwał. Za chwilę stanął w drzwiach Wojciech.

— Łuczyk już jest? — spytał pan.

— Jest! Śpi w oficynie.

— Postawić dwóch ludzi że stajni, żeby go pilnowali, z pokoju nie wypuścić.

— Słucham wielmożnego — odpowiedział z tryumfującą miną Wojciech i zabierał się do wyjścia.

— Gdzie idziesz? Czekaaj!

— Słucham!

— Zawołaj tu zaraz Polkiewicza!

— Słucham!

— Zawołaj zaraz pana Samuela!

— Słucham!

Tu wtrąciła pani Klementyna:

-- Niech Wojciech poprosi pana Alfreda.

— Duchem! — odpowiedział stary i już wychodził, ale z drzwi zawrócił jeszcze i dodał: — A ja już z własnej woli i myśli zamknąć kazałem w pustym lamusie Wiktora i Jaśka ogrodniczka... To z nim także trzeba zrobić porządek.

— Milczeć! — krzyknął pan Antoni — do niczego mi się stary ośle nie miesza!... Ja sam teraz rozkazuję.

— Słucham!

Za drzwiami dopiero mruknął pod nosem;

-- Nie będzie im z miodem, stary pan taki dobry, że choć do rany go kładź, ale jak się rozezłości, to pies wściekły... Dobrze, że choć Wiktor nabierze, jak się pisze... dawno mu się to należało.

Z wezwanych pierwszy w pokoju pana Antoniego stawił się Alfred. Opowiedziano mu całą sprawę, on słuchał uważnie, a gdy go dopuszczono do słowa, rzekł spokojnie:

— Mogę zaręczyć stryjostwu, że to haniebne kłamstwo... O ile z pozorów sądzić mogę, to zdaje mi się, że Samuel kocha pannę Wandę i to ostatecznie nie widzę w tem nic złego.

— Jak to ty rozumiesz? — przerwał mu stryj.

— Całkiem prosto! Jeżeli ją kocha, niech się z nią ożeni... Panna z dobrej rodziny, śliczna, doskonale wychowana.

— A... a... a!... Eureka! — zawołał pan Antoni, uderzając się swą szeroką dłońią po białem czole. — Nigdy mi nic podobnego na myśl nie przyszło.

— Cóżby w tem było znowu tak nadzwyczajnego! Samuel ma bardzo znaczny majątek po matce, i stryj mu pewno coś da.

— Pewno! pewno! — mówił, jakby sam do siebie pan Antoni, chodząc wielkimi krokami po pokoju — ale co na to powie cała nasza familia, co krewni mojej pierwszej żony... Hej, tego jeszcze nie było, żeby się Korymowicz z guwernantką żenił.

— Ależ ta guwernantka, to córka po pułkowniku Ordonie.

— Masz rację! Prawda. Ja bo nic od siebie nie mówię, ale co ludzie powiedzą... Ty nie znasz naszych ormiańskich ploteczek... Doprawdy, głowa mi pęka.

— Nie pęknie, stryjaszku, nie pęknie — pocieszał Alfred, który swym spokojem zapanował nad wszystkimi i odrazu wziął niepostrzeżenie wodze całego domu w swe wypieszczone dłonie.

W tej chwili dał się słyszeć odgłos ciężkich kroków w przedpokoju i Polkiewicz otworzył drzwi... Tuż za nim ukazał się zmieszany i zgorączkowany Samuel.

Ujrzawszy go, Alfred spojrział porozumiewająco na panią Klementynę i rzekł:

— Stryj pewno ma tu do pomówienia z panem Polkiewiczem, a my chodźmy na śniadanie, bom coś po tej wspaniałej uczcie strasznie głodny.

Samuel popatrzył nań z wdzięcznością, że swym sprytem odciągnął stanowczą rozmowę z ojcem na później, i poszedł za panią Klementyną i kuzynem do sali jadalnej.

Pan Antoni został sam na sam ze swym starym i zaufanym rządcą.

— Ładna historia, Polkiewicz!... Słyszałeś?

— Słyszałem.

— Cóż się z tym łajdakiem dzieje?

— Siedzi pod wartą w oficynie.

— Czy już wie?

— Co ma wiedzieć! Śpi jak zabity... Spił się jak bela. Ładny filozof.

— Zbudzić zaraz i dawaj go tu!

Polkiewicz popatrzył swym pocziwym wzrokiem prosto w oczy swego chlebobawcy i szepnął:

— Ej, wielmożny panie, dalibóg, że szkoda się paskudzić.

— A jak ty myślisz?

— Myślę, że to bydlę, a nad bydlęciem nie warto się znęcać.

— Więc cóż, darować?

— Niech psia krew idzie na cudze ręce.

Pan Antoni znowu zaczął pospiesznie biegać po pokoju i sapał jak miech kowalski; chodząc, mówił urywanemi zdaniai:

— Postarzałeś się Polkiewicz... Zdziażdałeś zupełnie... Za taką robotę, jak ta, co narobił ten gałganisko, to sto bizunów mało... Pasy drzeć mało... To jadowita gadzina... Zato warto zatłuc na śmierć, żeby hadiuga nie gryzła drugiego.

— Inne czasy, wielmożny panie — wtrącił nieśmiało rządca — po co nam kłopotu z sądami... Lepiej, niech idzie na cudze ręce.

— Co mi sąd! — wybuchnął gwałtownie Korymowicz — stać mię na to, żebym sto procesów wygrał... Jak nie tu, to w Wiedniu sprawę załatwię... On mnie będzie, stary bałwan, sądami straszyć... Hej dawaj tu tego łajdaka! Posłać po czterech parobków od gorzelni.

Polkiewicz poznał, że fałszywą strunę targnął, więc udał, że zgadza się zupełnie i szepnąwszy:

— Wola, wielmożnego pana! — opuszczał już kancelaryę, ale w drzwiach się zatrzymał nagle i rzekł z zakłopotaną miną:

— Z gorzelni brać do takiego interesu ludzi nie można, to pijaki, pyska nie umieją trzymać zamkniętego, jeszcze rozpuszczą po miasteczku, a jak pójdzie po sąsiadach, to szkoda dobrej sławy tej panienki.

Pan Antoni popatrzył z zachwytem na Polkiewicza, odrazu pojął, że rządcą ma słuszość, więc zawrócił go już z za drzwi, wołając:

— A choć no tu jeszcze stary. Coś ty powiedział? Toś nie głupio wykalkulował.

Polkiewicz wrócił i szepnął przesadnie przyciszonym głosem:

— Ja znam, wielmożny panie, ludzi, znam... Plotka wyleci komarem a powróci wołem, albo i słoniem... Wielmożny pan każe wlepić takiej sobace ze dwadzieścia nahajów, to się będzie bestya mścić za to głupstwo, jak za coś poważnego i rozniesie plotek Bóg wie jakich. I księża ruscy mu dopomogą, bo się im przypodchlebiał i ma ich łaskę.

— Cóż zrobić?

— A cóż? Powiedzieć słowa prawdy i puścić na cztery wiatry.

— Może ty masz rację... Wołaj tu starego Nuradowicza.

Polkiewicz rad, że dziedzica przekonał, zawinał się z zapalem i za parę minut wrócił, prowadząc starego ormianina Nuradowicza, który już ze czterdzieści lat spełniał obowiązki kasyera i rachmistrza. Stary, dzwigając księgę pod pachą, wszedł pokornie, nisko się skłonił i w milczeniu oczekiwał pańskich rozkazów.

— Masz stary zapisanego »dyrektora« Łuczyka? — spytał pan Antoni.

— A jakże, wielmożny panie.

— Czy on co brał na konto?

— Zaraz to się da widzieć.

Rozłożył księgę na stole, na duży, garbaty nos włożył olbrzymie w róg oprawne okulary i nachylił swą charakterystyczną łysą głowę nad gęsto zapisanymi kartkami rachunkowej księgi, tak nisko, że długimi zwisającymi wąsami dotykał prawie papieru.

— Jest, wielmożny panie, jest! — zawołał, a nachyliwszy się jeszcze niżej, zaczął czytać: — »Pan Sofroniusz Łuczyk, student filozofii ze Lwowa, zgodzony za sto reńskich Nr 100, za wakacye, jako dyrektor do panicza Kazia... Wybrał 17. lipca na tytoń 63 centów, 20. lipca, jak jechał do miasta 5 złotych, 25. lipca, na zelowanie butów.

— Zostaw to czytanie — zawołał, śmiejąc się pan Antoni — zrachuj wiele wybrał wszystkiego?

— Zaraz, wielmożny panie!

Znowu się nachylił, liczył zaledwie chwil kilka i podnosząc się, rzekł:

— Razem wybrał 57 złr. 73 ct. — do naznaczonej płaty należy mu się 42 złr. 27 ct.

— Daj mu całe sto, niech wie hołota, że w obywatelskim domu służył!..

Następnie zwrócił się do Polkiewicza i dysponował dalej:

— Każ przygotować wózek, niech fornał zaprzęże broniki i na wsiadanem daj mu te sto reńskich, które weźmiesz od Nuradowicza, niech z nim siądzie wiernik Froim i odwiezie aż do stacyi, żeby mi gdzie po drodze nie został!.. A teraz go tu dawajcie.

Polkiewicz z Nuradowiczem wyszli, obaj bardzo uradowani, że dziedzic się trochę udobruchał i nie zrobi żadnej awantury, która jego zdrowiu mogłaby zaszkodzić i wskutek tego naraziłaby prawdopodobnie na znaczne koszta.

W pięć minut później wprowadził gwałtem prawie pan rządca zaspanego, opuchniętego, nieumytego i niezaczesanego Łuczyka do pańskiej kancelaryi. Pan Antoni spojrział nań z obrzydzeniem, a wyjmując cybuch z ust, powitał go słowami:

— Ładnie pan nauczyciel wygląda.

— Abo co?

Ton tych dwóch słów był szorstki i w ten sposób zuchwały, że pan Antoni aż podskoczył na krześle, ale pohamował się; tylko w duszy szepnął: Panie Boże daj wytrzymać — i zwrócił się do Łuczyka, pokazując mu inkryminowany list, zapytał ostrym tonem:

— Czy to pan pisał ten list do panny Wandy?

Na to pytanie Łuczyk przybladł trochę, ręce mu się trząść zaczęły, ale z oczu błyskały zuchwałe i zjadliwe spojrzenia.

— Czy to pan pisał? — powtórzył głośniejszym pytaniem Korymowicz.

— Abo co?

Na to rozgniewany już do żywego dziedzic, zawołał takim głosem, że aż szyby w oknach zadrgały:

— Odpowiadaj u kroćset djabłów, czy to tyś pisał?

Łuczyk pobladł jeszcze bardziej i drżącymi ustami wyszeptał:

— Ta niby... ja.

— Co to znaczy »ta niby... ja« — grzmiał rozgniewany pan — ja pytam, czy pan to pisał, czy nie pan? A nie, czy »niby to« pan pisał. — No, powiedz raz, kto to pisał?

— Ja pisałem.

— Pocoś pisał takie kłamstwa, takie oszczerstwa? — rzekł pan Antoni łagodnym ale smutnym i złamanym głosem. — Czyś pan miał sumienie rzucać takie kalumnie na uczciwą, ubogą panienkę?

Ten łagodny i przybity głos pana Korymowicza wywarł na Łuczyku zupełnie niespodziewane wrażenie, nie rozczulił go, nie skruszył, przeciwnie pobudził go do dawnego wrodzonego mu zuchwalstwa. Postąpił od drzwi krok naprzód i patrząc impertynencko w oczy panu Antoniemu, ochryplym głosem zawołał:

— Ouwa! Wielka osoba guwernantka!... Nic zresztą nie kłamałem, chciałem jej łaskę zrobić, lepiej być

przecie żoną profesora gimnazjalnego, niż obywatelską utrzymanką.

Ostatnie słowo, było iskrą rzuconą na prochy... Wybuch nastąpił okropny, straszny. Pan Antoni zerwał się z krzesła i, wyprostowawszy się, w całej swej nadludzkiej prawie wysokości, patrzył na Łuczyka jak lew, na jakieś nikczemne stworzenie, które śmie mu w drogę wejść; oczy jego sypały już nie iskry, ale płomienie, siwiejące wąsy najerzyły się jak u rysia, białe zęby błyskały, jak kły dzika. Z gniewu straszego nie mógł słowa przemówić, tylko taki straszny i potężny, zbliżał się krok za krokiem do przestraszonego Łuczyka i mogło się być zdawać, że zdepcze go, zetrze na proch i nie pozostanie ani śladu po tym pigmejczyku.

Łuczyk z przerażenia stracił przytomność; dygocząc jak liść osiki, patrzył nań, jak spogląda przestraszone zwierzę na swego pogromcę, zbliżającego się z rzemieniem w rękę... Nagle, gdy pan Antoni był już tylko o krok od niego, Łuczyk padł jak długi na ziemię i, czołgając się u nóg groźnego pana, wołał błagalnym głosem:

— Jaśnie panie! Przebacz! Daruj! Nie zapamiętaj! Jaśnie panie, ja winien.

Korymowicz zatrzymał się, czuł, że na widok tej czołgającej się u jego stóp podłej istoty, gniew go zupełnie opuścił, odtrącił go tylko nogą, gdy chciał go obejmować za kolana, i zawołał do Polkiewicza, stojącego w drzwiach:

— Podnieś tego kpa z ziemi... Tfu! Myślałem, że gadzina, a to małpa.

A gdy przy pomocy rządcy Łuczyk znalazł się znowu w prostopadłej pozycji, pan Antoni rzekł doń całkiem spokojnie:

— Panie Łuczyk, pan jesteś kłamca i... szubrawiec... Pan musisz skończyć w kryminale... Ale idź pan na cu-

dze ręce, ja swoich na panu brudzić nie myślę... Bądź pan drów!

Pożegnał go kiwnięciem głowy, a później, zwróciwszy się do Polkiewicza, dodał:

— Wedle dyspozycyi wypłacić pieniądze i odwieźć zaraz panicza, żeby mi tu jego noga nie powstała więcej!

— Wedle rozkazu wielmożnego pana! — odpowiedział rządcą i w największej radości zabrał delikwenta do oficyny.

Za jakie pięć minut do uszu pana Antoniego doleciał turkot wózka, unoszącego pana Łuczyka z kołmierskiego dziedzińca.

— No, ta psiakrew pójdzie wysoko! — szepnął sam do siebie pan Antoni — Faitel się będę nazywał, nie Korymowicz, jeżeli ten chłopczyśko potrafi uniknąć szubienicy... Br... br! co za nikczemna bestya.

Sapał jeszcze z zawziętości i przebytego gwałtownego ataku gniewu, ale rad był, że się pohamował i postanowił w duszy posłać na mszę do ormiańskiego kościoła w Stanisławowie, z dziękczynieniem, że mu Bóg udzielił władzy zapanowania nad największą wadą... Dla Polkiewicza zaś przeznaczył w myśli darować jałoweczkę szwajcarskiej krowy zato, że go w strasznem uniesieniu mitygował.

Czuł jednak, że sprawa nie skończona, że najcięższe przejścia czekają go jeszcze. Największą obawę miał przed rozmową z panną Wandą i synem. Nie lubił nigdy okpiwać sam siebie i wskutek tego rozumiał doskonale, że ubogiej sierocie stała się w jego domu ciężka krzywda, przypuszczał, że jedyną rekompensatą mogło być wydanie jej za Samuela, jednak nie miał najmniejszego pojęcia czy on ją kocha, czy pragnie tego?... czy w rzeczy samej, w plotce, ukutej przez Łuczyka, jest choć cokolwiek prawdy, czy beczelne kłamstwo, li tylko z palca wysane!

Był człowiekiem realnie na świat patrzącym, praktycznym i w dawnych formułkach towarzyskich zasklepionym, więc myśl żenienia syna z zupełnie ubogą nauczycielką nie uśmiechała mu się zupełnie; z drugiej jednak strony był do szpiku uczciwym człowiekiem, wiedział, że bądź co bądź krzywda została wyrządzoną, więc należało ją naprawić, wynagrodzić, jakim bądź kosztem. Wreszcie Ordonównę wysoko poważał i lubił, jak gdyby do rodziny należała.

Nałożył więc do fajki tytoniu, zapalił i, puszczając gęste kłęby dymu, z orientalną powagą i spokojem rozważał, co mu uczynić należało. Zrozumiał odrazu, że nasamprzód musi się rozmówić z synem... A przed tą rozmową uczuwał jakąś nieokreśloną obawę. Kochał syna i dogadzał mu nawet, ale w głębi duszy czuł, że od chwili swego powtórnego ożenienia, nigdy z nim tak nie był zbliżony, żeby się mogli bez słów rozumieć... Coś między nimi tkwiło, jakaś niewidzialna przegroda, którą czuł, ale której nawet nie chciał usuwać... Teraz pojął, że trzeba raz zupełnie szczerze i otwarcie się rozmówić, wobec konieczności nie miał zwyczaju się cofać... Już miał zadzwonić na Wojciecha, żeby wezwał Samuela do kancelaryi, gdy nagle drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Alfred.

Powitał go jak zbawcę; znał go z tej strony, że do rady jest wyśmienity, spokojny, chłodny, głęboko nad wszystkim zastanawiający się, może trochę zimny, ale prawy... To też pan Antoni postanowił, zanim coś zdecyduje, poradzić się Alfreda.

— Cóż tam słyhać? — zapytał wchodzącego.

— Powiadam stryjowi, awantura babilońska — odrzekł uśmiechając się swobodnie.

— Powiedz, może mam tam iść do nich?

— Eh, tego nikt nie wymaga. Lepiej, że oni bez stryja się rozmówili.

Pan Antoni słuchał tych słów z niepokojem i obawą... To też wnet zapytał o bliższe szczegóły:

— O jakiej ty rozmowie mówisz?... Kto z kim rozmawiał?

— No, naturalnie Samuel z panną Wandą.

Korymowicz aż podskoczył na krześle i z największą ciekawością zapytał:

— Cóż on jej mówił?

— Cóż jej miał powiedzieć... Oświadczył się, ale ona nie chce słyszeć... Gwałtem dziś zaraz chce jechać do klasztoru... Samuel zemdłał, teraz lata po oficynie, chciał pędzić za Łuczykiem, aby mu w łeb strzelić... Ale to się wszystko ułoży.

— Mój kochany ratuj, radź — zawołał pan Antoni, chwytając się za głowę — mnie już w tym wirwarze moja stara głowa pęka... Co z nimi robić? Powiadasz, że się jej oświadczył, a ona nie chce? Co? Opowiadaj, jak to było... Oświadczył się bez mej wiedzy, bez ojcowskiego pozwolenia.

Na to pan Alfred najspokojniej usiadł obok stryja na drugim fotelu, zapalił wydobyty z własnej puszkę egipski papieros, i rzekł poważnym głosem:

— Różne są usposobienia: są ludzie, którzy tak lubią dramaty, że je sobie sami w życiu sztucznie tworzą... Samuel do takich należy. Nic mu się nie dziwię, że mu się Wanda podobała, bo i mnie się ona podobała, mógłbym się o nią z taką samą racyą starać, jak się staram o pannę Uniską.

— Co ty powiadasz? — zawołał stryj radośnie. — Zdaje mi się, żeś tu przeholował, przecież Uniska obywatelka, a Ordonówna guwernantka.

— Ale może być i na odwrót — odpowiedział pan Alfred — może Uniski stracić fortunę do reszty i wówczas córka musiałaby pójść na nauczycielkę, jeżeli potrafi uczyć dzieci, a z drugiej strony, może na Wandę

spaść jakaś niespodziana sukcesya i ona stanie się obywatelką... Cóż pomiędzy niemi za różnica?

Pan Antoni, słuchając tego rozumowania, zadumał się głęboko, a gdy Alfred skończył, rzekł doń spokojnie:

— Mówisz rozsądnie, ale mimo to z Wandą byś się nie ożenił.

— Przeciwnie, gdybym był ją wcześniej poznał, to kto wie?... Zresztą Uniska ma lepsze stosunki, wyższe koligacye, a ja mam tę wielką śmieszność, że mi to smakuje.

— Więc pozwolić mu się z nią żenić?

— Jeżeli tylko ona zgodzi się zań wyjść — odparł śmiejąc się wesoło młody człowiek.

Swobodny ton słów Alfreda i jego racjonalne dowodzenie, podziały bardzo uspakajająco na zdenerwowanego stryja, to też rozjaśniło się trochę zasępione oblicze, wstał z fotelu, przeszedł się kilka razy po pokoju i zbliżywszy się do Alfreda, poklepał go ręką po ramieniu, mówiąc:

— Nadzwyczajnie masz szczęśliwy temperament... Zazdroszczę ci go!... Opowiedzże mi bliżej, jak się to wszystko odbyło?

— Jak zawsze się odbywają takie sceny dramatyczne... Samuel już wiedział o wszystkim od Wojciecha, panna Wanda myśląc, że o całej awanturze nikt nie wie oprócz stryjostwa, wyszła do herbaty, wtenczas on przy nas, rozkładając rozpaczliwie ręce, ze łzami w oczach powiedział jej, że ją kocha nad życie, prosił, żeby go nie czyniła nieszczęśliwym, żeby mu nie odbierała nadziei.

— Cóż ona na to?

— Nic! Zrazu się rozczuliła, także miała wilgotne oczy, także z trudnością mogła odetchnąć, ale ostatecznie powiedziała, że musi jechać do klasztoru i nigdy nie zgodzi się na to, by niepożądana wchodziła do bogatej rodziny.

— Porządna dziewczyna — szepnął stary Korymowicz. — Cóż Samuel?

— Wysłuchał, westchnął dramatycznie, powiedział jej, że spokoju nie zazna tak długo, aż zdobędzie jej serce i wybiegł jak waryat do oficyny... Ona chcejechać zaraz do klasztoru.

— Ach! konie mi zamęczy, to opętanych dwanaście mil.

Na to, pocieszając stryja, rzekł Alfred:

— Niech się stryj nie kłopotuje tem, już obmyślałem, pójdą moje jukiery, które tu nie mają ruchu... dziś przed wieczorem będzie jeszcze w klasztorze, a jutro na południe wrócą; wyjdzie im to bardzo na zdrowie.

— Dziękuję ci.

— A teraz stryjaszku, proszę iść pożegnać się z panną Wandą.

Pożegnanie odbyło się bardzo serdecznie... Małe dziewczątka spłakały się tak, że aż powieki ponabrzmiwały, pan Antoni także coś niewyraźnie mówił, bo miał łzy w oczach, pani Klementyna z niezwykłą u niej serdecznością, pocałowała pannę Wandę w czoło i życzyła jej najlepszego powodzenia w świecie. Samuela nie było; dopiero, gdy już konie zaszły i wszyscy gotową do drogi pannę Wandę wyprowadzili na ganek, zjawił się nagle i znowu przy rodzicach powiedział, że bez Wandy życia nie rozumie, że nie powinna pogardzić jego miłością.

Stary Korymowicz, gdy już konie ruszyły z przed ganku, rzekł na pożegnanie:

— Niech się pani tam uspokoi i wypocznie, po jakimś czasie my tam przyjedziemy.

Jukiery ruszyły szalonym kłusem z miejsca, bo wystawszy się dni kilka, rwały się do biegu, jak pijak do trunku. Gdy powozik, uwożący pannę Wandę, zniknął za bramą, Samuel zwrócił się do ojca z wyrzutem:

— Pocóżście ją puścili!... Ja ją tak kocham, że bez niej umrę. Nie rozumiem życia bez jej widoku.

— Zawsześ był postrzelony! — zawołał ojciec gniewnie — poco komedye wyrabiasz. To wczoraj jeszcze milczałeś jak ryba, a dziś wrzeszczysz, że żydy w miasteczku słyszą... Czemuż mi nigdy nie mówiłeś, żeś się w niej zakochał?

— Bo bałem się, że ojciec nie pozwoli.

— Toś dudek!

— To ojciec się zgadza? — zapytał, przechodząc odrazu z rozpaczliwego tonu do zupełnej wesołości.

— Powiadam ci uspokój się... Z waryatami nie lubię gadać... Chodź, poradzimy się z Alfredem, co robić z Kazikiem, tego błazna Łuczyka już wytransportowałem, trzeba natychmiast obmyśleć, gdzie chłopaka ulokować... Może Klimunia swoje zdanie wyrazi — zwrócił się do żony.

Pani Klementyna, wyprawivszy dzieci pod opieką panny Anny Składziejówny do parku, odrzekła z uprzejmym uśmiechem;

— Co do mnie, to przystanę z ochotą na ten projekt, jaki pan Alfred poda... Uważam go za człowieka tak dobrze wychowanego i rozumnego, że czułabym się najszcześliwszą, gdyby mój syn, choć w części był do niego podobny.

Wypowiedziawszy te pochlebne słowa, zwróciła się ku kancelaryi męża i tam rozpoczęła się poważna narada. Po godzinnej wyczerpującej dyskusyi, plan podany przez pana Alfreda przeszedł w całości; postanowiono natychmiast odwieźć Kazika do Chyrowa i tam go umieścić na lat kilka, później, gdy się nauczy dobrze mówić i pisać po polsku, obiecał Alfred wyrobić mu miejsce w Terezyanum. Na Samuela włożono obowiązek, żeby dziś jeszcze w nocy wybrał się w drogę i umieścił przyrodniego brata w zakładzie.

Przygotowania zrobiono jak najspieszniej, tak, że Samuel z Kazikiem jeszcze na wieczorny pociąg mogli wyjechać, również tego dnia odesłano małe Derkałowiczówny do domu i pan Donné hojnie obdarzony przez pana Antoniego opuścił dwór Kołomierski, udając się najętą furką do Stawny w gościnne progi pana Horbowicza.

Cisza zapanowała w Kołomierzu... Pan Antoni naradzał się z Alfredem jak ma postąpić z zamiarami syna.



Zaledwie jednak dwa dni minęło od wyjazdu panny Wandy, a już wieść się o tem rozniosła po okolicy. Dowiedzieli się o tem państwo Korymowiczowie z powodu niespodziewanej wizyty pana Kajetana Hadżibeya, rodzonego wuja Samuela...

Pan Hadżibey był typem Ormianina polskiego, który dziś już jest na wymarcu, bogaty, oszczędny, gospodarz, był człowiekiem prawie uczonym, mówił doskonale po łacinie, miał masę wiadomości z klasycznej literatury...

Przy tem ogromnie wysokie miał wyobrażenie o swem pochodzeniu, na pamięć umiał wyliczyć dwadzieścia cztery pokoleń swych przodków; z tego powodu pomiatał wprost ludźmi, którzy nie byli w stanie wykazać się tak dawnem drzewem genealogicznym... Pana Antoniego lubił, i zachowywał ze szwagrem serdeczne stosunki, tembardziej, że i druga żona pana Korymowicza była również jego krewną, bo z Hadżybejówny się rodziła... Mimo to rzadkim był gościem w Kołomierzu, bo dom własny najlepiej lubił, żył myślą o swej wysoko szlachetnej arabskiej stadninie i zwykle tylko na imieniny pana Antoniego zjeżdżał do Kołomierza. Gdy więc pan Antoni spostrzegł w bramie czwórkę wspaniałych, jak z puszczy wyprowadzonych arabskich klaczy pana Kajetana, domyślił się odrazu, że jakiś niezwykły interes sprowadza szwagra do jego domu.

Przywitali się serdecznie. Hadżibey wyświeżony, w śnieżnie białej bieliźnie i nieposzlakowanej czystości czarnym tużurku, choć znacznie starszy od Korymowicza, robił wrażenie młodego. Ten młodzieńczy wygląd uderzył pana Antoniego, zaczął więc rozmowę zapytaniem:

— Pan szwagier młodnieje mi z każdym rokiem.

— Z młodzieńczym też interesem przyjeżdżam — odrzekł, śmiejąc się wesoło gość — ale dlaczego ty masz tak skłapicerowaną minę?

— At zwykle kłopoty.

— Przecież ty już o kłopotach mówić nie powinieneś, na Kołomierzu siedzisz, a żydzi trąbią że masz ogromne kapitały.

— To bajka, ale niech mówią, to mi nic nie szkodzi. Lecz nie o pieniądze sprawy mi chodzi, mam inne zmartwienia.

Rozmawiali w przedpokoju, gdzie Wojciech z pietyzmem oczyszczał najdrobniejszy pyłek z ubrania wykwinowego gościa.

Pani domu poznawszy głos krewnego, wyszła również aż do przedpokoju.

— Ach to wuj Kajetan! — zawołała wesoło — do brze, że wujek przyjechał, to nam do rady familijnej jeden głos, i to bardzo ważny głos, przybędzie.

Hadżibey uśmiechnął się nieznacznie i trochę chytrze zapytał.

— Cóż tu u was nowego na tapecie, że aż rady familijne zwołujecie?

— Zwoływać, nie zwołujemy — rzekł gospodarz — ale gdyś tak szczęśliwie trafił to z przyjemnością poradzimy się ciebie.

— O cóż to chodzi?

Na to pani Klementyna, biorąc gościa pod ramię zaprowadziła go do zielonego saloniku i po drodze szepnęła mu:

— O Samuela.

— Ależ bo i ja przyjechałem w sprawie, która się najbardziej Samuela tyczy — zawołał głośno pan Kajetan. — Czy zastałem go w domu?

— Cóż to nowego? — zapytał z pewnym niepokojem pan Antoni.

A pani Klementyna w odpowiedzi na pytanie wuja odrzekła:

— Właśnie go niema, odwiózł mego Kazika do Chyrowa.

— To może i lepiej — zawyrokował gość — z wami spokojniej pomówię i całą rzecz przedłożę, jak mi została przedstawioną i powierzoną... Zróbcie, co uważacie za stosowne.

— Cóż to znowu nowego? — powtórzył pytanie gospodarz.

— Trochę cierpliwości — odrzekł Hadżibey i wyciągnąwszy ze srebrnej puszkii hawańskie cygareto, zapalił je z wielką punktualnością.

— Na tortury mnie szwagier bierzesz — molestował Korymowicz.

— A więc — rzekł, śmiejąc się gość — powiem odrazu. Wczoraj przyjechał do mnie Paweł Arvay, opowiadał mi niestworzone rzeczy o waszej nauczycielce, że romansowała z całym dworem...

— To kłamstwo! To oszczerstwo! — Zawołali równocześnie oboje państwo Korymowiczowie.

— Dajcież mi się wygadać! Jak mi będziecie przerywać, to nie skończę do wieczora... Więc mówił mi dalej, że Samuela zaplątała w jakiś straszny romans a kochała się w nauczycielu, że Samuel przychwycił ich na schadzce w parku, że nauczyciela tak obił, że go ledwie żywego wywieźli, a pannę zaś wysłaliście na pokutę do klasztoru.

— Same kłamstwa! — rzekł oburzony Korymowicz.

— Nie przerywaj mi — upominał pan Kajetan. — Otóż on, Arvay, szanując bardzo wasz dom i kochając ciebie, Antoni, chce was z tego nieszczęścia ratować i oświadcza, że gotów wydać swoją Niusienkę za Samuela, jeżeli da słowo, że się przestanie bałamucić.

— Niech ją sobie trzyma! — zawołał porywczos pan Korymowicz.

— Dawno wiedziałem, że oni do tego dążą — dodała pani domu.

— Powtarzam co mi powiedziec polecono... Nawet nie skończyłem jeszcze, Arvay w ciągu rozmowy powiedział mi wyraźnie, że córce daje okrągłe trzykroć sto tysięcy guldenów posagu.

— Ależ mój Kajciu — przerwał mu gniewnie Korymowicz — za kogo ty nas masz... Mój syn ma dzięki Bogu dość, ażeby się potrzebował tak drogo sprzedawać. Zresztą ty sam wiesz najlepiej, co to za Arvay. On taki Arvay, jak ja Bonaparte. Proste to Kozołupy były w Kutach, stary jeszcze nazywał się Artuch. A jak się dorobili, czy naszachrowali grosza, to sobie znaleźli jakiegoś biednego węgierskiego szlachcica, od niego kupili papiery i stąd ich Arvayostwo i herb i korona. Nie pozwolę nigdy!

Gdy Korymowicz to mówił, szwagier przypatrywał mu się z lekko drwiącym, ironicznym uśmiechem. Na ostatnie słowo odpowiedział.

— Gdyby takie zdanie wygłosił nieboszczyk twój brat, Kajetan, ożeniony z polską hrabianką, to bym się wcale nie dziwił, ależ ty zawsze chciałeś uchodzić za demokratę...

— Dlatego właśnie nie mam tego bałwochwalstwa dla pieniędzy, które między naszymi Ormianami tak się rozpanoszyło.

— Więc pozwolisz się żenić Samuelowi z waszą guwernantką?

— Pozwoliłbym, cóż kiedy go nie chce.

— Nie chce? Cóż nowego?

— No widzisz.

— To opowiedzciez mi całą historię, bo ja już nic na tym świecie nie rozumiem... guwernantka nie chce Korymowicza!

— Słyszę, zdaje mi się, kroki Alfreda — odpowiedział pan Antoni — on ci to najlepiej wytłumaczy, bo popiera Samuela.

— Zapewne, żeby go poniżyć — odpowiedział Hadżibey złośliwie, ale zdania nie mógł dokończyć, ponieważ w tej samej chwili wyświeżony i swobodny Alfred wszedł do saloniku.

Spostrzegłszy gościa, złożył mu pełen szacunku ukłon, czekając aż stryj przypomni go panu Kajetanowi, lecz Hadżibey nie czekał na ceremonię przedstawiania, tylko zerwał się z krzesła i podbiegłszy do młodego człowieka, brał go w objęcia i z emfazą wołał:

— Nie potrzebuje mi nikt ciebie przedstawiać.

— Myślałem, że mnie pan nie zna — szepnął zdziwiony trochę tą kordyalnością Alfred.

— Dziekiem cię widywałem gdyś tu do Kołomyrza z ojcem przyjeżdżał.

— Przepraszam, wyleciało to widać z mej pamięci.

— Wy młodzi zapominacie, ale my starzy lepiej pamiętamy. Z ojcem twoim byliśmy rówieśnicy, kole-dzy, najlepsi przyjaciele w pierwszej młodości.

Alfred kiwał głową potakując, choć naprawdę nic sobie pana Hadżibeya nie przypominał. On czując to mówił dalej:

— Później dalekośmy od siebie mieszkali, ale mimo to często widywaliśmy się; on, bywało, do mnie zajeżdża, ja do niego. Zawsze mi wybierał ogiery w Jaryczowie, bo z Julkiem w zażyłości był wielkiej. No chodźże do mnie, uściskaj starego przyjaciela swego

ojca, pocałuj że tu... tu... — i podstawił mu świeżo wygolony, lecz mimo to zmarszczkami i suchą skórą pokryty policzek. — Pocałujże krewnego, który zawsze o tobie z rozczuleniem myśli.

Alfred wedle wskazówek mu danych pocałował zmarszczony policzek pana Kajetana i po spełnieniu tego familijnego obowiązku usiadł, przysłuchując się rozmowie i badając pilnie ten nowy typ, nieznaną mu dotychczas.

Pan Antoni tymczasem, korzystając z obecności bratańca rozpoczął ponownie rozmowę na temat możliwości małżeństwa Samuela z panną Ordonówną. Alfred z ożywieniem opowiedział Hadżibeyowi, jak gorąco i prawdziwie jego kuzyn przywiązał się do ubogiej dziewczyny.

— Słowo panu daję — mówił z zapalem — że obawiałbym się o przyszłość Samuela, gdyby pragnieniom jego serca nie stało się zadość. Są ludzie na świecie, których zawód w pierwszej, prawdziwej miłości łamie raz na zawsze; tacy, później tylko wegetują niezdolni do żadnego czynu, ale żyć prawdziwie już nie potrafią, sił im do tego braknie, bo widocznie całą energię życiową pochłonęło to pierwsze, najsilniejsze uczucie.

— Nie spodziewałem się w tobie poznać takiego adwokata nierównych związków — szepnął pan Kajetan i popatrzył na Alfreda podejrzliwym wzrokiem.

On odczuł to spojrzenie i oburzyło go ono; w odpowiedzi nań z większym jeszcze zapalem dodał:

— Sam nie myślę inaczej się w życiu kierować. Mam najbardziej stanowczy zamiar ożenić się bez majątku i uważam, że panny bez posagu lub z małym tylko posagiem są zawsze lepszymi żonami, niż pyszniące się swemi pieniędzmi głośne herityery.

— Róbcie jak myślicie — odpowiedział Hadżibey — cóż mam odpowiedzieć Arvayom?

— Poczekajmy z tem na powrót Samuela — proponowała pani Klementyna.

— Niema co czekać! — zawyrokował pan Antoni — żeby nawet Samuel gwałtem chciał się z Arvayówną żenić, tobym mu na to nie pozwolił... Nie zniósłbym synowej cygańskiego rodu.

Pan Kajetan znowu uśmiechnął się trochę ironicznie, ale dla kontenansu zaprzeczył:

— No, na to dokumentu niema, żeby oni z cyganów pochodzili.

— Dokument nie potrzebny... Popatrz tylko na niego: istny cygan węgierski... A zresztą spytaj starej Rypsymy, ona jeszcze pamięta starego Artucha, dziada Pawłowego, jak miedziane kociołki w Kutach naprawiał, w których ormianie kozi łój wytapiali.

— Mniejsza z tem, stryjaszku — przerwał mu Alfred, bojąc się, żeby Korymowicz w zapale nie zdaleko się posunął — dziś wszystko jedno, Cygan, Węgier, Ormianin, Polak, Niemiec, ludzie są równi... różnicę stanowi wychowanie i nauka... Uważam jednak, że stryjenka ma zupełną rację, twierdząc, że w tej sprawie musi decydować sam Samuel, zostawmy więc sprawę w zawieszeniu aż do jego przyjazdu. On jutro powinien powrócić.

— W takim razie poczekam na niego — odpowiedział niechętnie pan Kajetan, i rozmowa przeszła na mniej drażliwe tory.

Po obiedzie zaproponował Hadżibey zbiorową wizytę do Przybyłowa »na preferansa«.

— Już rok mija, jak nie odwiedziłem Uniskiego, a on taki pocciwy, że był u mnie kilka razy, wybierzmy się wszyscy.

Pani Klementyna odmówiła, twierdząc, że ma tyle do czynienia w domowym gospodarstwie, a żeby go po wakacyjnym chaosie do ładu przyprowadzić, że panom

stanowczo towarzyszyć dziś nie może. Pojechali więc sami mężczyźni.

W Przybyłowie pan Antoni, a przedewszystkiem pan Kajetan z podziwem spostrzegli, że Alfreda przyjmowano bardzo serdecznie, jak dawno znanego, bardzo miłego gościa. Panna była rozpromieniona, pani serdeczna i w doskonałym humorze, a pan Uniski wyściskał obu Ormian, jakby ciotecznych braci.

— Będziemy mieli wesele — szepnął na ucho pan Antoni Hadżibeyowi — już po przyjęciu widzę, że Alfred dobije tu targu.

Takim samym szeptem odpowiedział na to pan Kajetan :

— Jeżeli to dojdzie do skutku, to Uniski może zawieźć taki krąg wosku, jak koło młyńskie, do Pana Jezusa w Zarwanicy, jako dziękczynną ofiarę.

— A przecież pan Alfred powiada, żeby się świetnie ożenił.

— Fiksacya!

Nie było czasu na dalsze poufne zwierzenia, bo Uniski wciągnął i starszych panów do ogólnej rozmowy, w której rej wodził Alfred, promieniejący szczęściem i wewnętrznym zadowoleniem...

Po półgodzinnej rozmowie, w której Alfred chcąc uprzedzić sąsiedzkie plotki, mogące dojść do Przybyłowa, opowiedział ze wszystkimi prawdziwymi szczegółami ostatnie wypadki, zaszłe w Kołomierzu, gospodarz zaproponował starszym panom partyjkę preferansa... Alfred został z paniami.

Pani Uniska, chociaż osoba bardzo dystyngowana i doskonale wychowana, nie była jednak zupełnie wolna od brzydkiej wady tak rozpowszechnionej pomiędzy córami Ewy — była trochę ciekawa. Toteż zaczęła się zwolna wypytywać o bliższe szczegóły i przyczynę tak nagłego wyjazdu panny Wandy.

Naturalnie, że Alfred z wielką stanowczością sprostował krążące po okolicy plotki i rzecz całą wystawił w prawdziwym świetle, złągodził tylko epizod z listem Łuczyka.

Pani Uniska, wysłuchawszy opowiadania pana Alfreda z uwagą, spytała:

— Cóż z tego będzie?

— A cóż być może innego — odpowiedział młody człowiek — jeżeli panna Wanda się zgodzi, to Samuel z nią ożeni się i będzie... bardzo szczęśliwy.

Na to milcząca dotychczas Jadwiga wtrąciła:

— O ile poznałam pannę Wandę, to wątpię, żeby przystała... Ona jest dumna i uboga, zapewne obawiała się, by rodzice jej męża nie wymawiali jej kiedyś w późniejszym życiu ubóstwa. To także przykre położenie...

Urwała nagle, nie skończywszy rozpoczętego zdania. Alfred spojrział na nią ze zdziwieniem i niemym wyrzutem; w jego nadzwyczaj spokojnych i zimnych oczach błysnął wyraz szczerego bólu, widocznie słowa panny Uniskiej sprawiły mu prawdziwą i głęboką przykrość. Po chwilowem milczeniu z wysiłkiem pewnym zdobył się na zapytanie:

— Dlaczego pani tak sądzi?

Panna, spuściwszy oczy, milczała; matka z niepokojem spoglądała to na córkę, to na młodego człowieka... Alfred z rosnącym zapałem mówił dalej:

— Czyż pani przypuszcza, że nam przedewszystkiem o pieniądze chodzi... Korymowicze od kilku pokoleń znani byli z tego, że żenili się bez wielkich posągów; brali żony nie dla pieniędzy...

— Ależ, panie, Jadwisia nic złego nie chciała powiedzieć — przerwała mu pani Uniska.

On nie zważał prawie na te słowa, lecz prawił bez przerwy dalej:

— Prawda, stryj Antoni, pierwszy raz, ożenił się bardzo bogato, i może bez przywiązania, ale drugi raz kierował się tylko sercem. Posag drugiej jego żony, był niczem wobec jego fortuny.

Panna Jadwiga z przyjemnością przypatrywała się ożywionej twarzy młodego człowieka, nagle śmiać się zaczęła wesoło:

— Dlaczego się pani ze mnie śmieje? — spytał pan Alfred podejrzliwie.

— Z prawdziwą przyjemnością powiem panu — odrzekła z figlarnym wyrazem twarzy — żem wygrała zakład z papą... o pana.

— Jakiż to zakład?

— Niech pan posłucha... Papa utrzymywał, że pan jest taki zimny Anglik, którego nic nie potrafi z równowagi wyprowadzić, nic nie zdoła poruszyć, a myśmy z mamą wynalazły sposób wprowadzenia pana wprost w gorączkowy stan... Bardzo się cieszę, żem się co do pana nie pomyliła.

Przerwała mowę nagle, zapanowało dość kłopotliwe milczenie. Alfred patrzył na nią z rozczuleniem i nieukrywanym zachwytem, ona oczu nie spuszczała; w jej wzroku widniała szczerść i otwartość. Pani Uniska, czując, że jej obecność krępuje córkę i młodego człowieka, powstała więc i, nie podając żadnego powodu, odeszła do drugiego pokoju. Młoda para pozostała bez świadków. Dopiero teraz p. Alfred zdobył się na odpowiedź; przemówił wzruszonym, przytłumionym głosem:

— Mogę zaręczyć pani, że się nigdy pani na mnie nie zawiedzie...

Panna milczała nie podnosząc oczu, on nie mógł na razie znaleźć słów, któreby wyraziły to, co się w jego duszy działo. Serca obojga głośno biły. Milczenie trwało kilka sekund, wreszcie Alfred, zły na siebie i na swe zmieszanie, przemówił:

— Panno Jadwigo!

Na jej ładną, zdrową twarz wystąpiły silne rumieńce, patrzyła nań zmieszonym trochę wzrokiem, ale zyczliwie się uśmiechała.

— Panno Jadwigo, to tak trudno powiedzieć, co się czuje, jeżeli się czuje prawdziwie... Czy doprawdy pani o mnie myślała.

Panna rumieniąc się jeszcze mocniej, wyszeptała ledwie dosłyszalnym głosem:

— Tak, myślałam... Często myślałam.

— I źle o mnie pani sądziła?

— Nie!... Nic złego o panu na myśl mi nie przychodziło.

— Dziękuję pani — rzekł z zapalem i nagle, jakby mu się usta rozwiązały, zaczął mówić płynnie i dobitnie:

— Dziękuję pani po tysiąc razy... Zdanie jakie pani ma o mnie, jest dziś dla mnie kwestyą życia i śmierci... Bo ja panią pokochałem całą duszą i błagam panią, żebyś raczyła zostać moją żoną.

Tu wstał nagle i zbliżył się do niej wzruszony, rozgorączkowany, drżący niepokojem, nic a nic nie podobny do zwykłego Alfreda, i niepewnym, przytłumionym głosem pytał:

— Czy pani potrafi dla mnie znaleźć w swem sercu choć trochę wzajemności. Czy mogę mieć choć cień nadziei na przyszłość.

Panna powstała także i z niezwykłą powagą i stanowczością odpowiedziała:

— Pan zasługuje na to, ażeby być z panem szczerą... Powiem prawdę... Gdym pierwszy raz pana poznała u nas, a pani Korymowiczowa powiedziała mamie, że pan myśli starać się o mnie, to odrazu powzięłam zamiar wyjść za pana... bo chciałam dopomóc w ten sposób moim rodzicom... Pan musi wiedzieć, że nam grozi ruina... Teraz... Teraz szczególnie, dziś, gdym pana bli-

żej poznała, gdy pan przedemną odchylił trochę zasłonę okrywającą pańską duszę, mam nadzieję, że będę dla pana przywiązaną i... kochającą towarzyszką życia.

Alfred sam nie mógł się zorientować, co się z nim dzieje, słuchając słów prawej, szlachetnej dziewczyny, odradzał się duchowo, patrzył w jej piękne szafirowe oczy, a w jego wzroku malowała się i miłość bezgraniczna, i wdzięczność, i podziw. Tych kilka chwil i tych kilka szczerych słów wystarczyło, ażeby jego całą istotę przykuć na zawsze do jej wzniosłej i prawej duszy. Nie mógł się zdobyć w pierwszej chwili na odpowiedź słowami, tylko z prawdziwą czcią i wielką serdecznością ujął jej kształtną, białą rękę i pokrywał ją pocałunkami... Tak był wzruszony, że z trudnością zaledwie wyszeptał:

— Na całe życie... na całe życie.

Patrzyli sobie w oczy milcząc. Z drugiego pokoju, w którym panowie grali w karty dolatywał grzmiący głos Hadżibeya:

— *Totus na bez atu!*

— Chodźmy do papy — szepnęła panna.

— Chodźmy! — odpowiedział Alfred.

Ona weszła pierwsza, on za nią zmieszany trochę, pozbawiony zwykłej pewności siebie.

— Patrzcie, wykładam — wołał Hadżibey, spoglądając na swych partnerów wzrokiem Jowisza Olimpijskiego — dwadzieścia lat nie miałem takiej karty... To jakiś niezwykły dzień.

— Partya skończona — szepnął kwaśnym głosem pan Antoni — Kajcio nas dziś oporządził należycie.

W tej chwili panna Jadwiga zbliżając się do ojca z filuternym wyrazem oczu szepnęła:

— Biedny papa!... Przegrał w preferansa i przegrał papa także ze mną zakład.

— Jaki zakład? — spytał wesoło Uniski.

— Nie pamięta papa — zakład o pana Alfreda...

— Zapomniałem.

— O zakładach się nie zapomina, ojczulku... Przecież dni kilka temu papa utrzymywał, że pana Alfreda nic nie ~~doła~~ z jego spokojnego usposobienia wyprowadzić, ~~on~~ ma temperament angielsko-zimny i nic go nie ~~moży~~... Założyliśmy się o duże pudełko cukierków... Wygrałam nie jedno ale po sprawiedliwości pewno dziesięć... Niech papa drogi popatrzy na pana Alfreda to mi pewno przyzna słusność.

Młody człowiek stał wzruszony nie wiedząc sam co ma mówić.

— Co się stało Jadwisiu — zapytał pan Uniski.

Alfred w oka mgnieniu wrócił do przytomności i pochyliwszy głowę przed panem Uniskim rzekł:

— Panna Jadwiga upoważniła mnie prosić pana o jej rękę... Błagam, nie sprzeciwiajcie się memu szczęściu.

— Niech was Bóg błogosławi — zawołał ojciec Jadwigi, którego te oświadczyzny zaskoczyły tak niespodziewanie, że nawet nie przygotował sobie w myśli odpowiedniego przemówienia.

— Niech was Bóg błogosławi — powtórzyła uradowana pani Uniska, zjawiwszy się nagle w pokoju.

— Niech was Bóg błogosławi! — wyrzekł uroczystie za rodzicami pan Antoni, którego ta scena tak rozczuliła, że miał łzy w oczach.

— Niechże was Bóg błogosławi! — dokończył wreszcie Hadżibey — ale poczekajcie chwilkę, niech Tonio pulę rozrachuje, bo gotów rezultat mej wygranej przepłynąć się w tej uroczystej chwili błogosławieństwa...

— Zaraz obrachuję — odrzekł Korymowicz i zaczął obliczać preferansowe znaczki.

— A nie mówiłem, że to jakiś niezwykły dzień — szepnął pan Hadżibey — na codzień »totusy na bez atu« nie chodzą.

— Czemu on do mnie nie przyszedł — odrzekł śmiejąc się pan Antoni... — Uniski ma na pociechę zięcia, tyś wygrał partyę, a ja wszystko przegrałem.

— Może pan jeszcze wygrać synowę — szepnęła uśmiechając się Jadwiga — zrobiliśmy z panem Alfredem spisek na pana.

— Już!... Spisek! — zawołał z komicznym wyrazem twarzy Hadżibey — że ci Korymowiczowie muszą być jeden w drugiego pantofle... Ledwie się oświadczył, już daje sobą komenderować i pozwala się wciągać do spisków. Pantofel! Pantofel!

Na to panna Jadwiga przybierając całkiem poważny wyraz twarzy zaprotestowała:

— Bardzo pana przepraszam, ale zaręczyć mogę, że pan Alfred nigdy nie będzie pantoflem... Nie potrafiłabym szanować pantofla!

— Tak każda mówi przed ślubem!... Zobaczymy!

Dowcip pana Kajetana nie znalazł oddźwięku, nastroj był w całym towarzystwie podniosły i uroczysty... Pan Antoni z radością poznawał, że Alfred prawdziwie i serdecznie pokochał pannę Jadwigę i cieszył się swem odkryciem, tembardziej, że był prawie zupełnie pewny, że i panna przywiązała się do młodego człowieka. Robiło mu to tem większą rozkosz, bo sądził, że to on tych dwoje ludzi zbliżył do siebie i że jemu będą wdzięczni za swe szczęście.

Starym obyczajem podano zaraz butelkę omszałą starego węgryzna od antenatów, a pan Antoni w serdecznych wyrazach wzniosł zdrowie »zaswatanych«.

Rozpoczęła się teraz poufna, serdeczna pogawędka, w której panna Jadwiga dopięła swego celu i wy dobyła ze starego Korymowicza przyrzeczenie, że zezwoli na połączenie się Samuela z panną Wandą.

— Ależ ja nic nie mam przeciw temu — bronił się pan Antoni — zawsze tę dziewczynę bardzo lubiłem,

ale cóż robić kiedy panna nie chce. Przecież Samuś się oświadczył i odmówiła.

— Widzi pan — tłumaczyła mu Jadwiga — ona biedactwo nie wie, jakbyście ją przyjęli. Jest panną bez posagu.

— Niewarto o tem mówić — zawołał Alfred — Samuel będzie miał dość i dla siebie i dla żony.

Hadżibey z uwagą przysłuchiwał się rozmowie, ze zdumieniem spoglądał na Alfreda, a gdy ten skończył mówić, rzekł:

— Od przybytku głowa nie boli!

— Jak kogo — odpowiedział półgłosem młody człowiek — mnieby bolała, bo już z tem co mam rady sobie dać nie mogłem i upadałem ze zmęczenia.

— Boś ty wielki pan.

Pan Antoni bojąc się, żeby szwagier nie sprowadził rozmowy na niemiłe tory, zaczął dopytywać się pani Uniskiej o termin zaręczyn i ślubu.

— Ależ panie — broniła się zakłopotana matka — jeszcze nie mieliśmy czasu nawet pomyśleć o tem. To wszystko tak nagle się stało.

— Po ormiańsku łaskawa pani — pocieszał ją pan Korymowicz — my jesteśmy przede wszystkim praktycznym narodem i nie lubimy tracić czasu na konkury i narzeczeństwo.

— Ależ musimy o wyprawie pomyśleć.

Alfred z nieśmiałością przyłączył swoją gorącą prośbę do prośb stryja i ostatecznie uzyskał obietnicę, że zaręczyny uroczyste odbędą się w dniu patronki narzeczonej, to jest 15. października, a co do wyprawy, to panie przybyłowskie postanowiły w najbliższym czasie pojechać do Kołomierza i tam z panią Klementyną omówić tę sprawę.

— Żona pańska — mówiła pani Uniska — będzie dla nas wyrocznią... zna zwyczaje waszej rodziny. Zre-

szta cały świat podziwia jej praktyczność i rozum w gospodarstwie.

Zdanie to pochlebilo panu Antoniemu, to też z najszerszą serdecznością odpowiedział:

— Zanim panie potrafią się wybrać, to Klimusia tu przyjedzie starym obyczajem podziękować, żeście raczyli przyjąć Alfreda... bliższej krewnej on niema!

Mówiąc to, objął swym serdecznym, poczciwym wzrokiem dorodną, hożą postać młodej panny. Jadwiga, ubrana dziś w angielską, zgrabnie zrobioną suknię z białej flaneli, bardzo ładnie wyglądała. Pan Antoni, ciesząc się jej widokiem, rzekł, zwracając się do niej:

— A tymczasem ja dziękuję, serdecznie dziękuję pani, że chcesz uszczęśliwić mego bratanka.

Panna zarumieniała się jak zorza i podając staremu rękę, odrzekła:

— To ja dziękuję za łaskawe i serdeczne słowa... A z panią Klementyną już postanowimy o losie panny Wandy i pana Samuela... Z synem pańskim od dawna już byłam w wielkiej przyjaźni... Musi się z Wandą ożenić i być szczęśliwym.

— Patrzcie, jaka się zrobiła rezolutna — zawołał, śmiejąc się Uniski — że sama po słowie, to chciałyby, żeby cały świat się zenił.

— Taka już natura ludzka — rzekł sentencyjonalnie Hadżibey — ale to nam nie przeszkadza skończyć naszych rachunków z dzisiejszego preferansa.

Zasiedli więc znowu do stolika i dokładnie rozrachowali wygrane i przegrane, w czym już im nikt nie przeszkadzał; pan Kajetan wygrał dużo punktów, ale że gra była niska, więc pieniędzy zgarnął mało, nic go to jednak nie smuciło, ponieważ grał dla przyjemności, nie dla zysku.

Po sutej wieczerzy, która dziś Alfredowi smakowała, chociaż nie była nic lepiej przyrządzona, niż po-

przednie, podawane w domu państwa Uniskich, późno w nocy panowie wracali do Kołomierza, trochę rozmarzeni: starsi wybornem starem winem, Alfred swem szczęściem.

Przez drogę rozmawiali z ożywieniem. Pan Antoni serdecznym tonem rzekł do bratańca:

— Poznać cię dziś nie mogłem Fredku... Zmieniłeś się zupełnie.

— Jakaż zmiana zaszła we mnie?

— Przyznam ci się, że miałem cię zawsze za zimną rybę i przypuszczałem, że się chcesz żenić z Uniską dla jej nazwiska i koligacyi. Teraz z radością widzę, że to czynisz z prawdziwego przywiązania.

Pan Alfred, po chwilowym namyśle, odpowiedział:

— Nie mylił się stryj... Zrazu tak było rzeczywiście; wykombinowałem sobie, że to byłoby rozsądne i stosowne małżeństwo... ale gdym bliżej poznał niezwykłą szlachetną duszę i niepospolicity, nie dzisiejszy umysł panny Jadwigi, tak mnie jej czar podbił, że dziś Kocham ją nad życie.

— I będziesz z nią szczęśliwy, to zacna dziewczyna.

Hadżibey palił z amatorsztem doskonałe hawańskie cygaro, którem potraktował go na wyjeźdźnym Uniski, i z uwagą przysłuchiwał się rozmowie; gdy Alfred skończył, rzekł ironicznym tonem:

— *Finis Armeniae!* Jeden się ożeni z Uniską, drugi z Ordonówną. Arvayówna pójdzie za hrabiego Próznokieszeniowskiego... Tak jest, wściekle się polonizujemy i zdobywamy arystokratyczne stosunki.

Całą drogę później nie odezwał się już ani słowa, a nazajutrz po śniadaniu wyjechał.

Alfred także z całym dworem przeniósł się na kilka dni do Przybyłowa, a następnie miał wracać do Górnostawu, ażeby tam przygotować dom na przyjęcie młodej żony.

Samuel po powrocie z wycieczki do Chyrowa miał długą rozmowę z ojcem, wskutek której postanowiono w najbliższych dniach jechać do klasztoru, gdzie obiecał stary Korymowicz prosić matkę przełożoną, ażeby wpłynęła na pannę Wandę i skłoniła ją do oddania ręki Samuelowi.

O postanowieniu tem natychmiast dowiedziała się stara Mirkiewiczowa, wpadła w szaloną radość i bez ceremonii powiedziała panu Samuelowi:

— Twoje szczęście synku, żeś się na ten osobliwszy rozum zebrał. To dawno trzeba było zrobić i nie wypuszczać takiej złotej panienki z domu. Na dobre każdy łasy: gotowe ją zakonnice przyhołubić i nie wypuścić, ona wszędzie się przyda.

Małe panienki również dowiedziały się o blizkim wyjeździe ojca i brata do klasztoru; dla nich podróż ta miała podwójne znaczenie, bo chodziło raz o małżeństwo Samuela z Wandą, którą bardzo kochały, a powtórę o zamówienie dla Oli i Zuli miejsca w klasztorze. Rozmowom więc na ten temat nie było końca, a Ola z dumą powtarzała młodszym siostram:

— A ja mówiłam wam, że tak się musi skończyć.

Na to Zula odpowiedziała.

— Żeby tylko nie zapóźno!

— Nie bój się, nie bój — pocieszała ją starsza siostra — każda panna woli iść za męża, niż być zakonnice.

Mała Nela marzyła tylko o tem, jakie piosnki śpiewać będzie na weselu Samuela z panną Wandą.

Projekty się zmieniały co chwila, a przygotowania do tej podróży czyniono takie, jakby panowie mieli jechać do środkowej Afryki, co niepomiernie śmieszyło Alfreda, który często wpadał z Przybyłowa na godzinę do Kołomierza, i starał się ten wyjazd przyspieszyć.



XVI.

Na brzegu urwistego jaru podolskiego wznoszą się szare ruiny, pozostałość po sławnym warownym zamku; obok rozpadających się w gruzy ruin prawie połączony z niemi stał możnowładczy pałac. Pałac ten z biegiem lat przeszedł w posiadanie szlacheckiej rodziny; nowi właściciele nie chcieli mieszkać w pałacu, założyli swe gniazdo w dworku, położonym w sąsiedniej wiosce, a stary gmach stał pustkami i byłby go nie miął los jego przodka, obronnego zamczyska, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności.

Opatrzność inny cel mu przeznaczyła.

W początkach drugiej połowy wieku dziewiętnastego zesłał Bóg niewiastę natchnioną, której dał zlecenie odbudowywać ruiny, jakie powstały w rodzinach, ona to miała wychować nowe pokolenie, cały zastęp żon i matek, mających się stać narzędziem odrodzenia moralnego całego pogrążonego w letargu duchowym społeczeństwa. Mało znana światu, lecz genialna i zesłana przez niebo mądra a pokorna sługa Boża, nadludzkimi wysiłkami zakłada Zgromadzenie zakonne, buduje klasztor i rozpoczyna wielkie dzieło wychowania kobiet na zupełnie nowych podstawach.

Pobożny szlachcic ofiaruje tej wysłanniczce niebios niepotrzebny mu zupełnie pałac. I chylący się do ruiny gmach dźwignęła z upadku energia tej matrony, i stał

się on pierwszym gniazdem zgromadzenia, którego dzieje będą zarazem dziejami odrodzenia i uzdrowienia rodzinnego życia w całym kraju.

Klasztor stał się ogniskiem dla tych wszystkich, którzy pragnęli, by kobieta, zepsuta i wypaczona francuskimi wpływami z końca ośmnastego i początku dziewiętnastego stulecia, powróciła do dawnej tradycyjnej cnoty i obowiązkowości.

W tym to zakładzie wychowawczym kształciła się Wanda Ordonówna przez lat ośm. Zbiedzona i przybita przykrościami, jakie ją spotkały w ostatnich czasach, zapragnęła zasięgnąć rady matki przełożonej, jak ma postąpić i co ma w życiu dalej robić.

Jechała w te poważne drogie mury z takim samym uczuciem, z jakim spieszyły niegdyś tłumy pielgrzymów do Ziemi Świętej, czuła, że tam znajdzie oparcie, opiekę i radę najmędrszą. Serce jej biło ze wzruszenia, gdy nad wieczorem z góry ujrzała rozścielające się u jej stóp ubogie miasteczko, a po przeciwnej stronie, na skalistym urwisku, szare rozpadające się w gruzy ruiny starożytnej twierdzy i strome dachy nad białymi murami odnowionego klasztoru. Zachodzące słońce płonęło w olbrzymich oknach tego ukochanego gmachu. Rano jeszcze pogrążona w zwątpieniu, pozbawiona ufności, teraz śmiało patrzyła w przyszłość i była pewna, że jej dalszym losem zaopiekuje się mądra i potężna istota.

Wybiegane Alfredowe jukiery lotem strzały niosły lekki powozik przez kręte uliczki miasteczka i zamyślona dziewczyna, nie oglądnięta się nawet, jak nieprzywykły do ciszy klasztornej furman górnostawski z hukiem »po kawalersku« minąwszy ciasne bramy starego zamczyska, zajechał przed cichą furtę klasztorną.

Panna Wanda wysiadła i ujęła za drewnianą rączkę dzwonka, tymczasem stróż klasztorny, mieszkający obok furty w milczeniu zdejmował jej podróżny kuferek. Na

odgłos dzwonka otworzyło się zakratowane okienko, a po chwili w niskich żelaznych drzwiach ukazała się poczciwa twarz »niebieskiej« siostry furtyanki ze słowami.

— »Niech będzie pochwalony« — siostra Antonina odrazu poznała Wandę i uśmiechnąwszy się przyjaźnie, zawołała:

— Witamy, witamy kochaną panienkę... Siostry spodziewały się jej przybycia... Zaraz, zaraz panienka wejdzie.

Za chwilę młoda dziewczyna znalazła się na dziedzińcu klasztornym. Zdawało się jej, że powraca w progi domu rodzinnego; umyślnie na drogę przywdziała była ciemno-granatową suknię tego samego koloru, co mundurki noszone przez pensyonarki, doznawała zupełnego złudzenia, że po długich wakacjach »na świecie« wracała do dawnych obowiązków.

Zwróciwszy się z uprzejmym ukłonem do siostry Antoniny, zapytała:

— Czy mateczka jest obecnie w klasztorze?

— Jest i jeszcze zabawi tu kilka tygodni... Teraz właśnie i panienki są w kaplicy na »błogosławieństwie«, może panienka tam pójdzie.

Ordonówna skinęła głową potakująco i skierowała się w stronę kaplicy; przewodnika nie potrzebowała, znała tu doskonale każdy kamień i każdy zakątek.

Siostra furtyanka podbiegła za nią i szepnęła:

— Niech panienka idzie do *oratorium*, a ja pójde matkę uwiadomić o jej przyjeździe.

— Dziękuję kochanej siostrze — szepnęła Wanda i weszła w główne drzwi wspaniałego sklepionego korytarza.

Szła po ogromnych kamiennych schodach, zadumana, jakby we śnie pogrążona. Nie zastanawiała się dokąd idzie i nie zwracała uwagi na otaczające ją przedmioty; ruch jej był zupełnie mimowolny, prawie bez-

wiedny. Kierowała się dawnym przyzwyczajeniem. Stawiając na górze, pochyliła głowę przed brązową statuettką świętego Piotra i przyłożyła usta do wytartej od pocałunków stopy świętego Apostoła. Za chwilę weszła do *oratorium*. Uklękła i zaczęła się gorąco modlić.

Dziwnego doznawała wrażenia: modlitwa unosiła ją na swych skrzydłach wysoko, a proza życia odbiegła daleko od jej umysłu... W miarę, jak słuchała cudownej muzyki klasztorного organu i ślicznego śpiewu litanii, której nuta przerobiona z »preludium« Szopena zawsze niezwykle na nią działała, duch jej łączył się z obecnymi w kaplicy zamodlonemi siostrami i dziećmi. Wpadała w niezwykłą ekstazę. Słowa modlitwy balsamem kojącym spływały na jej zbolące serce. Tymczasem dzwieczny, świeży, silny, kontraltowy głos śpiewał na chórze:

Salus infirmorum,
 Consolatrix affictorum,
 Regina angelorum.

Jakiś dawny zapomniany świat otaczać ją zaczynał; czuła, że duchowe węzły, łączące ją z całym tem świętobliwym zgromadzeniem odnowiły się i z dziwną siłą pociągają ją ku niemu. Z rozkoszą w sercu klęczała zasłuchana w pobożne słowa litanii, wołając z duszy całej:

Christe, audi nos!
 Christe, exaudi nos!

Śpiew ustał, nabożeństwo się skończyło, ona, porażona w modlitwie ciągle klęczała na progu, dzieląc kaplicę od *oratorium* i byłaby tak rozmodlona przepędziła długie godziny jeszcze, gdyby nie zbliżyła się do niej była piękna młoda zakonnica, w białym habicie i długim zakonnym welonie, która dotknąwszy jej ramienia, rzekła:

— Wstań moje dziecko, mateczka czeka cię w *parlatorium*.

Wstała i szła za białą postacią, nie przemówiwszy ani słowa — dusza jej została w kaplicy.

Znalazła się w dużym, jasnym, błękitnym *parlatorium*. Gościnny ten salon urządzony był z zakonną prostotą, lecz zarazem z wykwintem znamionującym ludzi wysokiej duchowej kultury; zdobiły go śliczne palmy i portret wielkiego papieża, Piusa IX... Tam oczekiwała ją matka przełożona.

Podeszła i milcząc pocałowała białą panią w rękę. Przełożona uśmiechnęła się do niej życzliwie i swobodnym, wesołym tonem przemówiła:

— Jak się masz, drogie dziecko?... Dawnośmy cię nie widziały.

Wanda z rozrzewnieniem przyciskała usta do białej, delikatnej ręki mateczki i tak była wzruszona, że nie mogła się zdobyć na słowo odpowiedzi. Wówczas przełożona, odczuwając jej niezwykły stan duszy, drugą ręką pogłaskała pochyloną główkę dziewczęcia i słodkim głosem zapytała:

— Moje dziecko, co cię tak bardzo dotknęło!... Masz jakieś zmartwienie?

Młoda dziewczyna podniosła głowę i jej oczy spotkały się z dziwnie przenikliwym, genialnym, a mimo to łagodnym spojrzeniem tej mądrej i dobrej istoty, która na nią patrzyła przez okulary w czarnej oprawie tak badawczo, że Wandzie się zdawało, iż to spojrzenie sięga do głębi jej skołatanej duszy.

— Masz jakie zmartwienie? — powtórzyła.

— Mam, mateczko! — szepnęła Ordonówna — mam ciężkie zmartwienie.

— Opowiedz mi je, może na to znajdziemy lekarstwo. Znam cię od dziecka, i jestem pewna, że nie mogłaś się znaleźć w położeniu... bez wyjścia.

— Właśnie przyjechałam prosić mateczkę o radę, o wskazówki, co mam właściwie z sobą począć.

Zakonnica, widząc jej smutek i łzy w oczach, do-
brotniwie uśmiechnęła się i rzekła: — Usiądź moje dzie-
cko i opowiedz mi o twych strapieniach.

Ordonówna z całą szczerością i otwartością zaczęła
opowiadać z najdrobniejszymi szczegółami całe swe ży-
cie w Kołomijskim dworze. Matka przełożona patrzyła
na nią ciągle z uwagą i od czasu do czasu rzuciła py-
tanie, gdy chciała dowiedzieć się o ważniejszych szcze-
gółach. Gdy Wanda skończyła swe opowiadanie rzekła
drżącym, wzruszonym głosem:

— Przyjechałam do mateczki prosić o przytułek,
o rekolekcyje, może Bóg da mi uczuć powołanie i już
tu między kochanymi siostrami zostanę do śmierci.

Na te słowa mateczka pomyślała chwilę i odpo-
wiedziała:

— Zdaje mi się, że ci Pan Bóg inną przeznacza
drogę życia.

— Tu mi będzie najlepiej.

Nagle przełożona, patrząc bystro na młodą dzie-
wczynę, zapytała:

— Powiedz mi dziecko najszczerzą prawdę, czy
ty kochasz młodego Korymowicza?

Zaskoczona tem niespodziewanem pytaniem Ordo-
nówna spłonęła gorącym rumieńcem i zmieszany, nie-
pewnym głosem odrzekła:

— Nie wiem, mateczko!

— Moje dziecko, gdyś tu u nas była, słynęłaś
z tego, żeś zawsze mówiła prawdę... wejdź w siebie, za-
stanów się, zbadaj twe serce i powiedz mi szczerą, naj-
szczerzą prawdę.

Rumieńce na obliczu młodej dziewczyny wzmogły
się jeszcze, kilkakrotnie przepłynęły obfitą falą po jej
pięknej twarzy, zanim zdołała odpowiedzieć:

— Na prawdę mateczko nie wiem, nigdy sobie nie
zadawałam tego pytania, a gdybym nawet go kochała,

to wszelkimi siłami starałabym się stłumić to niestosowne uczucie.

— To źlebyś zrobiła! Dlaczego masz taki zamiar?

— Bo jestem uboga, bezdomna sierota — zawołała wzburzonym, dumnym głosem — on jest ogromnie bogaty, a tego rodzaju różnice majątkowe nie zacierają się w życiu nigdy.

— Grzeszysz, moje dziecko, wracasz do tej samej wady, która cię całe życie prześladowuje. Mówiłam ci jeszcze w klasztorze, że tego rodzaju wygórowana ambicja, duma, jest po prostu pychą, jest grzechem ciężkim, a grzech nie może być początkiem i podstawą powołania zakonnego. My tu potrzebujemy pokory.

— Może mi Bóg ześle łaskę powołania — broniła się z zalem w głosie Wanda — będę się modlić, pościć, błagać Boga o powołanie.

— To także będzie grzechem. Przez cały czas pobytu twego u nas nieraz zastanawiałam się nad tobą i zdaje mi się, że powołania nie masz. Zresztą zostaniesz u nas jakiś czas, odbędziesz rekolekcje... Zobaczymy... Bóg sam zadecyduje.

Wanda znowu zaczęła całować ręce przełożonej, dziękując jej za jej łaskawość.

— Uspokój się moje dziecko — rzekła do niej czule mateczka. — Siostry zaprowadzą cię do przeznaczonego dla ciebie pokoju... wejdź w siebie i zastanów się, że pierwszym naszym obowiązkiem pokorne poddanie się woli Bożej. Zresztą czyż to mniejsze dziś zadanie dla kobiety żyć w świecie, być dobrą żoną i matką, rozumną panią domu, niż zamknąć się w murach klasztoru. Ucieczkę tę pozostawmy dla tych, które mają zupełnie stałe i zdecydowane powołanie.

Minęło dni kilka, w których Wanda miała złudzenie, że znowu jest uczenicą, że wróciły szczęśliwe czasy szkolne. Rankami po mszy świętej odbywała lekcje

z małemi panienkami, później przepędzała czas z Siostrami i pensyonarkami w sali rekreacyjnej i w przeszli-
cznym ogrodzie klasztornym. Uspokoila się, wróciła do
równowagi i nawet nie spostrzegła, że była przedmio-
tem serdecznej troskliwości wszystkich zakonnice.

Wreszcie przełożona znalazła wolny czas i odbyła
z nią trzydniowe rekolekcyje, po których powiedziała jej
stanowczo:

— Wiem moje dziecko, że powołania nie masz,
tak jak go nigdy nie miałaś... Trzeba się zawsze z wolą
Bożą zgadzać.

Ordonówna powróciła do swych obowiązków, a że
kilka Sióstr nauczycielek było niezdrowych, więc mu-
siała je zastępować. Nie długo to jednak trwało; pe-
wnego poranku wezwała ją mateczka do siebie i rzekła:

— Otrzymałam list od pani Kórymowiczowej —
rozpacza wprost, żeś ją opuściła, prosi o miejsce dla
swych dwóch starszych dziewczynek w klasztorze... Wre-
szcie zapytuje, czy może z mężem i panem Samuelem
przyjechać, żeby się z tobą zobaczyć. Dodaje, że najgo-
rętszem pragnieniem ojca jest, żebyś się zgodziła wyjść
za jego syna, bo młody chłopak tęskni i od przytomno-
ści odchodzi. Cóż ty na to?

Rumieńce, które zawsze prześladowały Wandę,
znowu oblały jej twarz, oczy spuściła w ziemię i rzekła:

— Wiem, że powinnam się teraz zgodzić na tę
propozycyę, czuję, że pan Samuel nie jest mi obojętny,
bo ciągle mi brakuje jego towarzystwa, ale coś burzy
się we mnie na samą myśl, jak ja w ten dom wejść.

— To już mnie zostaw.

— Nawet nie wiem... gdzieby się mój ślub odbył.

— Moje kochane dziecko, uspokój się, pani War-
szecka, cioteczna siostra twego ojca, która nie mogła
się zająć tobą, gdyś była małą, zaopiekuje się teraz
tobą z ochotą, szczególnie — dodała ze smutnym tro-

chę uśmiechem — gdy się dowie, że wychodzisz za bogatego człowieka.

— Ależ to okropne, mameczko!

— Nie dziecko, to zwykłe, ludzkie... A co do wyprawy, to dziś ci mogę powiedzieć, że jeden z moźnych, wpływowych przyjaciół twego ojca złożył u nas dwa tysiące reńskich, ażebyś w razie możliwości zamążpójścia nie była w kłopotcie. O pieniądżach tych nic ci nie mówiłam, bo taka była wola tego dobrodzieja.

— Nie wiem, czy wypada mi przyjąć taką pomoc.

— Zapewniat cię, że możesz przyjąć, a później jeżeli w zyciu będziesz mogła bez uszczerbku własnej rodziny w ten sposób przyjść w pomoc innej jakiej ubogiej panience, to Bóg ci to wynagrodzi... Cóż mam odpisać pani Korymowiczowej?

— Niech przyjadą — szepnęła zawstydzona Ordonówna.

— To muszę równocześnie i do pani Warszeckiej napisać, ażeby tu przybyła i tu obmyślimy wszystko.

Wanda ucałowała rękę matki przełożonej, która dla niej okazała się lepszą, niż nie jedna rodzona matka, poszła pomodlić się do cichej, w tej chwili zupełnie próżnej kaplicy klasztornej. W jej wnętrzu panował półmrok, tylko wązkie smugi światła przedzierały się z okien za chórem, od strony ogrodu. Biały ołtarz o klasycznych kolumnach ze złoceniem widniał w migocących blaskach, rzucanych przez srebrną lampę o czerwonym płomieniu. W tem fantastycznym świetle wyraźnie rysował się biały marmurowy posąg Niepokalanej Dziewicy na błękitnem tle zagłębienia wielkiego ołtarza.

Całe otoczenie miało w sobie coś tajemniczego, prawie że mistycznego... Wokoło panowała cisza, spokój, wiał jakiś urok świętości... Zupełną ciszę przerywał tylko miarowy odgłos ruchu zegara, dochodzący z zakrystyi, i ledwie dosłyszalny świergot ptasząt z ogrodu

klasztornego... Całą atmosferę przepełniał silny zapach żywych kwiatów, zdobiących całe presbiterium.

Młoda dziewczyna z biciem serca uknęła w najciemniejszym kącie kaplicy nieopodal ołtarza i pograżyła się w długiej, serdecznej modlitwie.

Był to rachunek sumienia z całego życia, chwila zwycięstwa nad własną naturą, nad dumą zbyteczną a grzeszną, której się nigdy dotychczas pozbyć nie zdołała... dziś, w ekstazie tej nadziemskiej, wyrwała ją z korzeniem, karczowała doszczętnie, a na jej miejsce najtrudniejszą cnotę, pokorę chrześcijańską szczepiła.

W modlitwie i rozmyślaniach przetrwała tak długie godziny; straciła zupełnie rachunek czasu. W kaplicy zapanował już zupełny zmrok, tylko lampa wieczysta płonęła silniejszym światłem, a w blaskach tych posąg Matki Boskiej nabierał jakby rzeczywistego życia... Złudzenie było potężne.

Z zadumy tej obudził ją jakiś cichy odgłos kroków. Podniosła głowę i ujrzała białą zakonną postać, przesuającą się od drzwi *parlatorium* w głąb kaplicy... Rozmodlonej dziewczynie zdawało się, że to jakaś nadziemska, duchom równa istota płynie w powietrzu, nie dotykając stopami ziemi.

Biała postać przyknęła na chwilę i pograżyła się w modlitwie... Następnie zbliżyła się do niej, pytając łagodnym głosem:

— Co tu robisz tak długo, moje dziecko?

— Modliłam się mateczko.

— Już jest późno, dzwonią na wieczerzę, chodź ze mną, moja droga... A chwil tych, które w tej kaplicy dziś przepędziłaś na gorącej modlitwie, nie zapominaj nigdy w życiu.

Słów tych słuchała Wanda z najgłębszym przejęciem, idąc mimowolnie krok w krok za matką przełożoną, która wracała do *parlatorium*.

Gdy opuściły miejsce modlitwy, biała pani mówiła dalej głosem natchnionym :

— Moje dziecko, czeka cię wielkie zadanie w życiu... Jesteś Polką, córką człowieka, który życie, miennie, jednym słowem wszystko poniósł ojczyźnie w ofierze, zginął śmiercią bohaterską, jak na wiernego syna swego narodu przystało...

Młoda dziewczyna, słuchając słów tych, zalała się łzami i serce jej krajało się z żalu po straconym rodzicu, którego nie pamiętała prawie, ale też z uciechy rosła, że taką po sobie pamięć zostawił, to było jej najcenniejsze dziedzictwo.. Przełożona tymczasem mówiła dalej :

— Teraz ty wejdiesz do rodziny ormiańskiej, obcej nam, może zaledwie tylko językiem i zewnętrzną stroną życia codziennego złączonej z naszym społeczeństwem... Twojem zadaniem i świętym obowiązkiem jest : ażeby oni wszyscy, aby twoje dzieci w przyszłości, stały się krwią z krwi naszej, kością z naszej kości, aby się umysłem, sercem, duszą całą zespolić z narodem, wśród którego Bóg im żyć i pracować wspólnie przeznaczył... Nie zapomnij o tem, moje dziecko, nigdy... nigdy!

Słowa przełożonej klasztoru wpadały z siłą potężną wprost do głębi duszy rozrzuwnionej dziewczyny, przeniknęły ją na wskrós i zostały tam wyrte na zawsze. Patrzyła z uwielbieniem w natchnione oczy i odpowiedziała głosem pewnym a stanowczym :

— Przyrzekam najdroższa mateczko, że w każdym dniu, w każdej godzinie mego życia pamiętać będę o tem szczytnem zadaniu mego życia!

— Niech ci Bóg dopomaga, niech ci błogostawi, moje dziecko!

W cztery dni później przed południem kilka eleganckich powozów stanęło przed furtą klasztorną. Siostra Antonina z zakłopotaniem prawie przybiegła do przełożonej klasztoru anonsować licznych gości...

Przyniosła kart kilka: więc byli państwo Korymowiczowie z synem i małemi dziewczątkami, państwo Uniscy z córką, jej narzeczonym i wreszcie pani Warszucka, ongiś dość przystojna, dziś starzejąca się już elegantka, krewna Wandy. Matka przełożona kazała prosić wszystkich gości razem do *parlatorium*. Po drodze panna Jadwiga poważnie upomniała narzeczonego i Samuela, żeby któremu z nich nie przyszło przypadkiem na myśl zapalić papierosa w *parlatorium*, bo to jest uważane w klasztorze za występki.

Pan Antoni wstępował na szerokie schody z tem samym uczuciem, z jakim Arab zbliża się do grobu proroka w Mece. Pobożna jego dusza była przejęta uwielbieniem i podziwem dla istot, o świętości których nasłuchał się tyle i od Wandy i od kilku kuzynek żony, wychowanych w klasztorze... Nawet Alfred, zazwyczaj taki pewny siebie i z niczego sobie nic nie robiący, spuścił z tonu i w milczeniu postępował za narzeczoną.

Matka przełożona przyjęła gości w pierwszym *parlatorium* i robiła na Alfredzie wrażenie królowej, której poddani przyszli złożyć homagium. Wszyscy przywitali ją głębokim ukłonem, poczem pierwsi przystąpili Uniscy z córką. Pani Uniska pocałowała mateczkę w rękę, a panna Jadwiga przyklękła jak w świętem miejscu. Uniski w barwnej przemowie poprosił o błogostawieństwo dla swej córki.

— Chociaż nie długo gościła w waszych murach — mówił — jednak z rozkoszą te krótkie chwile wspomina i prosi, a my z nią, ażeby Przewielebna Matka raczyła jej pozwolić przed ślubem odbyć w klasztorze rekolekcyę.

Przełożona klasztoru ucałowała Jadwigę w czoło i powiedziała kilka uprzejmych słów do Alfreda.

Po Uniskich, pani Klementyna poprowadziła swe dwie małe dziewczynki i przedstawiła je mówiąc:

— Przywiozłam moje dwie starsze córeczki, żeby się przedstawiły i prosiły o łaskawe przyjęcie w przyszłości do zakładu na naukę.

Obie małe dziewczynki wykonały głęboki rewe-rans, ale, onieśmielone strojem »białej damy«, nie zdobyły się na przemówienie.

— Chodźcie bliżej, dziatki — rzekła łagodnie i zachęcająco przełożona — powiedzcie mi, czy miałybyście ochotę u nas pozostać?

— Prosimy, żebyśmy mogły zaraz zobaczyć pannę Wandę — odpowiedziały obie razem bez namysłu.

Tu zbliżył się pan Antoni i całując przełożoną klasztoru w rękę, rzekł:

— I ja taką samą prośbę przyłączę. Jestem gospodarz, prosty człowiek, na salonowe mowy zdobyć się nie mogę, to też po prostu owe prośby przedkładam.

— Ale proszę pana, bardzo proszę — odpowiedział zachęcająco uprzejmy głos matki przełożonej, spoglądając życzliwie na sympatyczną twarz Korymowicza:

— Proszę mi powiedzieć, o co chodzi?

— O prostą rzecz... mój syn, Samuel, pokochał pannę Wandę Ordonównę, wychowankę klasztoru. Więc w jego imieniu proszę o jej rękę.

— Zaraz każę ją tu samą zawołać.

Za kilka chwil weszła Wanda...

Małe dziewczątka, nie zważając na nic, wprost rzuciły się na nią, okrywając ją pocałunkami i broniły ją od uścisków pani Warszuckiej, która także chciała brać ją w objęcia i wołała raz po raz:

— Ach to droga Wanda, córka mego najzaczniejszego pułkownika, mego najbliższego i najbardziej kochanego kuzyna.

Matka przełożona ze smutnym uśmiechem patrzyła na najnowszą fazę przywiązania rodzinnego pani Warszuckiej, przypominała sobie doskonale, jak kilka razy

piślała do niej, prosząc o zaopiekowanie się dorastającą Ordonówną, lecz w zamian odbierała zimne, urzędowym stylem napisane odpowiedzi, że pokrewieństwo jest zbyt dalekie i ona niema żadnego obowiązku myśleć o dziewczynie, z rodziną której nie łączyły jej nigdy bliższe stosunki. Teraz chcąc przerwać niemiłą scenę zwróciła się do Wandy:

— Moje dziecko, pan Korymowicz zapytuje mnie, czy zgadzasz się zostać żoną jego syna, pana Samuela?

— Zgadzam się — odpowiedziała Wanda stanowczym głosem.

Samuel miał nieprzepartą ochotę okazać ukochanej dziewczynie swoją radość i szczęście, ale atmosfera klasztorna tak go onieśmieliła, że tylko zdołał wyszeptać:

— Dziękuję pani.

I spojrzął na pannę Wandę z wyrazem najgłębszej wdzięczności.

Pan Antoni, pani Klementyna, Uniscy, panna Jądwiga i Alfred, otoczyli dziewczynę kołem i na wysięgi to dziękowali, to życzyli jej szczęścia.

Nad wszystkimi tymi wylewami serdeczności zapanaował jednak trochę skrzeczący głos pani Warszuckiej, która, przeciskając się do swej kuzynki, wołała:

— Zanim oddam cię mężowi, teraz do mnie należysz, zabieram cię do siebie; to zaledwie kilka mil od Kołomierza, twój narzeczony będzie mógł nas często odwiedzać... Czy zgoda?

Wanda, otoczona ze wszech stron, nie była wprost w stanie odpowiedzieć na wszystkie zadawane jej pytania i zdania do niej wystosowane; oddawała uściski dłoni, rzucała urywane słowa na wszystkie strony, ale czuła, że ją ten chaos odurza, że traci znowu równowagę, do której w klasztorze była powróciła.

Matka przełożona, zaprosiwszy z całą wytworną staropolską gościnnością panie na obiad do drugiego

salonu, a oznajmiwszy panom, że ich czeka skromny posiłek u księdza kapelana za furta, wyszła, a w jej zastępstwie jedna ze starszych sióstr przyjmowała gości.

Wanda, zabrawszy ze sobą Jadwigę i dwie małe Korymowiczówny, które nie puszczały jej ręki, poszła żegnać się z siostrami i oprowadzić dzieci po pięknym ogrodzie i gmachu klasztornym, w którym miały kilka lat zamieszkać w przyszłości.

Po wykwinnym obiedzie goście opuścili mury klasztorne, uwożąc z sobą zamyśloną Ordonównę; wsiadła do powozu pani Warszawskiej, nie szczędzącej jej przesadnych serdeczności.

Znalazłszy się na przeciwnym brzegu jaru, z żalem pewnym rzuciła okiem na szare mury zamczyska i błyszczące w świetle zachodu okna klasztoru, gdzie tyle miłych i wzniosłych chwil spędziła — zrozumiała teraz, że płynęła ku nowemu, nieznanemu jej życiu, unoszona przez gwałtowny prąd, który ją porwał i pędził z sobą na dolę lub niedolę, bo taka była wola Boża.



XVII.



Jeżte zimy w karnawale odbyło się huczne wesele panny Jadwigi Uniskiej z Alfredem... A w dwa tygodnie później cichy ślub panny Wandy z Samuelem. Panna młoda stanowczo życzyła sobie, żeby ten uroczysty akt w jej życiu odbył się w Częstochowie, na co i rodzina jej narzeczonego z ochotą się zgodziła, bo dom pani Warszyckiej nie przypadł jakoś nikomu do smaku...

Młodzi państwo Samuelostwo mieli stale zamieszkać w Toczyskach, a że dom tam nie był jeszcze urządzony, więc wyjechali w towarzystwie państwa Alfredostwa na Południe, a tymczasem stara Mirkiewiczowa roztoczyła w Toczyskach swoje energiczne rządy i stała gniazdko dla swej ukochanej »panienki«.

W powrocie z poślubnej podróży zatrzymały się obie młode pary w Krakowie, bo pani Wanda ze wstydem przyznała się mężowi, że dotychczas zupełnie nie znała starej piastowskiej stolicy... Zwiedzili więc razem wszystkie pamiątki, co niewymownie nudziło Alfreda, to też stale wykręcał się od dalszych pozamiejskich wycieczek, mogących naruszyć zwykły porządek dnia. Pewnego więc popołudnia, państwo Samuelostwo wydostali się na mogiłę Kościuszki, a tymczasem Alfred z żoną poszedł na obiad do Saskiego hotelu.

Obok, przy drugim stoliku siedział jakiś pan o ce-
glastej cerze i kruczo czarnych włosach, przed nim stała

butelka próżna po czerwonym francuskim winie i porcelanowe naczynie, dość duże, pełne prawdziwej, węgierskiej papryki.

Jadwiga go spostrzegła, zwróciła nań mrugnięciem oka uwagę męża i rzekła przyciszonym głosem:

— Patrz, profesor Grabiec, jeden z rywali Samuela do ręki panny Wandy.

— Phi! Pyszna postać — mruknął Alfred — wygląda na starego kapitana artylerji.

— Służył w inżynierach rosyjskich.

— Na jedno wychodzi.

Tymczasem i profesor spostrzegł obecność Jadwigi i zdaleka przesłał jej ukłon. Pani Alfredowa jednak nie była wolną od powszechnej wady niewieściej — była ciekawą, ogromnie chciała się dowiedzieć, jak Grabiec znosi zawód miłosny, jakiego doznał w Kołomierzu. To też, podniósłszy się trochę, ukłoniła się profesorowi i uprzejmie rzekła:

— Witam pana profesora!... To pan nie poznaje dawnych dobrych znajomych?

Archeolog z niechęcią powstał z krzesła i, przeszedłszy kilka kroków, przywitał się z panią Jadwigą.

— Pan nie zna mego męża? — spytała uprzejmie, podając mu rękę na powitanie.

— Nie znam.

— A więc przedstawiam go panu... Alfred Korymowicz, od trzech miesięcy mój pan i małżonek.

— Słyszałem, słyszałem! W dziennikach czytałem także — mówił zaambarasowanym trochę głosem profesor, ściskając podarą mu dłoń sportmena.

— To widzę, że pan musi wiedzieć wszystko, co się w naszej okolicy zdarzyło — mówiła młoda pani.

— Tak jest. Panna Wanda poszła za Samuela.

— Tak! Ich ślub odbył się we dwa tygodnie po naszym. Dzięki temu byliśmy w Częstochowie... Samu-

elostwo są tu także, zwiedzają przy wiosennem słońcu okolice Krakowa.

Grabiec, usłyszawszy tę nowinę, zmieszał się trochę i chciał pożegnać młode małżeństwo, ale pani Jadwiga nie chciała nawet o tem słyszeć, zaprosiła profesora, ażeby usiadł obok nich, a gościnnie małżonek kazał podać butelkę szampańskiego wina na cześć uczonego współbiesiadnika... Ponieważ archeolog lubił wypić kieliszek zamrożonego »Moeta«, więc został i gawędził z dawną znajomą.

Z uciechą dowiedział się, że w jesieni pan Uniski, który wypuścił w dzierżawę Samuelowi Przybyłów, sąsiadujący o miedzę z Toczyskami, ma zamiar na stałe osiedlić się w Krakowie.

— To przybędzie nam nowy kolega — zawołał z radością profesor — i nie taki zazdrosny i nie taki niemiły, jak ten nieborak Schuster.

— Cóż z doktorem się dzieje?

— Sfiksował szwabisko do reszty; wydało się biedakowi, że to z powodu moich »intryg« panna Wanda nie chciała iść za niego... Czysty waryat!... Później ktoś mu doniósł, że wstąpiła do klasztoru.

— W rzeczy samej przepędziła tam parę tygodni.

— Otóż, gdy się o tem dowiedział, myśleliśmy, że pomieszania zmysłów dostanie; głośno krzyczał, że to nieszczęście z mej przyczyny się stało. Nic robić nie chciał, tylko po cmentarzach łąził i głośił, że gwałtem pannę z klasztoru odbije.

Pan Alfred, uśmiechając się wesoło, namawiał ciągle archeologa, żeby sobie usta odświeżył, rozumie się doskonałem winem. Profesor pił i opowiadał z rosnącym ożywieniem.

— Wreszcie, gdy dowiedział się o ślubie panny Ordonówny, to myśleliśmy że zginie z rozpaczy... Rozchorował się obłożnie, tak, żeśmy go wywieźli do Wie-

dnia, a teraz jest w jakimś zakładzie hydropatycznym dla uspokojenia nerwów i przebycia prawidłowej rekonwalescencji. Dziwny szwab!

— Żal mi go bardzo — rzekł poważnie Alfred — od chwili, w której poznałem i pokochałem moją żonę, mam serdeczne współczucie dla ludzi kochających bez wzajemności.

Pani Alfredowa z wyrazem bezgranicznej miłości i wdzięczności spojrzała na męża i uśmiechając się radośnie, zwróciła się do profesora:

— Widzi pan, jakiego mam kochającego męża, ale on w porównaniu do Samuela to istna bryła lodu... Tamten to dopiero żonę kocha.

— Ma co kochać! — mruknął uczony.

— A jak Wanda wyładniała.

— Zawsze była precudnie piękna — zawołał z odzieniem żalu w głosie profesor. — Ja teraz robię pomiary czaszek i kości, wykopanych w Kołomierzu. Do dziwnych rezultatów dochodzę; zdaje mi się, że odkryłem przodków dynastycznej szlachty polskiej; w takim razie teoria o podboju normandzkim upadłaby zupełnie, a mielibyśmy niezbite dowody, że możnowładcze rody szlachty pochodzą od słowiańskich władcyków z przedhistorycznej epoki brązowej.

Alfred słuchał uważnie; jego jako hodowcę, badającego początki ras koni, interesowała wszelka teoria traktująca o przedhistorycznych rasach, choćby ludzkich. Uczony dostrzegł to zainteresowanie i z zapałem prawił dalej.

— Zrobiwszy dokładne pomiary odkopanej czaszki królowny, zauważyłem, że jest ona kształtem zupełnie podobna do czaszki panny Ordonówny, o ile mogę ją sobie pod pokryciem mięśni, skóry i włosów wyobrazić.

— Ależ, pan jest straszny człowiek, panie profesorze! — zawołała ze zgorzeniem pani Alfredowa.

— Nauka jest bezlitosna — odparł profesor z powagą. — Gdybym tak mógł skutecznie pomiary szkieletu młodej pani Korymowiczowej, to kwestya byłaby rozwiązana.

Pani Jadwiga popatrzyła nań z przerażeniem, a jej mąż wybuchnął szalonym śmiechem.

Profesor patrzył na oboje ze zdumieniem; nie mógł zrozumieć, co właściwie na nich wywarło tak silne wrażenie, wreszcie dodał zmieszany głosem:

— Prawda, że to jest rzecz, jak na dziś, nie do przeprowadzenia.

— Ależ profesorze! — zawołał, dusząc się od śmiechu, młody małżonek — muszę przestrzedz Samuela, niechaj z żoną umyka z Krakowa, bo gotowicie mu ją zabrać do prosektoryum.

Na to profesor zrobił jeszcze bardziej zdumioną minę i rzekł:

— Nie myślałem przecież o robieniu pomiarów na żywej kobiecie, to by wreszcie do niczego pozytywnego nie doprowadziło, ale w razie śmierci, to możnaby oddać wielką usługę nauce.

Młoda pani wciąż ze zgrozą i mimowolnem obrzydzeniem spoglądała na zimnego archeologa, w którym, o ile się jej zdawało — sprawa nauki zabiła była wszelkie ludzkie, czulsze uczucia. Profesor to spostrzegł i zaczął się pospiesznie żegnać. Nikt go nie zatrzymywał.

Gdy opuścił ich towarzystwo, małżonkowie milczeli kilka długich chwil, wreszcie pani Jadwiga przemówiła pierwsza:

— Brr! Cóż za okropny człowiek!

— Oryginalny cudak — odpowiedział mąż.

— Ależ obrzydliwy, szkaradny, bez serca... I taka poczwara śmiała twierdzić, że Wandę kocha.

Alfred śmiał się ciągle, ubawiony nadzwyczajnie pomysłami uczonego dziwaka i zgorszeniem swej żony.

— Wiesz, że cała drzę z irytacji — wołała rozgniewana pani — każdy nerw drga we mnie z obrzydzenia... wprost wstrętny jest dla mnie ten człowiek... I to się nazywa miłość!... On przecież zapewnił papę, że bez Wandy żyć nie potrafi, a teraz chce jej kości mierzyć... Brr! Co za potwór!

Mąż śmiać się przestał, zaniepokojony trochę wzburzeniem młodej mężatki, popatrzył na nią spokojnym, poważnym wzrokiem, mówiąc:

— Uspokój się, moje dziecko!... Nic w tem niema straszego, to jest prawdziwy uczony, a oni w swej specjalności dochodzą do maniactwa. On widocznie zapomniał już o miłości do Wandy, a obchodzi go ona jedynie jako okaz antropologiczny.

— A daruję mu tę sławną uczoneść! Dla mnie jest wprost ohydny.

— To cieszę się bardzo zoneczko, że ja nie jestem uczonym.

— Och i ja się cieszę! — wykrzyknęła głośno młoda mężatka i obrzuciła swego męża pełnem miłości spojrzeniem.

On byłby ją z chęcią uściskał, ale w restauracji było dużo gości, spojrzał więc tylko na zegarek i rzekł ze smutkiem:

— Już po trzeciej! Musimy już dziś koniecznie te wizyty porobić... Te twoje ciotki i kuzynki, które mnie jeszcze nie znają, muszą ginać z ciekawości zobaczenia twego »dzikiego« męża... Ręczę, że wystawiają sobie nas, jak królowę Jadwigę z Jagiełłą.

Ten koncept rozśmieszył młodą mężatkę i usunął niemiłe wrażenie, jakie jej po rozmowie z profesorem Grabcem w duszy było zostało; popatrzyła figlarnie na męża i odrzekła:

— No to spieszmy się, niech wreszcie cioteczkom mego »azyatyckiego niedźwiedzia« pokażę. Chodźmy!

— Chodźmy! — powtórzył Alfred — niech raz się odbędzie ta pańszczyzna... Przyznam się, że mnie te »stosunki« nudzą, najlepiej mi, gdy jestem tylko z tobą.

Wyszli.

Przed hotelem czekała już »remiza«, którą miała jechać młoda para z wizytami.

— Dobrze, że się ta »powinność« dziś skończy — szepnęła Alfred, wsadzając żonę z troskliwością do karety.

— Jutro wyjedziemy?

— Zapewne dziś dopełnią Samuelostwo swego historyczno-patryotycznego wykształcenia — odpowiedział mąż — i zaraz jedziemy... Zabawimy przez tydzień w Kołomierzu i Przybyłowie, a później do domu... Do domu!... Rozumiesz Jadzuś, co to znaczy?

— Rozumiem! — szepnęła drżącym głosem. On ją objął, swą muskularną ręką do piersi przygarnął i serdecznie w czoło pocałował; ona lgnęła do mężowskiego serca, lecz szepnęła zawstydzonym głosem:

— Mąż niegrzeczny!... Ktoś może zobaczyć.

On śmiał się serdecznie, swobodnie.

Remiza zatrzymała się przed bramą pałacu, na której widniała arystokratyczna tarcza herbowa; Alfred wskazując ją, rzekł cicho do żony:

— Wiesz dziecinko, że już teraz nic mi to nie imponuje.



XVIII.

W stolicy powiatu, do którego należały Kołomierz i Przybyłów, odbywał się w wielką środę targ ogromny. Okoliczna szlachta, duchowieństwo, oficjaliści dworscy, nauczyciele ludowi, chłopci, gdzie kto żył spieszył do miasteczka zaopatrzyć się w zapasy świąteczne, ponieważ wieczorem rozpoczynały się żydowskie święta sklepy przez kilka dni miały być zamknięte.

W izbie szynkowej pana Chaskla Markusa, było już od rana pełno. Sławna na całą okolicę żydowska kapela, która cudów wytrwałości dokazywała na weselu i księdza Kałuskiego, rżnęła od ucha już od dziesiątej godziny rano, zbierając od rozczulonych muzyką słuchaczy »szóstki« i »ćwierćguldenówki«. Obok »wielkiego« stołu na pierwszym miejscu siedział z wielką powagą pan Horbowicz przed misą szczupaka »po żydowsku«, traktując kilku sąsiednich księży i szlachciców winem węgierskiem, z domu przywiezionem. Obok stołu kręcił się, wino nalewał i obsługiwał panom precudnie piękny chłopak, odziany w bogaty strój huculski, o którym sąsiedzi przebąkiwali, że był przebraną dziewczyną.

— Napij się kanonik jeszcze kieliszeczek — zachęcał Horbowicz jakiegoś dobrze wyglądającego księdza.

— Boję się, panie dobrodzieju!

— Nie mają jegomość czego się bać... To moje wino ze Stawny.

Tu zwrócił się do ślicznego chłopaka i rzekł:

— Hryć, powiedz ojcu duchownemu, czyśmy nie przywieźli z sobą ze Stawny dwadzieścia butelek.

— *Fej Bohu! prawda, pan didycz przywieźły!*

— A widzisz jegomość!

Ksiądz wychylił kieliszek i zaczął chwalić, że doskonałe. Horbowicz skinął na huculika i ten natychmiast znowu napełnił kieliszek... Następnie zawołał:

— Czubuk!

Chłopak, zwinny jak wiewiórka, podał mu fajkę, nałożoną prawdziwym tureckim tytoniem i wetknął weń kawałek »czyru«.

— Bo to widzisz kanonik dobrodziej — prawię Horbowicz, puszczając wonne kłęby dymu — z tem winem to było tak: Razu pewnego jadę do starego Hojtyńskiego, a mróz był kawalerski, myślę wstąpić do Chaskała zagrzać się. Jak mnie te żydóweczki, szelmy opadły, spokoju mi nie dają; »niech się wielmożny pan napije tokajera... *echter Tokajer Ausbruch*«. Dawaj powiadam. Podała mi... Popamiętałem to wino ze dwa tygodnie, czysta trucizna i na głowę i na żołądek, z przeproszeniem, od tego czasu zawsze wożę swoje wino, choć nie tokaj, ale nie trucizna... Hryć — zawołał Horbowicz — nalej no księdzu kanonikowi.

— Dalibóg, dziękuję panu dobrodziejowi.

— Eh! co tam kanoniku, czy to człowiek wie, czyje jutro? Napijmy się dziś.

I Hryć odkorkowywał butelkę po butelce.

Przy zielonym, ale kulawym stoliku w kącie izby siedział Szafirowicz i grał ferbla z respicyentem straży skarbowej, z kotrolorem podatkowym i z panem asse-sorem Brodkowskim. Młody Hojtyński i Łuczyk, zgraw-szy się już doszczętnie, stali przy stoliku i odgrywali smutną rolę »kibiców«, połykając ślinkę na widok zgar-tywanych przez Szafirowicza banknotów.

— Ten Szafirowicz, psia jego mać — szepnął Łuczyk do Hojtyńskiego — musi mieć jakiś sekret w palcach do tego ferbla.

— Ma szczęście! — odburknął rozzłoszczony Hojtyński.

— Patrzaj, znowu ściągnął kupkę.

— Zobaczysz, za kwadrans i tych oporzędzi i pójdzie do Kocowskiego; tam w sklepie są oficerowie o ułanów, to i tym da łupnia.

Tymczasem hałas jakiś wszczął się w izbie, Horbowicz wołał błagalnym głosem:

— Serce, kanoniku dobrodzieju! Dalibóg, nie puść! Jeszcze kieliszeczek!

Na to odpowiedział zagniewany już głos kanonika.

— Cóż to dobrodziej sobie myśli, że ja pijanica jakiś... Jeszcze kieliszeczek! jeszcze! jeszcze! dość tego!

— Ależ, serce kanoniku... Co wam to szkodzi... Wino dobre... ze Stawny.

— Co mi szkodzi? To, żem nie pijak, wypić kieliszek w dobrej kompanii wypiję, ale nie nad miarę.

— Ależ coś ksiądz wypił, trzy naparsteczki.

Mówiąc to, chwycił go za ręce i gwałtem zatrzymywał, ale kanonik był nieubłagany i wprost wyrwał mu się z rąk, wołając:

— Stu chłopów mam tu z parafii. Coby powiedzieli, jakby zobaczyli proboszcza pijanego? Zresztą mam robić sprawunki dla mojej »imości«... Bądź dobrodziej zdrów.

I wyszedł, a za jego przykładem wysunęli się i inni młodszy księża. Horbowicz został sam i ze złością zawołał za wychodzącymi:

— To ci plemię, smaruj go miodem a ono cuchnie dziegciem... Ja mu takie wino leję, a taki syn pić nie chce. Idźcież na złamanie karku!

Następnie oglądając się po »sali« i spostrzegłszy dwóch »kibiców«, kiwnął na nich palcem i zawołał:

— Hojtyński! a chodźno tu z tym twoim belfrem do mnie.

— Młodzieńcy się zbliżyli.

— Napijecie się dobrego wina?

— Napijemy się — odpowiedział z radością Łuczyk — choć wolałbym, tak coś mocniejszego... kieliszek koniaczku.

— Głupiś z koniaczkiem!... Jak ci dają wino, to pij i oblizuj się, bo dobre.

Młodzi ludzie zasiedli, Hryć napełnił kieliszki.

— Za pana dobrodziejca zdrowie! — przemówił Łuczyk, podnosząc w górę kieliszek.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! — odrzekł Horbowicz, śmiejąc się ironicznie i wnet zapytał: — Cóż ty Hojtyński z tym belfrem robić zamysłasz. Dziwię się, że twój stary chce go karmić i poić.

— Przygotowuje mnie do *Intelligenzprüfung* — odpowiedział skromnie zapytany.

— Galant będzie ta twoja inteligencya, której nabierzesz od Łuczyka, można ją będzie na wystawę do Paryża posłać.

— Co się pan z mojej inteligencji naśmiewasz! — zawołał z oburzeniem Łuczyk — pewno mam w głowie więcej niż dziesięć szlachciców.

Pan Horbowicz śmiał się tak, że aż za boki się trzymał i wskazując palcem Łuczyka, wołał:

— *Dywy, dywy małpa, taj szcze sia serdyt!*... Hej, Hryć, nalej jemu jeszcze kieliszek wina.

W tej chwili wpadł do izby szynkowej gospodarz, pan Chaskel, który dotychczas stał przed »handlem« i zapraszał gości do środka. Za nim dwie jego dorodne córki, Chajka i Sura czyli »Helena« i »Sabina«. Cała rodzina z zapałem zaczęła ścierać porozlewane wino i od tygodnia przynajmniej nie okurzone sprzęty... I przytem wołali:

— Goście! Goście! Jakie goście!

Za chwilę sama pani Ruchła Markusowa z wielką pompą wprowadziła do izby pana Kajetana Hadżibeya; pocmokując raz po raz, jakby po zjedzeniu czegoś bardzo smacznego, powtarzała bez przestanku.

— Jakie goście, jakie goście! Proszę jaśnie pana zająć godne siebie miejsce.

Pan Kajetan wyświeżony, świecący śnieżnej białości gorsem u koszuli, brylantowemi spinkami, złotym łańcuchem z brelokami, podnosił wysoko nogi obute w lśniące lakierowane trzewiki i stawiał je na ziemi tak uważnie i ostrożnie, jak gdyby obawiał się nastąpić na coś nieczystego. Na jego twarzy widniał wyraz pewnego zakłopotania, zdawać się mogło, że wstydził się wejść do tego brudnego »zakładu« śniadaniowego.

Pani Ruchła wołała ciągle zachęcającym głosem:

— Proszę jaśnie pana siadać! Proszę siadać za stołem koło wielmożnego pana Horbowicza... U nas niema żadnego prostactwa, same obywatelstwo i panowie urzędniki.

Hadżibey przewyciężył z trudnością wstręt wewnętrzny i, zbliżywszy się do stołu, podał rękę Horbowiczowi, witając go:

— Jakże się pan miewa?

— Ja jak zawsze zdrow, panie dobrodzieju!... Ale co to pana sąsiada do Chaskła sprowadza... Żydy aż powaryowały z wielkiego honoru.

— Zaraz sąsiadowi opowiem.

Mówiąc to oglądnał się wokoło i usiadł obok Horbowicza. — Tymczasem Hojtyński i Łuczyk, gdy zobaczyli taką wspianiałą personę, usunęli się dyskretnie i wrócili na nowo do stolika, przy którym Szafirowicz »obrabiał frajerów«.

Rozzłoszczony Łuczyk szepnął swemu przyjacielowi na ucho:

— Szewska pasya mnie bierze na tego jakiegoś wyzłoconego arystokratę; żeby nie on, to bylibyśmy wymańcili z dziesięć »srybła« od Horbunia... i możebyśmy się byli odegrali.

— Czort go bierz — mruknął Hojtyński — i z Horbowiczem trudno poradzić; już nalopał memu staremu »za« te sto guldenów, co mi dał przed Nowym Rokiem. To także świnia stara.

Pan Kajetan tymczasem, zapaliwszy hawańskie cygaro zaczął opowiadać Horbowiczowi z wielkopańską protekcyjonalną łaskawością:

— Potrzebuję kilka par wołów dokupić do wiosennych robót...

— Dostanie, dostanie! — przerwał mu Horbowicz.

— Wiem, że dostanie, dlatego przyjechałem, ale tam na targowicy taki tłok, takie błoto, że ani weź chodzić... Posłałem ekonoma z faktorem; jak co znajdą odpowiedniego, to mi tu mają przyprowadzić.

— To funta kłaków nie warto, sąsiedzie dobrodzieju. Dobrych wołów chłop z targowicy nie ruszy, a jeżeli co przyprowadzą, to pewno drancie.

— To nie kupię, a w ten motłoch nie polezę.

W tej chwili znowu wpadł pan Chaskiel zaaferywany nad wszelki wyraz, wołając:

— Proszę wielmożnych panów, jest nowina.

— Jaka? — spytał ciekawy Horbowicz.

— Jedzie przez nasze miasto młody dziedzic z Kołomierza, panicz Samuelko z żoną i ten drugi Korymowicz, graf z Górnostawu, co się z panienką z Przybyłowa ożenił.

— Gdzie?

— Kiedy?

— Skąd Chaskiel wie?

Posypały się więc natychmiast jak grad pytania; wszyscy zaczęli cisnąć się do okien, nawet opuszczony

przez partnerów Szafirowicz flegmatycznie zbliżył się do odchylonego okienka.

Na ulicy w tym czasie panował ścisk nie do opisanania; tłumy chłopów i żydów, rozmawiając raz po przyjacielsku, to kłócąc się na przemiany, zapychały całą szerokość publicznej drogi; stały gęsto wozy chłopskie, zaprzężone w konie i woły, bryczki księżowskie i »kawalerskie« wózki... Ruch i gwar dochodził do zenitu. Wiosenne słońce w południowej porze przygrzewało, jarmark dyszał ciężko niby wół w pracy, opary się nad nim podnosiły... Przekupnie krzyczeli, co im sił starczyło, zachwalając swój towar.

Wśród tego zwartego tłumu przeciskało się z trudnością duże otwarte »landau«, zaprzężone w cztery roste kołomierskie kasztany. Wewnątrz siedziały dwie młode mężatki, a na przeciw Alfred i Samuel. Tuż poza pierwszym powozem szła dorożka, mieszcząca »pana« Ignacego w towarzystwie panny służącej pani Alfredowej; pochód zamykał ogromny wóz, wyładowany olbrzymimi kuframi podróżnymi.

Powozy posuwały się noga za nogą, ledwie koła się mogły obracać. Wąsaty, dziarski mazur, woźnica, wołał co mu sił starczyło:

— Z drogi! z drogi! Dajcie przejechać. Auu! Auuu!

Dwóch żydków kołomierskich, faktorów handlu bydłem, poznawszy jadącego pana Samuela, chciało utrować drogę swemu młodemu dziedzicowi; przepychali się przez tłum, robiąc drogę licowym koniom; policyant miejski, ujrzawszy wspaniały zaprzęg, przyłączył się do faktorów i machając swą krótką, w skórzanej pochwie tkwiącą szablą, krzychał co mu głosu w piersi stało i starał się drogę oczyścić.

Obie młode pary, siedzące w powozie, widocznie doskonale się bawiły tem *intermezzem* w podróży, bo śmiały się wesoło.

Goście, zebrani w »śniadaniowym zakładzie« pana Chaskła, z ciekawością przypatrywali się przejeżdżającym. Hadżibey nawet chciał wyjść przywitać się z nimi, ale, ujrawszy wielki ścisk, poprzestał na roli widza; nawet próbował się kłaniać, ale nikt w powozie nie zwracał uwagi w stronę Chaskłowych okien.

Horbowicz, ujrawszy Wandę, zawołał głośno:

— Szczęście ma ten Samuel, w czepku się rodził, że taką śliczną żonę dostał.

— Prawda, że ładna — mruknął Hadżibey — ale za to bez grosza.

— Szkoda, że mego Francuza niema — mówił wesoło Horbowicz — niech by się na te śliczności choć napatrzył; powiadam wam, że Francuzisko choć stare, aż waryowało z miłości do niej.

— A cóż pan z hrancuzem zrobił? — zapytał zaciekawiony Łuczyk.

— Ehl zwąchał się z moją Michaliną, klucznicą, i wytrąbili do spółki przez zimę ze sto butelek wina, tom musiał oboje przepędzić... Francuz teraz w Kołomyi uczy delikatne żydówki dansu i elegancyi.

— Jest tu jeszcze jeden adorator młodej pani Korymowiczowej — zawołał, śmiejąc się, Hojtyński.

— Który? który? — zapytano ze wszęch stron.

— A, o... Łuczyk!

Zapanował ogólny, spazmatyczny śmiech.

— Zachciało się kotu sadła! — wykrzyknął pan Brodkowski.

Hojtyński, któremu Łuczyk już był dokuczył dostatecznie, chcąc zadrwić z kolegi, rzekł:

— Ot, nasz biedny Łuczyk ponoś nawet za napisanie jakiegoś listu do tej pani, gdy była jeszcze guwernantką, w skórę od starego Antoniego dostał.

— Łzesz! — krzyknął Łuczyk wściekłym głosem, a oczy mu krwią nabiegły. — Jabym się bić nie dał.

— A cóżbyś zrobił? — pytali wszyscy, śmiejąc się kpiąco — Korymowicz wielki pan, ma stu parobków, byliby potrzykali i odrachowali.

— Byłbym się zemścił... Byłbym dwór i gumna podpalił.

— Ładny kawaler — szepnął z obrzydzeniem Horbowicz do Hadżibeya.

Łuczyk raz rozdrażniony nie mógł już milczeć, był przytem, jak zwykle, trochę pijany, więc wołał w złości na całą izbę:

— Niechno mi się kiedy popadnie w ręce synek tego Samuelka, gdy będę profesorem, to mu dam bobu, to go będę pipczył!

Na to Horbowicz, oburzony już do żywego poufałością »belfra« względem obywatelskiej godności, zawołał gniewnie:

— Panie Łuczyk, to aspan myślisz, że który Korymowicz dałby swoje dziecko do takiej szkoły, gdziebyś aspan był profesorem?... Niedoczekanie twoje! dla pańskich dzieci są pańskie szkoły.

Lekceważący głos Horbowicza doprowadził Łuczyka do najwyższego stopnia wściekłości, piana mu na usta wystąpiła, drżał na całym ciele i krzyczał coraz głośniej, wygrażając wszystkim obecnym pięścią:

— Jedzcie, pijcie, weselcie się! Tuczcie się pasibrzuchy krwią chłopską, krwią naszą... Zobaczycie, że wkrótce przyjdzie czas, przyjdzie koniec wam, zginiecie co do nogi, nie zostanie ani panów, ani grafów, ani obywateli, ani żadnego plugastwa nawet na nasienie. My z wami zrobimy porządek!... Będzie tylko chłop i rozumni ludzie, jak ja, którzy tym chłopem kierować będą.

Zamilkł, a słowa jego złowrogiem echem leciały przez okna żydowskiego szynku w tłum, w lud, w motłoch i odbijały się stokrotnem echem:

— Zostanie tylko chłop i ludzie rozumni, jak ja, którzy tym chłopem kierować będą.

Wreszcie oprzytomniał pierwszy Horbowicz i splunąwszy, z zawziętością, zawołał:

— Zostanie chłop, z którego tacy szubrawcy jak ty będą skórę darli!

Hadżibeya już dawno w izbie nie było: pomimo ścisku uciekł, dostawszy się do swego ekwipażu, i kazał, co koniom sił stało, umykać z jarmarku.

* * *

Dwie młode pary, wesołe, swobodne, szczęśliwe, przejechawszy przez ten tłum, przez ten wulkan uspio-ny, nie przypuszczały nawet, że wśród tego motłochu, wśród tej mieszaniny ludzi uczciwych i złoczyńców — pracowitych i próżniaków, drzemią żywioły, które, porwane przez takich Łuczyków, mogą wstrząsnąć całym gmachem społecznym... a może obalić go doszczętnie.

Dziś nic im szczęścia nie zamąci... Jaka będzie ich przyszłość, jakie losy? Bóg jeden to wie.

Pisałem w Dubienku, od 15. stycznia do 15. marca 1901 r.

— K O N I E C . —

